

*Ks. Łoputko Czesław*

**ŚWIĘTY JÓZAFAT KUNCEWICZ**



ŚW. JÓZAFAT  
(według obrazu, znajdującego się w Witebsku).

KS. JAN URBAN T. J.

ŚW. JÓZAFAT KUNCEWICZ

BISKUP I MĘCZENNIK

WYDANIE DRUGIE



WYDAWNICTWO KSIĘŻY JEZUITÓW  
== KRAKÓW, KOPERNIKA 26 ==

D-180/93



136963

ZEZWAŁAMY NA PRZEDRUK  
Z KURJI KSIĄŻĘCO-BISKUPIEJ.

w Krakowie, dnia 6 grudnia 1921.

Nihil obstat.

Ks. A. Żukowicz T. J.

† Adam Stefan

L. S.

Ks. Wł. Miś  
Kancelarz.

## PRZEDMOWA DO 2-go WYDANIA.

Pierwsze wydanie niniejszej książeczki wyszło 16 lat temu. Wtedy wielka część Polski znajdowała się jeszcze pod jarzmem carów i katolicy, a zwłaszcza byli Unicy, pomimo edyktu tolerancyjnego, zawsze byli obywatelami drugiej klasy, Kościołowi nie było wolno ani dopominać się o swoje prawa, ani nawet mówić głośno o swojej historii. Żywot św. Męczennika Unji, wydany w Krakowie, dostawał się do Kongresówki tylko drogą przemytnictwa. Mimo to wydanie się rozeszło, i okazuje się potrzeba nowego, którego rozszerzeniu już nic nie będzie stało na przeszkodzie. Pragniemy, aby ta skromna praca, ogłoszona prawie w przededniu trzechsetnej rocznicy męczeńskiej śmierci Józafata, przyczyniła się do pogłębienia miłości ku Kościołowi, za który ten św. Męczennik krew przelał, i do zbliżenia dwóch narodów i dwóch obrządków, które mu zarówno drogie były.

## ROZDZIAŁ I.

### Wiadomości o odszczepieństwie greckiem.

Największem przykazaniem religii chrześcijańskiej jest przykazanie miłości. Miłość ta nie powinna się ograniczać do najbliższych tylko osób: krewnych, przyjaciół, sąsiadów, ale ma obejmować wszystkich, co wierzą w Pana Jezusa i przyjmują boską Jego naukę. W ewangelji św. Jana czytamy następujące słowa Pana Jezusa: *„Przykazanie nowe daję wam: Abyście się społecznie miłowali: jakom was umiłowal, abyście się i wy spolem miłowali. Po tem poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu”* 1). Owocem miłości chrześcijańskiej ma być jedność, o którą też prosił Pan Jezus Ojca niebieskiego przed męką swoją: *„Ojczy święty, zachowaj je w Imię Twoje, któreś mi dał: aby byli jedno, jako my”* 2). Dla zachowania tej jedności w wierze i miłości

1) Jan, 13, 34, 35.

2) Tamże, 17, 11.



uczniów swoich, Chrystus Pan założył swój Kościół, to znaczy społeczność wierzących, z biskupami i kapłanami na czele, i społecznościami tej — Kościołowi pozostawił sakramenta święte, czyli ustanowione przez siebie środki do zdobycia łaski Bożej i zbawienia. Kto do Kościoła należeć nie chce, ten i zbawić się nie może: los takiego człowieka podobny do losu niewiernych żydów i pogan. „*A jeśliby Kościoła nie usłuchał: niech ci będzie jako poganin i celnik*“<sup>1)</sup>).

Kościół święty jest społecznością wierzących chrześcijan. W każdej społeczności, gdzie dużo ludzi do jednej mety zmierza, musi być jakaś powaga, jakiś urząd, który wszystkich utrzymuje w jedności i wszystkich do tegoż celu kieruje. We wsi jest sołtys, czy starosta wiejski, w gminie wójt, w państwie cesarz, król, albo prezydent. Inaczejby rozpadła się jedność i każdyby rządził się po swojemu. Nie inaczej ma się rzecz z Kościołem: i jemu potrzeba Głowy. Sam Chrystus Pan, obecnie w niebie królujący, jest niewidzialną Głową Kościoła, jako założyciel jego, jako ten, co przez mękę i śmierć swoją wysłużył nam wszystkie łaski potrzebne do zbawienia i Duchem swoim świętym ożywia cały Kościół, będący Ciałem Jego. Lecz Kościołowi, jako społeczności, w której widzialnie mają się utrzymywać jedna wiara, jedno sakramenta, jedno życie społeczne, potrzeba też

<sup>1)</sup> 18, 17.

i Głowy widzialnej, około której wszyscy chrześcijanie, jako członki, skupiliby się i tworzyliby jedno ciało. Taką widzialną Głową Kościoła świętego, czyli zastępcą i namiestnikiem niewidzialnej Głowy Chrystusa, jest z woli samegoż Pana Jezusa biskup rzymski, czyli Papież<sup>1)</sup>, następca świętego Piotra Apostoła. O tej woli Pana Jezusa wiemy z ewangelji świętej. Zakładając bowiem swój Kościół, wyrzekł Chrystus Pan do Szymona, jednego z dwunastu apostołów: „*Tyś jest Opoka (po grecku znaczy tyleż co imię Piotr), a na tej opoce zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go. I tobie dam klucze królestwa niebieskiego. A cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane i w niebiesiech, a cokolwiek rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane i w niebiesiech*“<sup>2)</sup>. Temi słowy Zbawiciel nasz, zamieniając Szymonowi imię na Piotra, to jest Opoki, czyli skały niewzruszonej, ustanowił go podwaliną i fundamentem całej budowy Kościoła, głową widzialną wszystkich chrześcijan, pasterzem i nauczycielem najwyższym wszystkich wiernych. W tej samej godności potwierdził Pan Jezus św. Piotra na krótko przed swoją śmiercią krzyżową, gdy po ostatniej wieczerzy, po ustanowieniu Najświętszego Sakramentu i sakramentu kapłań-

<sup>1)</sup> Słowo „papież“, po łacinie *papa*, jest pochodzenia greckiego i znaczy tyle, co Ojciec. Dlatego też papieża nazywamy Ojcem świętym.

<sup>2)</sup> Mat. 16, 18 19.

stwa, zapewnił mu nieomyślność we wierze świętej: „*Alem ja prosił za tobą, aby nie ustala wiara twoja: a ty niekiedy nawróciwszy się potwierdzaj braciej twoją*“<sup>1)</sup>. Po zmartwychwstaniu zaś swoim jeszcze raz zlecił Pan Jezus św. Piotrowi staranie o wszystkich wiernych, nie wyjmując nawet kapłanów i biskupów, mówiąc: „*Paś baranki moje, paś owce moje*“<sup>2)</sup>.

Odtąd święty Piotr aż do chwili swego męczeństwa w Rzymie wykonywał najwyższe rządy nad całym Kościołem. Po jego śmierci męczéniskiej najwyższa ta godność przeszła do jego następców na biskupstwie rzymskiem i oni też aż dotąd dzierżą naczelne rządy w Kościele chrześcijańskim.

Przez długie czasy wierni wyznawcy religii chrześcijańskiej, jak niemniej rozrzućeni po świecie biskupi, uważali papieża za swego najwyższego po Chrystusie Panu zwierzchnika; jego słuchali we wszystkich sprawach wiary świętej, jemu ulegali, jak dobre dzieci ulegają swemu ojcu. Że tak zawsze było, na to mamy pełno dowodów w historii kościelnej. Gdyby przyszło wszystkie je wyliczać, trzeba by było grubą ksiązkę napisać. Dosyć wspomnieć, że papieże ostatecznie rozstrzygali zawsze, co jest prawdziwą nauką objawioną, a co fałszem przez przewrotnych ludzi zmyślonym; papieże po-

<sup>1)</sup> Łuk. 22, 32.

<sup>2)</sup> Jan 21, 15—17.

twierdzali biskupów, metropolitów i patriarchów<sup>1)</sup>; sądzili wzajemne ich spory; zwoływali powszechnie Sobory, czyli zgromadzenia biskupów z całego świata dla obrony wiary i ułożenia praw kościelnych; na Soborach tych przewodniczyli przez swoich posłów i zatwierdzali soborowe wyroki. Stąd powaga papieży była zawsze tak wielka, że od ich wyroku żadnej już nie było apelacji, według słów świętego Augustyna: „*Rzym przemówił, sprawa skończona*“.

Mocą więc papieżstwa utrzymuje się w Kościele jedność wiary, jedność sakramentów, jedność zarządu. Tę jedność wielce ceniono i miłowano w dawnych czasach. Święci Ojcowie Kościoła<sup>2)</sup> lubią przyrównywać tę jedność do sukni nieszytej Pana Jezusa, której nawet kaci, krzyżujący Zbawiciela, rozrywać nie chcieli.

<sup>1)</sup> Metropolita jest to biskup, który ma pod sobą kilku innych biskupów. Patriarcha zaś jest to taki biskup, którego władza sięga na bardzo wielkie okręgi. Takich patriarchów w dawnych czasach, oprócz papieża, było czterech: aleksandryjski w Egipcie, antiochijski w Syrii, jerozolimski w Palestynie i konstantynopolitański w Grecji. Teraz jest ich dużo więcej.

<sup>2)</sup> Ojcami Kościoła nazywają się biskupi, kapłani i inni święci a uczeni mężowie z pierwszych czasów po Chrystusie Panu, którzy w swych księgach i pismach pozostawili nam prawdziwą naukę Pana Jezusa, tak jak ją zaczerpnęli od samych apostołów lub ich uczniów. Z tego powodu po Piśmie świętem, czyli bibli, księgi Ojców Kościoła mają największą powagę w rzeczach wiary świętej.



A jeśli zjawił się jaki niespokojny, niepokorny chrześcijanin, który nie chciał słuchać prawowitych biskupów, a przedewszystkiem papieża, ale odłączał się od władzy kościelnej i ustanawiał swój kościół, to taki czyn uchodził za największy grzech przeciwko miłości wspólnej a winowajcy otrzymywali nazwę grecką schizmatyków, to jest odszczepieńców. Takimi schizmatykami w starożytnym Kościele byli Donatyści, których Donat od Kościoła oderwał, Akacja, nazwani tak od swego wodza Akacjusza, i inni. Przeciwko takim schizmatykom występowali Ojcowie święci, dowodząc im koniecznej potrzeby powrotu do jedności z całym Kościołem. Św. Cyprjan, biskup i męczennik, napisał całą księgę o jedności Kościoła i o obowiązku uległości papieżowi, a do schizmatyków, co od tej jedności odstąpili, z takim się zwraca zapytaniem: *„Ten, kto nie trzyma się jedności z Kościołem, czy myśli, że ma wiarę? Kto się sprzeciwia i opiera Kościołowi, kto opuszcza Stolicę Piotrową, na której zbudowany jest Kościół, jakże sądzić może, że trwa w Kościele?... Nie otrzyma od Chrystusa nagrody, kto opuszcza Kościół Chrystusowy. Nie może mieć Boga za Ojca ten, kto Kościoła nie ma za matkę”*. A potem tenże święty zwraca się nawet do biskupów z upomnieniem, aby twardo stali przy jedności ze Stolicą św. Piotra, to jest z papieżem.

Starożytne odszczepieństwa Donatystów i in-

nych schizmatyków dawno już upadły i śladu po nich niema. Ale jest większe odszczepieństwo, które już od tysiąca lat trwa, a obejmuje dużo narodów. Jest to odszczepieństwo, czyli schizma grecka, do której należą i ci Rosjanie, co się sami „prawosławnymi“ nazywają. Wskutek tego odszczepieństwa miliony ludzi, noszących imię chrześcijan, w rzeczy samej stoją poza obrębem prawdziwego chrześcijańskiego Kościoła. Skąd się wzięło to odszczepieństwo?

Mówiliśmy wyżej, że Kościół był jeden, bo jeden tylko założony był przez Pana Jezusa. Jedna była wiara, jedna religja. Ale w tej religji było kilka obrządków. Obrządkiem nazywamy pewien odrębny sposób odprawiania Mszy świętej, jak również pewną odmienność w innych zwyczajach i prawach kościelnych. W rozmaitych krajach od początku były rozmaite zwyczaje kościelne. W jednych krajach modlono się publicznie po łacinie, w innych po grecku, gdzieindziej po syryjsku itd. W krajach zachodnich do Mszy świętej używano opłatków, bo na takim niekwaszonym chlebie odprawił sam Pan Jezus pierwszą Mszę świętą, w krajach znowu wschodnich był w użyciu przy Mszy chleb kwaszony. Komunię świętą dawano i pod dwiema postaciami chleba i wina, i pod jedną postacią chleba, zwłaszcza chorym, więzniom i w innych trudniejszych okolicznościach. Potem dla uchronienia Krwi Przenajświętszej od rozlania i dla innych powodów dawano na Zachodzie komunię pod jedną tylko postacią,

pod którą, tak samo jak pod obiema postaciami, jest tenże sam i cały Chrystus Pan. I dużo innych różnic między rozmaitemi krajami utworzyło się w Kościele Chrystusowym. Ale te różnice nie przeszkadzały jedności wiary, bo wszystkie same w sobie były dobre, i pomimo tych różnic w nabożeństwach, w sposobie udzielania sakramentów i w innych zwyczajach, Kościół był jeden, bo wszyscy słuchali i podlegali Ojcu świętemu i papieżowi.

Przyszła jednak djabeł, ojciec niezgody, i nasiał kłótnię na niwie Bożej. Za narzędzie do oderwania chrześcijan wschodnich obrządków od jednego prawdziwego Kościoła użył szatan biskupów miasta Konstantynopola. Niektórzy z nich, dumni z tego, że mieszkają w mieście stołecznym cesarzów greckich i znajdują się przy ich boku, przywłaszczyli sobie tytuł patriarchów i rozciągnęli swoją władzę nad innymi biskupami. Wreszcie i tego było im za mało: chcieli się stać równymi papieżowi samemu i wyłamać się z pod jego posłuszeństwa. Głównymi winowajcami tego odszczepieństwa byli patriarchowie: Focjusz, żyjący w IX wieku, i Michał Cerularjusz, który żył w XI w.

Focjusz, z prostego świeckiego człowieka zrobił patriarchą minister cesarza greckiego, Bardas, który przemocą wypędził prawowitego patriarchę, św. Ignacego, za to, że ten upominał go o występne cięlesne związki z własną synową. Wdarłszy się nieprawnie na stolicę biskupią, prosił Focjusz papieża Mikołaja by go

zatwierdził, ale Ojciec święty dowiedziawszy się jakim sposobem usunięto i umęczono św. Ignacego, odmówił zatwierdzenia Focjusza. Wtedy ten nieszczęśliwy przywłaszczyciel stolicy biskupiej zaczął występować przeciwko wierze Rzymskiego Kościoła i powadze papieży, i z pomocą dworu cesarskiego dużo biskupów i ludu oderwał od Kościoła świętego. Spotkała go kara Boża, bo sam cesarz uprzykrzył sobie wicherzyciela i skazał go na wygnanie. Na pewien czas ustało odszczepieństwo.

Ale w 150 lat potem, znowu na stolicy patriarcharszej zasiadł pyszny i hardy człowiek, Michał Cerularjusz, który w Konstantynopolu kazał pozamykać wszystkie łacińskie kościoły, podptać komunię świętą, a przeciwko wiernym łacińskiego obrządku wystąpił z zarzutami, że trzymają się innych, niż Grecy, zwyczajów, że używają opłatków, że poszczą w sobotę, że księża się golą itd. Chociaż były to zarzuty śmieszne, bo od tysiąca lat łacinnicy mieli inne, a Grecy inne obrzędy przy jedności wiary, jednak swym wystąpieniem tak zbalamucili ciemnych Greków, że wielu za nim poszło, by się oderwać od jedności Kościoła. Najwyższego szczytu dosięgło zuchwalstwo Cerularjusza wtedy, kiedy Ojciec święty wyprawił swych posłów do Konstantynopola, aby spór na miejscu załagodzili. Wtedy Cerularjusz podburzył przeciwko nim tłumy ciemnego ludu, a sam począł stawiać się wyżej nad papieża. Posłowie, nie mogąc nic wskórać, wykleli Cerularjusza i wszystkich jego



zwolenników, i położywszy kłatwę na ołtarzu w cerkwi św. Zofji, odjechali do Rzymu. Było to roku 1054, i odtąd się już utrwaliło odszczępieństwo greckie.

Dwa razy jeszcze Grecy przystępowali do zgody z Kościołem, mianowicie na soborach w Lugdunie 1274 roku i we Florencji 1439, ale ta zgoda nie była szczerą i nie długo trwała. Grecję za odszczępieństwo spotkała ciężka kara Boża, bo całe cesarstwo greckie zawojowali niewierni Turcy, a hardzi patriarchowie, nie chcący słuchać papieża, którego im Pan Jezus za zwierzchnika nazaczył, muszą dotąd słuchać we wszystkim niewiernego sultana tureckiego, który robi z nimi co chce; każe się im opłacać, a za nieposłuszeństwo wyędzę ze stolicy.

## ROZDZIAŁ II.

### Chrześcijaństwo na Rusi.

W IX i X wieku przyjęły wiarę świętą chrześcijańską narody słowiańskie: Polacy, Morawianie, Czesi, Rusini, Bułgarowie. Polacy przyjęli wiarę świętą 967 roku za księcia Miecysława, który pojął za żonę chrześcijańską księżniczkę z Czech, Dąbrówkę. Z nią przybyli do Polski kapłani łacińscy i oni dokonali nawrócenia pogańskiej polskiej krainy. W Morawji z początku pracowali kapłani łacińscy, potem przybyli misjonarze greccy, dwaj święci bracia Cyryl i Metody, którzy za pozwoleniem Ojca świętego opowiadali wiarę świętą i odprawiali nabożeństwa w języku słowiańskim. Po ich jednak śmierci znowu zapanował tam obrządek łaciński.

Ruś przyjęła wiarę i chrzest święty roku 988, za panowania w Kijowie księcia Włodzimierza. Ponieważ misjonarze, którzy na Ruś przybyli, byli Grecy z Konstantynopola, więc i religja chrześcijańska przyjęła się w ruskich krajach w obrządku greckim z językiem słowiańskim. Lecz wcale to nie znaczy, aby tak, jak teraz



»prawosławni« utrzymują, Rusini byli od początku schizmatykami, nie uznającymi powagi papieża. Rzecz się miała wcale inaczej. Ruś została chrześcijańską w czasach pomiędzy Focuszem, a Cerularjuszem, to jest wtedy, kiedy Grecy trwali w jedności z Kościołem całym, a więc i Ruś, przyjąwszy wiarę z Grecji, była podówczas katolicką, chociaż z obrządkiem wschodnim, różnym od łacińskiego. Dopiero dzisiejszym schizmatykom pomieślały się w głowie wiara i obrządek, że śmiały utrzymywać, jakoby Ruś od początku była wrogą Rzymowi, dlatego, że była wschodniego obrządku.

Kraje ruskie dłużej nawet pozostawały w jedności kościelnej, niż Grecy. Bo kiedy Cerularjusz zbuntował się przeciwko Ojcu świętemu, Rusini nie zaraz poszli za jego przykładem. Owszem uroczyście przyjęli w Kijowie postów papieskich, którzy po wyklęciu Cerularjusza wracali przez Ruś do Rzymu. W historii są ślady, że Ruś dosyć jeszcze długo nie zrywała jedności kościelnej, bo na rozkaz Ojca świętego nawet wprowadziła u siebie pamiątkę przeniesienia relikwji św. Mikołaja z krajów greckich do Baru we Włoszech, chociaż Grecy o tem święcie nic wiedzieć nie chcieli. Dopiero powoli w XII i XIII stuleciu poczęto się szerzyć na Rusi odszczepienstwo greckie, przez metropolitów, nasyłanych z Konstantynopola do Kijowa. Ogromne nieszczęścia, które wtedy na Ruś spadły, jak najście Tatarów, niezgoda i wojny książąt ruskich, sprawiły, że na całej

Rusi zapanowała ogromna ciemnota, tak, że lud był tylko z imienia chrześcijańskim, ale wiary swojej wcale nie rozumiał. Duchowieństwo miał bez żadnej nauki, dbające tylko o swoją kieszeń, a nie o oświecenie i zbawienie powierzonych sobie owiec. W takich okolicznościach szerzyło się odszczepienstwo i nienawiść do Kościoła Rzymskiego i do wiernych łacińskiego obrządku.

Roku 1439, kiedy we Florencji zbierał się Sobór powszechny dla pogodzenia Greków z Kościołem katolickim, Rusini wysłali również na ten Sobór swoich biskupów z metropolitą Izydorem na czele. Izydor uznał zwierzchnictwo papieża nad całym Kościołem chrześcijańskim i podpisał Unję, czyli zjednoczenie Rusi z Rzymem. Wróciwszy do kraju ogłosił po cerkwiach tę Unję i lud, oświecony o obowiązku podlegania papieżowi, przyjął ją ochotnie. Tylko w tych krajach ruskich, które należały nie do Polski, lecz do Moskwy, Unja się nie przyjęła, bo się jej sprzeciwił książę moskiewski, który chciał sam rządzić sprawami religijnymi.

W krajach ruskich, połączonych wówczas z Polską, Unja florencka trwała kilkadziesiąt lat, dopóki za sprawą królowej Heleny, zaciętej schizmatyczki, nie wkradło się znowu odszczepienstwo, a z niem wielka ciemnota i zepsucie obyczajów nie tylko wśród ludu, ale i wśród duchowieństwa.

Żeby mieć pojęcie o smutnym stanie odszczepionej od Kościoła Cerkwi ruskiej, trzeba



czytać historję tamtych czasów. Ciemnota taka opanowała duchowieństwo schizmatyckie, że nawet niektórzy z biskupów ledwo pisać umieli. O wyższych naukach nawet nie słyszeli. Biskupstwa ruskie dostawały się ludziom świeckim, nawet żonатыm, którzy dla wzbogacenia się majątkami cerkiewnymi wdzierali się na urzędy biskupie. Na stolicę archierejską we Włodzimierzu wdzierają się razu pewnego odrazu dwóch szlachciców: Łazowski i Krasieński. Każdy z nich chciał być biskupem ruskim i każdy przybył do miasta ze swoim wojskiem. Stoczyli prawdziwą między sobą wojnę o tron i majątki biskupie. Krasieński przegrał, a Łazowski został władcyką, żeby okradać skarb cerkiewny. Krasieński przeniósł się na inne biskupstwo, gdzie majątki cerkiewne porozdawał swoim synom i córkom. Dopiero król Batory wziął się ostro do grabiciela i skazał go na wygnanie. We Lwowie przez dłuższy czas rej wodzili Bałabanowie, z których syn po ojcu otrzymywał biskupią władzę i majątki kościelne. Uciskali podwładnych popów, prześladowali czerńców, kazali płacić sobie wygórowane podatki. Nienawiść ludu do Bałabanów tak wzrosła, że »bałabanami« nazywać poczęto wszystkich rozbójników. Takich to biskupów mieli Rusini za czasów schizmatyckich.

Nie lepsze było duchowieństwo niższe. Żonaci popi wiejscy byli we wszystkim zależni od panów ruskich; narówni z innymi chłopami musieli obrabiać pańszczyznę, płacić czynsz.

Za nieposłuszeństwo, tak samo jak każdego chłopca, karano ich cielesnie. Cała ich nauka na tem polegała, że umieli śpiewać w cerkwi, kadzić i bić pokłony, ale katechizmu ludu nie uczyli, bo sami go nie umieli. Kapłaństwo swoje uważali za rzemiosło, które w parafji z ojca na syna przechodziło.

Najgorszą plagą Cerkwi ruskiej było świętokupstwo. Lud musiał opłacać popa za każdą posługę religijną, nawet za rozgrzeszenie, pop musiał płacić władcyce za swoje wyświęcenie, władcyka okupywał tron biskupi grubemi pieniędzmi, dawanemi możnym panom, metropolita zaś obdzierał władcyków, aby mieć czem pokryć to, co zapłacił patryarsze za swoje poświęcenie. Od góry do dołu robiło się wszystko tylko za pieniądze. Zapomniano o tem, że kiedy Szymon czarnoksiężnik chciał kupić od św. Piotra urząd biskupi, św. Piotr oburzył się na to, i tak odrzekł: *„Pieniądze twe niech z tobą będą na zginienie: żeś mniemał, iżby dar Boży miał być za pieniądze nabywany“* <sup>1)</sup>.

Na domiar nieszczęścia w połowie XVI wieku zaczęła szerzyć się coraz bardziej w Polsce, na Litwie i Rusi herezja lutrów i kalwinów, i większa część panów i szlachty ruskiej porzuciła religję grecką, a przyjmowała gorsze jeszcze błędy heretyckie. Co lepsi znowu ze szlachty ruskiej, ci przyjmowali wiarę katolicką

<sup>1)</sup> Dzieje Ap. 8. 20.

w obrządku łacińskim i stawali się Polakami. Przy schizmie pozostał prosty lud, ze swoim spodlonem duchowieństwem i chciwymi, okrutnymi archierejami.

Pod koniec XVI wieku wybiła wreszcie i dla Rusi godzina zmiłowania Bożego. Największy polski kaznodzieja, ks. Piotr Skarga, jezuita, wydał we Wilnie książkę: *O jedności Kościoła Bożego*, w której wykazywał Rusinom, że wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na ich Cerkiew, stąd pochodzą, że oderwali się od jedności z całym Kościołem katolickim, a zatem, że niema innej rady na te nieszczęścia, jak pojednać się z Kościołem. Otworzyły się oczy i niektórym władynom ruskim, że zaczęli myśleć o przywróceniu Unji, czyli jedności z Kościołem rzymskim. Zjeżdżali się kilkakrotnie na wspólne narady, aż wreszcie roku 1595 na Synodzie, czyli zjeździe w Brześciu Litewskim, jednogłośnie postanowili poddać się na nowo z całym ruskim narodem zwierzchnictwu Stolicy apostolskiej. Spisano odpowiedni akt, z którym wybrali się do Rzymu dwaj biskupi ruscy: Cyryl Terlecki z Łucka i Hipacy Pocij z Włodzimierza na Wołyniu. Ojciec święty, Klemens VIII, przyjął łaskawie ruską deputację, ciesząc się z powrotu Rusi do jedności kościelnej.

Uroczysty akt połączenia Cerkwi ruskiej z Kościołem odbył się w Rzymie 23 grudnia 1595 roku. Gdy papież zasiadł na tronie, otoczony kardynałami, książętami i innymi dostojnikami weszli na salę Pocij i Terlecki w otoczeniu

swej świty. Odczytano list metropolity, Michała Rahozy, i innych władków ruskich do papieża, w którym to liście oświadczają, że przez wzgląd na zbawienie dusz własnych i owieczek sobie powierzonych, pragną odnowić jedność na Soborze Florenckim zatwierdzoną, a przez przodków ich przyjętą. Na to w imieniu Ojca świętego odpowiedział jeden z kardynałów: »Powracacie, mówili, do opoki, na której Chrystus Kościół swój zbudował... do Kościoła świętego Rzymskiego, po 150 latach rozłączenia... O, jak słusznie i wy sami wysławiacie dobroć i mądrość Bożą, która was oświeciła, że zrozumieście, że członki, oddzielone od głowy, przy życiu ostać się, a latorośl, od pnia odłączona, owocu przynieść nie może, iż strumyk, od źródła odcięty, wysycha, iż wreszcie Boga za ojca nikt mieć nie może, kto nie ma Kościoła za matkę... Spełnijcie tedy radość Ojca świętego... i złożcie wyznanie wiary katolickiej. Albowiem gotów jest Ojciec święty przyjąć was, metropolitę waszego, współbraci waszych biskupów i cały naród ruski do wspólności kościelnej... aby była jedna owczarnia i jeden pasterz«. Zaczem biskup Pocij po łacinie, a Terlecki po słowiańsku złożyli wyznanie wiary katolickiej, potwierdzone przysięgą i własnoręcznymi podpisami. Wreszcie przemówił sam papież, wyrażając swą radość z powrotu tyłu zbłąkanych owieczek do owczarni Chrystusowej, zachęcił do wytrwania w dobrem i do posłuszeństwa



świętej matce Kościołowi. Przyjąwszy Ruś do jedności kościelnej, Ojciec święty pozwolił Rusinom zatrzymać swoje odrębne zwyczaje kościelne, liturgię wschodnią w języku słowiańskim, komunję pod dwiema postaciami, stary kalendarz, duchowieństwo żonate itd. Na pamiątkę zjednoczenia wybito złote i srebrne medale. Pocij i Terlecki wracali do Polski z listami papieskimi do króla Zygmunta, metropolity Rahozy i innych panów.

Trzeba było wszakże ogłosić całemu ludowi ruskiemu o dokonanej Unji z Rzymem. W tym celu w jesieni 1596 roku zebrali się biskupi i duchowieństwo ruskie do Brześcia Litewskiego, gdzie też odczytano akt zjednoczenia i odprawiono wspólne nabożeństwa łacińskie i ruskie, na znak, że odtąd w obydwóch obrządkach panuje jedna wiara święta, i że oba obrządki należą do jednego prawdziwego Katolickiego Kościoła. Zjednoczenie to, od miejsca gdzie się dokonało, nazywa się Unją brzeską, a wszystkim, co poszli za tem zjednoczeniem, począto nazywać „unitami“, to jest zjednoczonymi.

Kiedy się tak szczęśliwie układała jedność Rusi z Kościołem, nie zaspiał swojej sprawy i odwieczny wróg zbawienia ludzkiego. Za jego poduszczeniem powstało wielu niechętnych przeciwko zawierającej się Unji. Przewodniczył im najbogatszy pan na Rusi, książę Konstanty Ostrogski, który przedtem sam o Unji myślał, ale później, kiedy biskupi zawarli ją bez niego, on tak się tem obraził, że wystąpił jako naj-

zaciętszy wróg zjednoczenia z Rzymem. Podtrzymywało go w tej nienawiści do Unji i to, że już przesiąkł błędami heretyków, których wielu na swym dworze utrzymywał. Otóż ten książę przeciągnął na swoją stronę dwóch biskupów najgorszych, to jest Bałabana ze Lwowa i Kopysteńskiego z Przemyśla, co już byli Unję podpisali, zwołał tłumy ciemnego duchowieństwa i ludu, zaważwał do pomocy różnych heretyków, lutrów i kalwinów, i z takiego towarzystwa urządził w Brześciu swój synod jednocześnie z synodem zjednoczonych biskupów. Na tym soborczyku przewodziło dwóch włóczgów greckich, z których jeden, Nicefor, był szpiegiem tureckim w ziemiach polskich, a schwytany przez władze królewskie i wtrącony do więzienia, umknął stamtąd i udał się pod opiekę księcia Ostrogskiego. Partja Ostrogskiego, zamiast upokorzyć się i pójść za większością biskupów ruskich, nie chciała ani słyszeć o Unji, owszem ośmieliła się rzucić kłatwę na metropolitę i biskupów zjednoczonych. Prawowity znowu Synod wyklął i pozbawił stolic biskupich Bałabana i Kopysteńskiego.

Nie uspokoiłi się jednak niechętni i odtąd przy pomocy księcia Ostrogskiego wystąpili jako zażarci wrogowie Unji, walcząc przeciw sprawie Bożej aż do upadłego. Sprowadzili kozaków na Ruś, którzy zawzięcie niszczyli majątki unickich biskupów. Cerkiewne bractwa, a zwłaszcza najpotężniejsze z nich lwowskie i wileńskie, również wydały zacieklą wojnę

unitom. Prześladowano ich na każdym kroku, na sejmach i w sądach, występowano przeciw nim, żeby biskupów pozbawić godności i duchowieństwu unickiemu odebrać cerkwie, pisano zjadliwe i pełne fałszu książki przeciwko Unji i katolikom.

Zajadłość schizmatyków była tak wielka i wytrwała, że zdawało się, iż Unja wkrótce upaść musi. Ale Opatrzność Boża czuwała nad świętą sprawą, zsyłając gorliwych obrońców jedności kościelnej. Takimi dzielnymi obrońcami Unji byli biskup Hipacy Pocij, który po słabym i chwiejnym Rahozie na tron metropolitalny wstąpił; po nim metropolita Józef Wela-min Rutski i inni dzielni mężowie. Największą jednak podporę zyskała Unja w osobie Józafata Kuncewicza, którego żywot zaraz rozpoczniemy.

### ROZDZIAŁ III.

#### Lata dziecinne i młodociane.

Na zachodnim krańcu ziemi wołyńskiej, wśród pięknej, pagórkowatej, żyznej okolicy, nad rzeką Ługą, leży miasto Włodzimierz Wołyński. W czasach, które opisujemy, był on stolicą biskupów włodzimierskich obrządku ruskiego. W drugiej połowie XVI stulecia, kiedy odszczepiona od rzymskiej stolicy Cerkiew ruska znajdowała się w oplakanyim stanie upadku i poniżenia, we Włodzimierzu przyszło na świat dziecko, wybrane przez Opatrzność dla podźwignięcia i uświęcenia upadłej Cerkwi. Dziecięciem tem wybranem był syn Gabrjela i Marjanny Kuncewiczów, pochodzących wprawdzie z rodziny szlacheckiej, ale podupadłej na majątku i wskutek tego trudniącej się handlem, zdaje się, zbożowym. Gabrjel Kuncewicz był przytem ławnikiem w magistracie włodzimierskim. Oboje byli religji greckiej, jak wówczas mówiono, ale jak wiele innych rodzin, tak i oni, nie znając się na różnicach między swoją wiarą, a wiarą katolicką, nie wiedząc o obowiązku posłuszeństwa rzymskiemu papieżowi, trwali w prostocie serca



i w szczerzej pobożności. Tak bowiem i teraz się zdarza, że ludzie na oko trzymający się schizmatyckiej Cerkwi, ale tylko dlatego, że nie mieli sposobności dowiedzieć się, że ich wiara nie jest zupełnie prawdziwą, mogą być miłymi Panu Bogu, a używając sakramentów, które odszczepieńcza Cerkiew nie skądinąd, jak tylko z Kościoła prawdziwego wyniosła, mogą się uświęcić i dojść do zbawienia. Prawdziwy grzech schizmy wtedy się dopiero duszy czepia, jeśli kto z tak zwanych »prawosławnych« wątpi o prawości swojej religji, a jednak prawdziwej wiary nie szuka, lub, co gorsza, jeśli przekonawszy się, że prawdziwa wiara jest katolicka, nie chce jednak porzucić swojej fałszywej dla bojaźni lub z jakiegoś interesu ziemskiego. Tacy w »prawosławiu« zbawienia dostąpić nie mogą.

Ale, jak powiedzieliśmy, nie tyczyło to wcale rodziny Kuncewiczów, która nie czując żadnej nienawiści do katolików, nie wiedziała również o obowiązku odłączenia się od Cerkwi; dobrem znowu życiem swoim zasłużyła na to, że Pan Bóg powoli przygotowywał ją na rodzinę, mającą oddać wielkie usługi prawdziwemu Kościołowi.

Roku 1580 Marjanna Kuncewicz powiła syna, któremu na chrzcie św. w cerkwi św. Praskówi nadano imię Jan. Dawni pisarze żywota św. Józafata, już w tem nadaniu imienia upatrują zrządzenie Boże, bo Jan po hebrajsku znaczy: syn łaski. Rzeczywiście dziecie to było synem

łaski Bożej. Za ledwie zaczęło dochodzić do używania rozumu, zaraz i pobożność i miłość Boża okazywać się w niem poczęła. Matka często prowadziła swego maleńkiego synaczka do cerkwi i do modlitwy go przyzwyczajała. Razu pewnego, gdy był z matką w świątyni, uderzył go widok ukrzyżowanego Pana Jezusa. Pyta matkę z ciekawością, co to jest? Matka go poucza: »Jest to obraz Boga-człowieka, Pana naszego Jezusa Chrystusa, który z nieba zstąpił, cierpiał i umarł, aby odpokutować za nasze grzechy i zbawić nas«. Sam święty opowiadał później, że podczas tej nauki matczynej iskra ognista oderwała się od boku Ukrzyżowanego Zbawiciela i padła na jego dziecinne serce, które też odtąd wielką zapłonęło miłością ku Ukrzyżowanemu i przywiązaniem do nabożeństw i ceremonji cerkiewnych.

Umiłowawszy pobożność, mały Janek wcale inaczej począł się sprawować, niż jego rówieśnicy. Zamiast prostych zabaw dziecinnych, on się modlił dużo, a kiedy mógł, biegł do cerkwi na nabożeństwo, lub w domu budował i ubierał obrazy i ołtarzyki, przed którymi odprawiał swoje dziecinne nabożeństwo. I rodzice i sąsiedzi bardzo pokochali pobożnego chłopczykę, stawiając go za przykład innym dzieciom. Nawet i starsi, widząc jak chłopczyzna modli się w cerkwi na kolanach ze złożonymi rączkami, musieli zachęcać się do pobożności i stawać się lepszymi.

Nadszedł dla Jana czas nauki. Rodzice oddali

go do szkoły we Włodzimierzu, gdzie uczono języków polskiego i słowiańskiego. W tym ostatnim spisane były wszystkie księgi cerkiewne i w nim odprawiano się nabożeństwo. Obdarzony wielkimi zdolnościami, a przytem wspomagany szczególnie przez łaskę Bożą, szybko postępował w naukach. Pokochał przede wszystkim naukę języka cerkiewnego i w krótkim czasie nauczył się na pamięć prawie całego psalterza, to jest »czasosłowu«, z którego w cerkwiach odprawiają się jutrznie i nieszpory. »Czasosłow« tak polubił, że nauczywszy się go, już nigdy ani jednego dnia nie opuścił, aby nie odmówić z niego przypadających na każdy dzień psalmów i modlitw. Z tych ksiąg cerkiewnych czerpał Jan całą swą religijną naukę, bo skądinąd jej mieć nie mógł. Duchowieństwo, jak mówiłem już wyżej, było ciemne, samo się na wierze nie wiele rozumiało, kazań do ludu prawie nigdy nie mówiło, dzieci katechizmu nie nauczało. Ale Jan, przez samo czytanie ksiązek słowiańskich i przez słuchanie nabożeństw w cerkwi, nauczył się wielu rzeczy i o sprawach boskich i kościelnych bardzo biegle i nad swój wiek rozumować umiał.

Kuncewiczowie nie byli na tyle zamożnymi, aby synowi dać większą naukę, a przytem i o szkoły wyższe trudno było w owe czasy. Dlatego po ukończeniu przez Jana szkółki miejskiej, kiedy liczył już kilkanaście lat, oddali go rodzice na praktykę do kupca Jacka Popowicza, w Wilnie, chcąc tym sposobem zapewnić

synowi swemu kawałek chleba w zawodzie kupieckim. Pan Bóg jednak sposobił Jana do czego innego i czuwał nad jego duszą. W nowym swem położeniu oddał się Jan sumiennemu spełnianiu obowiązków, wkładanych na niego przez Popowicza, i postępował szybko w nauce kupieckiego fachu, ale nie zapominał i o swojej duszy i rzeczach boskich. Ile tylko czasu zbywało mu od zajęć sklepowych, przepędzał go albo na modlitwie, albo na czytaniu ksiązek pobożnych. Jacek Popowicz chociaż kochał swego pomocnika za sumiennosc i pilnosc jego, jednak, jak to się często zdarza w świecie, że wyższa pobożność kluje w oczy ludzi mniej pobożnych, tak i tutaj Popowicz niechętnie patrzył na długie modlitwy Jana i często czynił mu za to wymówki, a niekiedy i do bicia się porywał. Przykrości te znosił młodzieniec cierpliwie dla miłości Boga.

We Wilnie groziło bardzo wielkie niebezpieczeństwo wierze i cnotcie Jana. Pod względem religijnym panowało tam wielkie zamieszanie. Znajdowały się tam wszystkie religje. Oprócz katolików łacińskiego obrządku, którzy dużo kościołów posiadali i nabożeństwa wspaniale odprawiali, byli tam i najrozmaitsi heretycy, lutrzy, kalwini, arjanie, nawet zwolennicy Mahometa. Były i cerkwie ruskie, najbardziej bliskie sercu Jana, ale na nieszczęście i wśród Rusinów brakło jedności i zgody. W tym bowiem czasie, roku 1596, metropolita ruski razem z innymi władzkami na Synodzie brzes-



kim przyjęli jedność — Unję — z Kościołem Rzymskim. Natrafili jednak na opór pewnej części swoich poddanych, upierających się przy odszczepieństwie. Stąd i we Wilnie utworzyły się dwie partje między Rusinami: jedna unicka, wierna i posłuszna metropolicie, druga schizmatycka, w której wodzili »bratczyki«, czyli członkowie schizmatyckiego wileńskiego bractwa. Ponieważ cerkwie wileńskie były pod władzą metropolity, więc schizmatycy zbudowali sobie nową cerkiew pod wezwaniem św. Ducha, sprowadzili do niej paru schizmatyckich popów i burzyli lud wileński przeciwko prawowitym pasterzom. Jan Kuncewicz musiał więc wybierać do której partji przystać: czy do unickiej, czy do odszczepieńców. Było to wielkie niebezpieczeństwo dla młodego, bez doświadczenia i głębszej nauki, młodzieńca, którego schizmatycy łatwo mogli przeciągnąć na swoją stronę, tłumacząc mu, że ich wiara lepsza, bo dawniejsza. Przez czas jakiś wahał się nasz Jan, na którą stronę się przechylić, lecz nie widząc naokoło siebie żadnego przyjaciela, któryby mógł go wyprowadzić z tej niepewności, udał się z wielką ufnością do samego Pana Boga, błagając pokornie, aby raczył oświecić jego umysł i serce i wskazać mu, co ma dalej począć. I nie pomylił się w swoich oczekiwaniach. Wkrótce wszystkie wątpliwości go odbiegły, bo go natchnął Bóg taką nienawiścią do odszczepieństwa, że bez przestanku cisnęły mu się do ust słowa psalmisty: »Znienawidziłem bożnicę

złośników\*). Stanąwszy więc odtąd wytrwale po stronie unickiej, uczęszczał gorliwie do cerkwi św. Trójcy, biorąc udział we wszystkich nabożeństwach, śpiewał jutrznie, nieszpory, usługiwał do liturgji, w braku innego dzwonnika dzwonił nawet na nabożeństwa. Ta jego pobożność i gorliwość w służbie Bożej pociągnęła wiele ludzi do Boga i Kościoła.

Choć Wilno słynęło wówczas nie tylko z zamieszek religijnych, ale i z wielkiego zepsucia obyczajów, jednak do pobożnego młodzieńca świat zepsuty nie mógł trafić ze swą trucizną. Natomiast zesłała Opatrzność młodemu Kuncewiczowi towarzyszków i znajomych, którzy wiele mu pomogli w służbie i znajomości Boga. Między nimi byli: przysłany do Wilna przez Ojca świętego dla nauki i wychowywania kapłanów ruskich grek, Piotr Arkudjusz, dwaj kapłani zakonu jezuickiego: Walenty Fabrycy i Grzegorz Grużewski, młody uczonec, który tylko co z Rzymu wrócił, Jan Rutski i uczeń Arkudjusza, Gennadjusz Chmielnicki.

Nie mając przygotowania naukowego z łaciny i innych przedmiotów, nie mógł wprawdzie Kuncewicz uczęszczać na wyższe nauki ani do Arkudjusza, ani do jezuickiej akademji, pomimo to wymienieni kapłani, pokochawszy cnotliwego młodzieńca, prywatnie udzielali mu nauki i kierowali piękną jego duszą.

Znajomość z pobożnymi i uczonymi kapła-

\*) Ps. 25, 5.

nami stanowczo podziałała na wybór stanu: Jan postanowił poświęcić się służbie Bożej w zakonie. Musiał jednak najpierw zwyciężyć nie małą pokusę, stawającą na drodze jego powołania. Oto Popowicz, który przywiązał się był bardzo do swego subiekta, nie mając synów, postanowił wydać za Jana swoją córkę i oddać mu cały swój majątek i handel. Miłość ku Bogu zwyciężyła tę pokusę; Jan odmówił Popowiczowi i prosił, aby go puścił od siebie. Było to roku 1604, a więc Jan, wstępując do klasztoru, miał lat 24. Młody, zdolny, pracowity Kuncewicz rzucił wszystkie światowe widoki, majątek i związki, by się oddać Bogu w posłuszeństwie, czystości, ubóstwie zakonnem.

## ROZDZIAŁ IV.

### **Życie zakonne.**

Opuściwszy dom Popowicza, udał się Jan do kościoła św. Trójcy, aby tam z rąk metropolity Hipacego Pocieja otrzymać suknię zakonną. Zamiar ten bardzo zadziwił nawet przyjaciół Kuncewicza; wiedzieli, że Jan szuka chrześcijańskiej doskonałości i świętości, a klasztor przy kościele św. Trójcy wcale jej dać nie obiecywał. W owych smutnych czasach zamieszek stał on prawie pustką; folwarki, jakie do niego należały, zagrabili świeccy ludzie; budynki klasztorne wynajęto na sklepy i mieszkania prywatne; kilka pokojów tylko pozostawało, w których mieszkał archimandryta czyli przełożony klasztoru, nie mający zresztą komu rozkazywać i nie dbający wcale o pomyślność klasztoru.

Ale opuszczony ten zakątek miał się stać źródłem religijnego odrodzenia całej Rusi. Od dobrego stanu zakonów, pracujących nad ludzkiem zbawieniem, a modlitwami swemi wypraszających łaski Boże, bardzo wiele zależy pomyślność całego Kościoła, ale nigdzie może nie dawała się czuć potrzeba dobrego zakonu



tak, jak w ziemiach ruskich. W obrządku bowiem wschodnim obierano biskupów zwyczajnie z pomiędzy zakonników; gdyby więc ich zabrakło, mogłaby upaść Cerkiew jeszcze niżej i narazić na upadek dopiero co zawartą Unję z Kościołem Rzymskim. Dlatego to Opatrzność, aby uchronić od upadku zjednoczoną Cerkiew ruską, skierowała kroki Kuncewicza do opuszczonych murów klasztoru św. Trójcy.

Przyjawszy habit zakonu św. Bazylego Wielkiego, Kuncewicz tegoż dnia, za pozwoleniem metropolity Pocieja, złożył w jego ręce uroczyste śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, zmienił chrzestne imię Jana na zakonne Józafata i tym sposobem odrazu został zakonnikiem profesem, nie przechodząc, jak to zwykle w zakonach bywa, nowicjackiej próby. Bo i jakąż z niej korzyść byłby odniósł? W klasztorze nie było nikogo, coby umiał pokierować jego piękną i wzniosłą duszą; natomiast sam Duch Św. gotował serce wybranego sługi, podczas gdy on oddawał się jeszcze zajęciom kupieckim, aby zaraz od przestąpienia progów klasztornych mógł zajaśnieć pełnią cnót zakonnych.

Na objawy świątobliwego żywota nowego zakonnika Józafata nie długo trzeba było czekać. Oderwawszy się zupełnie od świata, zamknął się on w samotnej celi, na wpół zrujnowanej i cały czas swój rozdzielił między modlitwę, a pracę naukową. Nie dosyć że wiernie odprawiał wszystkie pacierze, zakonnikom bazylijańskim przepisane, na które i wśród nocy

wstawał ze snu, ale jeszcze długie godziny poświęcał myślnemu rozpamiętywaniu rzeczy Bożych. Ulubionem jego ćwiczeniem duchownem było wybijanie na cześć Bożą licznych pokłonów, przyczem powtarzał bez ustanku cerkiewną modlitewkę: Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nademną grzesznym (Hospody Isuse Chryste, Syne Bożyj, pomyłuj mia hrisznaho). Do tego westchnienia tak przywykł jego usta, że nawet przez sen je powtarzał.

Modlitwy łączył Józafat z umartwieniem własnego ciała. Umartwienie potrzebnem jest każdemu zakonnikowi, chcącemu dojść do doskonałości wyższej, ale Józafat oprócz potrzeb własnej duszy, pragnął przez modlitwę i umartwienie wyprosić łaskę nawrócenia do Unji jaknajwiększej liczby odszczepieńców. Umartwienia Józafata wprawiają nas w zdumienie swoją surowością. Wiadomo, że Cerkiew ruska posiada bardzo wiele długich postów: oprócz postu wielkiego jest post przed św. Piotrem i Pawłem, przed Wniebowzięciem Matki Boskiej i inne. W czasie tych postów Józafat nie tylko mięsa, ale ani ryb, ani nabiału nie używał, posilając się przeważnie samym chlebem i wodą. Nawet w czasach, kiedy postu nie było, Józafat nigdy nie używał mięsa, a posiłek zwykle przyjmował dopiero wieczorem po całodziennej pracy. Biełizny nigdy nie nosił. Zamiast niej używał szorstkiej i drażniącej ciała włosiennicy, której nawet na noc nie zdejmował. Łóżko jego było tak twarde, że, jak znajomi jego zeznawali,

nawet żebrak najuboższy nie chciałby spać na niem. Bardzo często sypiał na gołej podłodze, przykryty tylko swoim habitem, lub w samej tylko włosiennicy. Mało mu było jeszcze tych umartwień, więc wymyślał rozmaite sposoby katowania swego ciała, byleby podbić je zupełnie pod panowanie ducha. Używał w tym celu drucianego łańcucha z ostremi, jak igły, kolcami, opasywał nim swoje biodra, okręcał ramiona i piersi, aby tak za każdym ruchem doznawać bólu od kolących igieł. Wreszcie zabrał się gorliwie do praktyki dobrowolnego biczowania, aby się stać podobnym do Pana Jezusa, który za nasze grzechy męczarnię tę wycierpiał. Ponieważ celka Józafata znajdowała się w takim miejscu, że niekiedy ludzie obcy, nawet schizmatycy, podpatrywali jego życie i umartwienia, przeto najczęściej dla zupełnego ukrycia się przed okiem ludzkim, wybiegał w nocy, boso i z obnażoną głową, na samotny cmentarz-pozza kościołem św. Trójcy i tam biczował dyscypliną swoje ciało dotąd, aż krew z niego tryskała. A za każdym uderzeniem, ze łzami w oczach powtarzał: »Panie Boże, wyniszcz wśród nas odszczepieństwo, daj nam jedność kościelną!« Tej praktyki nawet zimową porą nie opuszczał, lecz, klęcząc na grobowym kamieniu, lub na śniegu, znęcał się nad swym ciałem niekiedy aż do omdlenia. Kolana do zimnego gładu mu przymarzały; niekiedy czuł się tak wycieńczonym, że ledwie do celi mógł wrócić. Razu jednego musiano go zanieść do mieszkania, bo

o własnych siłach wrócić nie mógł. W tych swoich umartwieniach nie znał żadnej miary i łatwo mógłby był zupełnie zniszczyć swoje zdrowie, gdyby jego spowiednicy, OO. Jezuita, nie byli go miarkowali w jego gorliwości. Tak się sposobił młody zakonnik na przyszłego męczennika w obronie Unji świętej.

Wszystek czas wolny od modlitwy poświęcał Józafat na naukę. Przeczytał wszystkie księgi słowiańskie, jakie mógł znaleźć w klasztorze, lub w kościelnej zakrystji, lub jakie skądinąd do rąk mu wpadły. Ulubionem jego czytaniem były żywoty świętych i księgi cerkiewne, z których nabożeństwo się odprawiać zwykło. W nich nie tylko znajdował przykłady dawnych wielkich świętych zakonników i pustelników, których w swem życiu starał się naśladować, ale w księgach tych znalazł i dowody prawdziwości wiary katolickiej. W księgach cerkiewnych, których i schizmatycy do nabożeństwa używają, znajduje się wiele ustępów z jawnymi świadectwami o zwierzchności papieża nad Kościołem, jak również i o tem, że ziemia ruska była katolicką w początkach swego nawrócenia do wiary chrześcijańskiej. Tylko, że schizmatycy, zaślepieni nienawiścią do Ojca świętego, chociaż czytają te miejsca w swych księgach, jednak zrozumieć ich nie mogą i nie chcą. Józafat im głębiej się wczytywał w te księgi, tem bardziej się przekonywał, że prawda po stronie katolików i unitów a nie schizmatyków. Aby mieć pod ręką wszystkie dowody za prawdziwością



wiary katolickiej, wypisywał je sobie z ksiąg w osobne zeszyty i tym sposobem powstało kilka ułożonych przezeń dziełek: *O chrzcie św. Włodzimierza, O fałszowaniu pism słowiańskich przez wrogów metropolity, O mniach i ich ślubach, O czystości stanu kapłańskiego i o wyższości bezżeństwa* i inne. Ułożył też zbiorek Żywotów Świętych Pańskich.

Sława świętości i prac Józafata poczęła się szerzyć po mieście nawet między schizmatykami. Niekiedy nawet wielcy panowie odwiedzali klasztor św. Trójcy, pragnąc zobaczyć Józafata i zapoznać się z nim, lecz dla niego odwiedziny te były niepożądanym ciężarem, bo rozpraszały mu ducha i odrywały od zajęć naukowych. Krył się więc przed gośćmi, i w tym celu stół swój, przy którym pracował, przeniósł do opuszczonej kapliczki św. Łazarza, przylegającej do samego kościoła.

Byli i tacy w mieście, co nie wierząc w żadną świętość, wysmiewali cnotę Józafata. Pewna kobieta złego prowadzenia, słysząc pochwały oddawane czystości obyczajów Józafata, żartowała z jego cnoty, obiecując, że ją w puch rozbije. Wybiera się więc pewnej nocy pod okno celi Józafatowej i poczyna nagabywać go bezwstydnie, aby ją wpuścił do wnętrza, zaręczając, że nikt ich nie zobaczy i że cała rzecz pozostanie w tajemnicy. Ale jakże pomyliła się w swych rachubach! Józafat od samego dzieciństwa nigdy, nie tylko czynem, ale i najmniejszym słówkiem nie splamił swej cnoty

i złożywszy ślub czystości, pieczę nad nim porucił Niepokalanej Marji Pannie. Słyszcząc teraz nagabywanie do złego, nie zachwiał się ani na chwilę. Z początku łagodnie rozkazał bezwstydną niewieście oddalić się, a gdy to nie poskutkowało, chwycił za kij i odpedził ją ze sromotą.

Wielce martwiło Józafata, że w swoim życiu zakonnem nie miał godnego towarzysza. Wprawdzie od czasu do czasu znalazł się jeden — drugi zakonnik w murach św. Trójcy, ale wszyscy, dawnego wychowania i dawnych zwyczajów ludzie, wcale nie dawali pewności ani pod względem czystości wiary św., ani pod względem doskonałości chrześcijańskiej.

Roku 1605 metropolita Pociej zamianował Samuela Sieńczyłę archimandrytą, czyli przełożonym klasztoru, ale Sieńczyło był człowiekiem bez nauki, a przytem chociaż udawał unitę wobec metropolity, w sercu jednak chował przekonania schizmatyczne. Niczego więc dobrego nie mógł się Józafat spodziewać po takim przełożonym. Jedynym towarzyszem jego był Jan Welamin Rutski, z którym nawiązał znajomość, będąc jeszcze u kupca Popowicza. Dziwnie Pan Bóg kierował krokami tego młodzieńca, zanim go zbliżył do Józafata, dla podźwignięcia z upadku ruskiej Cerkwi.

Rutski był o 7 lat starszym od Józafata. Był on synem szlacheckich zamożnych rodziców, ale trzymających się herezji kalwińskiej. Kiedy przyszedł na świat i trzeba było go ochrzcić,

zabrakło na razie pastora kalwińskiego i dziecię otrzymało chrzest święty od schizmatycznego ruskiego kapłana. Ojciec, zagorzały heretyk, oddał go do szkół kalwińskich, lecz młody i zdolny, a przytem czystych obyczajów uczeń nie zadawał się tą nauką, jaką od swoich heretyckich mistrzów odbierał, lecz często zachodził na kazania i dysputy do kościoła jezuickiego w Wilnie, gdzie zbijano zarzuty i błędy heretyckie. Tym sposobem otworzyły mu się oczy, że żyje w fałszywej religji, lecz rodzice sprzeciwiali się jego zamiarowi przejścia na katolicyzm. Po śmierci ojca udał się za granicę na dalsze nauki i tam też jawnie przystąpił do świętej katolickiej wiary, za co matka jego, dowiedziawszy się o postępkach syna, rozżalona odmówiła mu zasiłku pieniężnego na dalsze nauki. Za poradą i z pomocą jezuity O. Boksi, udał się do Rzymu, gdzie został przyjęty do kolegium greckiego, założonego przez papieża dla wychowania kapłanów unickich. Wszyscy uczniowie tej szkoły musieli składać przysięgę, że całe życie trzymać się będą obrządku wschodniego i pracować dla Unji. Rutski, znając upadek, w jakim się znajdowała Cerkiew ruska, czuł niechęć do tego obrządku i zwlekał aż do końca nauk ze złożeniem żądanej przysięgi, pragnąc pozostać łacinnikiem. Kiedy nauki wszystkie już ukończył i chciał powracać do swojego kraju, wezwał go Ojciec św. Klemens VIII, i rozkazał mu przyjąć obrządek ruski. Na kolanach i ze łzami w oczach

błagał Rutski Ojca chrześcijaństwa, aby go nie zmuszał do zmiany obrządku, lecz papież był nieugięty i powtórzył po trzykroć swój rozkaz: »Janie, w imię świętego posłuszeństwa, żądam od ciebie, abys porzucił obrządek łaciński, a przyjął grecki«. Rutski musiał ustąpić i poddać się woli Ojca świętego, który pragnął, aby Jan swoją wielką nauką przyczynił się do podźwignięcia Unji na Rusi i Litwie.

Złożywszy żadaną przysięgę, wrócił do Wilna, przedstawił się metropolicie i zabrał znajomość z Kuncewiczem. Młody subiekt handlowy, a potem zakonnik Józafat, korzystał z nauki Rutskiego, ten zaś budował się świętością życia Józafata. Kuncewicz obiecywał sobie, że Rutski stać się może podporą i odnowicielem upadającej Cerkwi; Rutski jednak, widząc coraz większy jej upadek i coraz zajadlejszą nienawiść schizmatyków do Unji, tracił nadzieję, że się da coś wielkiego uczynić, a przytem serce go ciągnęło od obrządku łacińskiego. Wewnętrzna jego rozterka doszła do tego stopnia, że porzucił powierzone sobie we Wilnie kolegium greckie i z pewnym misjonarzem, karmelitą, puścił się przez Moskwę na misje do Persji.

Ale trudno sprzeciwiać się wyraźnej woli Bożej. Opatrzność, która niegdyś zmusiła uciekającego przed rozkazem Bożym proroka Jonasa, że się udał tam, dokąd go głos Boży wzywał, też Opatrzność użyła nadzwyczajnych sposobów, żeby utrzymać Rutskiego przy pierwszym jego powołaniu. W drodze do Moskwy



doznał on tyle i takich nieprzewycięzonych przeszkód, że wreszcie zmuszony był uznać w tem wolę Bożą i wrócić do domu. Myśl jednak o porzuceniu obrządku greckiego dalej go prześladowała. Wybiera się przeto r. 1606 osobiście do Rzymu z prośbą o zwolnienie go od złożonej przysięgi, aby mógł wstąpić do zakonu Jezuitów lub Karmelitów. W rzeczy samej po długich staraniach uzyskał pozwolenie na powrót do obrządku łacińskiego.

Ten krok przyjaciela zmartwił Józafata, stracił bowiem jedyne go człowieka, na którego mógł liczyć. Zwątpił i sam, aby się dało odrodzić zakon bazylijski i umyślił opuścić klasztor i udać się na pustynię, aby w samotności i oddaleniu od intryg schizmatyckich służyć Panu Bogu. Łaska jednak Boża oświeciła jego umysł, że został w klasztorze. Wkrótce też pocieszył go Bóg w jego osamotnieniu, zsyłając mu na towarzysza niejakiemu pobożnego i umartwionego zakonnika.

Ten zamieszkał przy św. Józafacie i zawarł z nim ścisłą przyjaźń. Wprawdzie zakonnik ów nauki wielkiej nie posiadał, ale za to był szczerze przywiązany do Unji i doskonale znał liturgję wschodnią i język słowiański. Od niego więc mógł Józafat nabyć wielu wiadomości, których mu jeszcze brakło, a przytem jeszcze bardziej przywiązać się do nabożeństw Kościoła wschodniego. Lecz i ta przyjaźń naraziła na nową próbę powołanie Józafata. Zauważył on mianowicie, że towarzysz jego od czasu do

czasu dostaje objędu umysłowego, lecz skoro tylko przemówiło się do niego o Bogu, zaraz powracał mu rozsądek. Domyślił się więc Józafat, że obłąkanie to jest sztuczne i udane, aby przez to ściągnąć na siebie pogardę ludzką. Na wschodzie bowiem bywali ludzie, którzy z pobożności udawali głupich, i obłąkanych (jurodiwyje), aby nimi świat gardził, a oni aby mieli sposobność do ćwiczenia się w pokorze. Józafatowi, chwytającemu się każdej praktyki, mogącej zbliżyć go do Boga, przyszła myśl naśladowania swego towarzysza w jego dobrowolnem udaniem obłąkania. Ale co może być dobrem dla samotnego pustelnika, to nie odpowiadało temu stanowisku, na jakim Bóg chciał mieć w przyszłości Józafata i dlatego i z tej pokusy wyszedł Józafat zwycięsko. W chwili największej wątpliwości zwrócił się, według swego zwyczaju, o poradę do swych spowiedników, kapłanów z zakonu jezuickiego, i ci odradzili mu jego nieroztropny zamiar i tym sposobem uchronili przyszłość Józafata od wykojenia się z drogi, którą go Bóg prowadził.

Zresztą myśl o ucieczce na pustynię, jak również o naśladowaniu dziwnego życia owego zakonnika, ustąpić zupełnie musiała, skoro przed Józafatem otwarła się możliwość bezpośredniej pracy nad nawracaniem do Boga dusz ludzkich. Wyświęcony na diakona, począł i w cerkwi i na mieście opowiadać Słowo Boże, zachęcać wszystkich do jedności kościelnej, do pobożnego życia, do spowiedzi. Kogo nie mógł pozyskać

nauką, tego przyciągał prośbami, błaganem, łzami; innych zwabiał podarkami do cerkwi, byleby tylko najwięcej dusz Bogu pozyskać.

Niekiedy, wyszedłszy na rynek za sprawunkami lub innymi interesami klasztoru, wracał w licznej towarzystwie ludzi, których do spowiedzi namówił. Prowadził ich do cerkwi i sam im wyszukiwał kapłana, aby ich z Bogiem pojednać. Najcenniejszym nabytkiem jego gorliwości byli czterej młodzieńcy, którzy naukami i przykładem życia Józafata zachęcili się do poświęcenia się Panu Bogu w zakonie bazylijskim. W roku 1607 wszyscy czterej oczekiwali na sposobność przyjęcia sukni zakonnej. Troskał się tylko Józafat o to, kto w opuszczonym klasztorze będzie ich przewodnikiem. Niedostatkowi temu znowu zaradziła Opatrzność Boża, stała opiekująca się swem dziełem.

Z Rzymu już był powrócił Jan Welamin Rutki, zwolniony od obowiązku pozostawania w obrządku greckim. Jakkolwiek nie zerwał on dawnej przyjaźni z Józafatem, jednak nie było żadnej nadziei pozyskania go dla zakonu bazylijskiego. On się namyślał tylko, który z dwóch najbardziej wtedy zasłużonych zakonów łacińskich obrać dla siebie: Jezuitów, czy też Karmelitów bosych. Naraz gruchnęła wieść po Wilnie, że Rutki wstępuje do klasztoru św. Trójcy. Trudno było uwierzyć temu: wszak dopiero co odbył on taką daleką podróż aż do Rzymu, by się uwolnić od obrządku greckiego, a teraz miałby tak nagle zmieniać swój zamiar

i upodobania? A jednak tak było. Dzień 6 września 1607 roku wyznaczono na uroczyste przyjęcie do zakonu bazylijskiego czterech kandydatów, pozyskanych i przygotowanych przez Józafata. Na tydzień przedtem O. Fabrycy, jezuita, miał kazanie w kościele swego zakonu. Skończywszy je, zanim zeszedł z ambony, ogłasza zebranemu ludowi, między którym było wiele szlachty i znacniejszych osób, następującą nowinę: »Drodzy bracia, zapraszam was na ważną uroczystość; znany wam Pan Welamin Rutki wstąpi od dziś za tydzień do zgromadzenia OO. Bazylianów w monasterze świętej Trójcy«. Obecny na kazaniu Rutki sądził, że Ojciec jezuita pozwolił sobie na żart z niego, idzie więc na skargę do przełożonego domu Jezuitów. Przywołany przez O. Rektora kaznodzieja tłumaczy się, że wcale nie pamięta aby na kazaniu mówił co o Rutkim. Stało się to zupełnie bez jego woli i nieświadomie. Wobec tego zeznania Rutki poczyna radzić się po kolei swoich przyjaciół, co ma czynić, lecz wszyscy to jedno tylko mu doradzają, aby w tem, co się stało, uznał zrządzenie Boże i poddał się woli Bożej. Rutki usłuchał.

W dniu naznaczonym zjechało się do cerkwi św. Trójcy takie grono dostojnych gości, jakiego dawno ta świątynia w murach swych nie oglądała. Przy ołtarzu stał metropolita w otoczeniu duchowieństwa, z boku wojewoda z poczem szlachty; tłumy ludu ciekawie się przypatrywały niebywałemu zjawisku. Wkrótce ukazał się



Rutski, prowadzony przez dwóch kapłanów, a za nim czterech innych kandydatów do zakonu. Wszyscy pięciu z rąk metropolity Pocięja otrzymali suknię zakonną, jako nowicjusze zakonu św. Bazylego. Jakaż to radość musiała wtedy ogarnąć serce obecnego na tej uroczystości Józafata, gdy widział, że jego gorące pragnienia odnowienia zakonu, a przez zakon Cerkwi, zaczynają się spełniać!

Rutski po wstąpieniu do zakonu odzyskał zupełny spokój duszy i pokochał obrządek wschodni, od którego tak długo się wypraszał. W cztery miesiące potem w ręce archimandryty Sieńczyły złożył swe śluby zakonne, przyjmując równocześnie zakonne imię Józef. Węzły przyjaźni i wzajemnego szacunku zacieśniły się odtąd jeszcze bardziej między Józafatem Kuncewiczem a Józefem Rutskim i obaj postanowili wspólnie pracować dla dobra swego zakonu i obrządku. Rutski wniósł do zakonu głęboką naukę, znajomość świata i jego stosunków, mógł zapoznać swój klasztor z zakonnem życiem, kwitnącym w zachodnim, łacińskim Kościele. Józafat znowu przyświecał wszystkim dobrym przykładem surowości życia, umartwienia, przywiązania do wschodniej liturgji. Obaj przyjaciele podzielili między siebie pracę nad wychowaniem innych nowicjuszków; Rutski uczył ich prawd wiary i języka łacińskiego, Józafat zaś zaznajamiał ich z nabożeństwem i uczył praktyk pobożnych i pokutnych.

Klasztor św. Trójcy był tak zniszczony, że

trudno w nim było pomieścić nowoprzybyłych nowicjuszków. Rutski więc ofiarował całą swoją ojcowiznę na jego odnowienie, a gdy i biskup łaciński Wojna i inni możni panowie przychylni się do tego hojnemi datkami, wkrótce mury klasztorne zostały dźwignięte z ruin, w części na nowo zbudowane, w części uporządkowane: prywatni lokatorowie usunięci, tak że pod koniec 1608 roku można było przyjąć i wygodnie umieścić czterech nowych kandydatów, którzy przybyli do liczby poprzednio przyjętych. Gromadka młodzieży zakonnej zwiększała się. Dodał stanowisko ruskiego księdza i zakonnika było pogardzanem powszechnie; wstąpienie jednak do zakonu Rutskiego, pochodzącego z szanowanej szlachty, jego ofiarność i praca wyrugowała te uprzedzenia, podniosła sławę zakonu w oczach społeczeństwa i ściągać zaczęła w mury klasztorne szlachetnie urodzoną i bardziej wykształconą młodzież.

Ale nie tylko w liczbę, lecz i w cnoty rosła gromadka zakonna u św. Trójcy. Blask i ciepło dobrego przykładu promieniowało z tego ogniska na wszystkie strony. Kto zna obyczaje cerkiewne na Wschodzie, ten wie, w jakim zaniedbanu znajduje się tam służba Boża i rozdawnictwo sakramentów. Nie lepiej, owszem może gorzej, było za czasów św. Józafata w Cerkwi schizmatyckiej, a to samo przeszło z początku i do unitów. Nabożeństwo odprawiało się raz na tydzień, albo i rzadziej; przez resztę dni cerkiew stała zamkniętą i nikt o nią nie dbał. Świeccy

ludzie ledwie raz na rok, i to nie wszyscy, i z lichem przygotowaniem przystępowali do sakramentu pokuty i komunji świętej; nawet zakonnicy ówcześni, jeśli nie byli kapłanami, spowiadali się i komunikowali najwyżej cztery razy do roku. Odradzający się klasztor św. Trójcy, pod kierownictwem Rutskiego i Józafata, począł przedstawiać zupełnie inny, dotąd nie znany na Rusi widok. Rutski, wkrótce po ślubach zakonnych wyświęcony na kapłana, począł codziennie odprawiać mszę świętą; nabożeństwa chórowe, jak jutrznia, nieszpory, szły również regularnie. Kuncewicz jako djakon, codzień przystępował do komunji świętej, inni nowicjusze przynajmniej raz lub dwa razy na tydzień.

Za przykładem młodzieży zakonnej ożywiła się pobożność i wśród świeckich i wkrótce poczęto uczęszczać do sakramentów świętych. Rutski, ile mu czasu i sił starczyło, przesiadywał w konfesjonale, aby zadość uczynić wszystkim żądającym spowiedzi: pomagali mu w tem i OO. Jezuici, którzy wszystkimi siłami popierali ten ruch ku odrodzeniu religijnemu, jaki wśród murów klasztornych św. Trójcy się rozpoczął.

Wiadomą jest rzeczą, że żadne dzieło Boże nie może długo pozostać bez prześladowania ze strony wrogów. Na dzieło Józafata i Rutskiego nadciągała również burza, która, po ludzku sądząc, mogła w niwecz obrócić wszystkie dotychczasowe ich usiłowania i osiągnięte już owoce ich pracy.

## ROZDZIAŁ V.

### Zamachy schizmatyków na klasztor św. Trójcy i Unję.

Roku 1607 wielka ilość szlachty, pod przewodnictwem Zebrzydowskiego, zbuntowała się przeciwko pobożnemu opiekunowi Unji, królowi polskiemu, Zygmuntowi III. Do buntu tego, który w historii nosi nazwę rokoszu Zebrzydowskiego, przyłączyli się wszyscy heretycy i schizmatycy ruscy, żądając od króla i sejmu rozmaitych ustępstw i praw dla swych fałszywych religii. I rzeczywiście król, znajdując się w trudnych warunkach, zmuszony był poczynić im pewne ustępstwa, uchwalone przez sejm polski, na którym wielu postów schizmatycy przekupstwem przeciągnęli na swoją stronę. Ustępstwa króla rozzuchwaliły partję schizmatyczną i zaczęła się zacięta walka z Unją. Tak się działo na całej Rusi, tak było i we Wilnie.

Wileńskie schizmatyckie bractwo cerkiewne już od kilku lat pracowało nad tem, aby sędownie odebrać unitom cerkiew i monaster św. Trójcy, drogi dla każdego Rusina z powodu znajdujących się w nim świętości, a mianowicie



cudownego obrazu Matki Bożej i relikwii trzech męczenników ruskich: Antoniego, Jana i Eustachjusza. Kiedy upadła prowadzona przez odszczępieńców sprawa, z powodu opieki królewskiej nad klasztorem, zamierzili oni podstępem lub siłą odebrać unitom cerkiew i usunąć z klasztoru nienawistnych im młodych zakonników, kierowanych przez Rutskiego i Józafata.

Pomocników do przeprowadzenia tego piekielnego zamysłu znaleźli, niestety, wśród samego unickiego duchowieństwa, a mianowicie pozyskali dla swej intrygi samego archimandrytę Sieńczyłę i protojereja Żaszkwskiego. Jeden wart był drugiego. Sieńczyło to mnich, wypędzony z monasteru w Supraślu, Żaszkwski zaś był popem w djecezji przemyskiej, lecz z powodu życia gorszącego musiał z niej uciekać. Obadwaj, nie mając z czego żyć, upadli metropolicie Pociejowi do nóg i w udanej poroze prosili ze łzami o pomoc. Metropolita nie mając dosyć kapłanów, uwierzywszy im, że będą gorliwie trzymali się Unji, przebaczył im i przyjął ich do swojej łaski, owszem obdarzył szaczkami i godnościami, jednego mianując archimandrytą, a drugiego protojerejem głównej wileńskiej cerkwi. Pomimo udanego przywiązania do Unji, tliła w ich sercach iskra odszczepieństwa; upatrzywszy też sposobną porę podczas nieobecności metropolity w stolicy, zabrali się do piekielnej roboty na korzyść schizmy.

Na naradzie w bractwie schizmatykiem uchwalono pozbyć się w jakibądź sposób Rutskiego

z monasteru, nowicjuszków rozprószyć a Józafata, cieszącego się u świeckich, nawet schizmatyków, sławą świętości, przeciągnąć na swoją stronę. „Jeśli Józafat stanie po naszej stronie, — tak sobie rozumowali odszczepieńcy, — wtedy wszystek lud za nim pójdzie i Unja upadnie”. Sprawę tę wziął na siebie archimandryta Sieńczyło. W maju 1608 roku rozkazał on Rutskiemu udać się dla załatwienia jakiejś niby nagłej sprawy o dwadzieścia mil od Wilna. Skoro tylko Rutski, posłuszny rozkazowi swego przełożonego, wyjechał poza dom, archimandryta woła do siebie Józafata. W pokoju Sieńczyły znajdował się oprócz niego jeden z protojerejów i jakiś członek bractwa. Znając przywiązanie Józafata do wschodnich obrzędów, postanowili oni wykorzystać to jego usposobienie. »Idzie tu, powiadają, o zbawienie ruskiej Cerkwi, obrządku, języka, zwyczajów, które chce zagubić zaprzędany łacinnikom metropolita. Wejrzyj na płacz i cierpienia twojej matki, Cerkwi ruskiej, pospiesz jej z pomocą. Starożytnie prawosławie zagrożone, lecz jeśli się ty do nas przyłączysz, to się obronimy!«

Lecz te piękne i udanej czułości słówka nie wiele poruszyły stałego w wierze Józafata. Wysłuchawszy wszystkich próśb i zaklęć, odpowiada z pokorą: „Pomoc moja nie na wiele wam się przyda, bo O. Rutski powstanie przeciwko wam i wasze zamiary udaremni”. — „Nie bój się, zawolali odszczepieńcy, jeśli ty przystaniesz do nas, to na Rutskiego mamy sposób,

by się go pozbyć z Wilna raz na zawsze". Józafat nie zachwiał się; ani pochlebstwa, ani obietnice nic nie pomogły: nie chciał zdradzić Unji świętej. Rozjuszony Sieniczylło podskoczył ku niemu i uderzył go w twarz, ale pokorny djakon i tem nie dał się nastraszyć i obelgę, otrzymaną za wiarę świętą, zniósł w milczeniu i radości. Nikomu nawet o tem nie wspominał, by zasługi przed Bogiem nie stracić. Dopiero po kilku latach przyznał się Rutskiemu, co wycierpiał za sprawę Bożą.

Kiedy się nie powiodła pierwsza próba, archimandryta wpadł na inny pomysł. Chcąc koniecznie pozbyć się młodych zakonników z klasztoru wpraw, niżeli Rutski wróci do Wilna, zwywa pewnego dnia Józafata i rozkazuje mu, aby wszystkich nowicjuszków wysłał na wieś do ich mistrza i nauczyciela Rutskiego, niby to dlatego, żeby nie pozostawali długo bez jego nauki i kierownictwa. Wydawszy ten rozkaz, sam wyjechał na folwark. Józafat znalazł się w trudnem położeniu. Wiedział on do czego dąży archimandryta: po wyjeździe nowicjuszków zdrajca chciał obsadzić monaster schizmatyckimi mnichami; z drugiej strony, jako posłuszny zakonnik, uważał Józafat za swój obowiązek wykonać polecenie przełożonego. Nie umiając sobie w tem położeniu poradzić, udał się do swego spowiednika, O. Fabrycego, jezuitę, zapytaniem, jak w tym razie postąpić. O. Fabrycy zrozumiał niebezpieczeństwo, grożące Unji, i doradził wysłać czempredzej gońca po

Rutskiego, aby wracał do klasztoru, zanim nowicjusze do niego wyjadą.

Posłaniec zastał Rutskiego chorym na febrę. Pomimo to na wiadomość o niebezpieczeństwie, zerwał się zaraz chory i, nie zważając na cierpienia i gorączkę, wybrał się w drogę. Każda chwila była drogą i dlatego spieszył, jak mógł, byleby na czas jeszcze stanąć w Wilnie i nie dopuścić do wyjazdu nowicjuszków. Kiedy zbliżywszy się ku miastu, ujrzał jego wieże, odechnął swobodniej i z radością odśpiewał dziękczynny hymn: „Ciebie Boga chwalimy“. Jednocześnie, za łaską Bożą, opuściła go gorączka. Nagły powrót Rutskiego pomieszał szyki archimandrycie.

Wieczorem Sieniczylło powraca z folwarku, pewny, że już w monasterze niema nikogo, oprócz Józafata. Jakież było jego zdziwienie, kiedy spostrzegł wszystkich nowicjuszków przy zwykłych zajęciach! Wpada tedy z furją do Józafata i najgorszymi słowami wymawia mu nieposłuszeństwo. »Nie było potrzeby, odpowie ze spokojem Józafat, wysyłać nowicjuszków do O. Rutskiego, bo on sam powrócił do domu«. Na tę niespodziewaną nowinę zamilkł archimandryta, a bojąc się występować otwarcie przeciw Rutskiemu, odłożył swe intrygi do sposobniejszej pory.

Józafat i Rutski nie mieli już teraz żadnej wątpliwości, że archimandryta zdradza Unję. Zawiadomili też o tem metropolitę Pocieja, bawiącego wtedy w Warszawie. Nie mogąc osobiście



przybyć do Wilna, aby ukarać zdrajców, metropolita listownie nazaczył Rutskiego swoim namiestnikiem, czyli zastępcą w zarządzie djeczji, a zarazem rozkazywał Sieńczyło oddać zarząd funduszami klasztorami w ręce Rutskiego. Nowy namiestnik metropolity miał czuwać nad zachowaniem się podejrzanego o skłonności schizmatyckie duchowieństwa i w razie potrzeby karać je przykładnie. Zdrajcy przycichli na razie, ale nie na długo.

W jesieni tegoż roku 1608 Sieńczyło z Żaskowskim podburzyli innych unickich duchownych przeciwko metropolicie i Rutskiemu. Tego ostatniego oskarżano kłamliwie przed ludem, że zamierza zniszczyć zupełnie obrządek ruski, wprowadzić do cerkwi łacinę, a klasztor wydać w ręce Jezuitów. Było to niecne oszczerstwo, ale schizma nigdy innej broni w walce z Unją nie używała, jak tylko oszczerstwa lub przemocy. Lud wileński po większej części uwierzył kłamstwu i począł okazywać nieprzyjaźń namiestnikowi. Mimo to zewnątrz, na oko, Sieńczyło i Żaskowski trwali przy Unji.

Pewnej niedzieli Sieńczyło odprawiał uroczystą liturgję w cerkwi św. Trójcy. Młodzi zakonnicy asystowali mu. W liturgji unickiej celebrujący kapłan kilka razy winien głośno śpiewać wezwanie do modlitwy za rządzącego metropolitę czy biskupa. Tej niedzieli po raz pierwszy Sieńczyło opuścił modlitwę za swego pasterza Pocięja. W cerkwi nastąpiła cisza, wszystkich ogarnęło zdumienie. Było widoczną rzeczą,

że archimandryta wyrzeka się tym sposobem Unji i przechodzi do schizmy. Młodzi zakonnicy, nie chcąc brać udziału w nabożeństwie odszczepieńca, odstąpili zaraz od ołtarza i pozdejmowali z siebie szaty kościelne. Zgorszenie to, dane przez archimandrytę, otworzyło oczy wszystkim, czem był Sieńczyło i kazało się spodziewać zaciętej z nim walki.

10 grudnia odstępcy odbyli w najgłębszym sekrecie naradę, na której postanowili za pięć dni naprowadzić do cerkwi św. Trójcy schizmatyków i podczas nabożeństwa, które miał odprawiać Rutski, rzucić się na niego i na zakonników, wypędzić ich z cerkwi i zawładnąć klaszturem. Jednocześnie kilku duchownych unickich pod przewodnictwem Żaskowskiego podpisali akt odstępstwa od Unji i poddania siebie i cerkwi swoich pod władzę patriarchy schizmatyckiego. Ale spodziewali się jeszcze pozyskać dla swoich celów Józafata. Sieńczyło się to nie udało, więc kilku mieszczan schizmatyków podjęło się Józafata przeciągnąć na swoją stronę. Zmyślili jakąś ważną sprawę i dla załatwienia jej poprosili na miasto Józafata. Ten przyszedł w towarzystwie innego zakonnika, lecz skoro wszedł do zapraszających, ci w tej chwili wydalają z mieszkania towarzysza jego, zamykają drzwi i padają do nóg Józafatowi z błagalną prośbą. »My dobrze wiemy, powiadają, że kochasz Boga i dbasz o jego chwałę, że kochasz nasz naród i obrządek. Przyszedł czas, by się dźwignęła Cerkiew ruska, a to od

ciebie zależy. Całe duchowieństwo patrzy na ciebie, życie i nadzieję w tobie pokłada. Wróć do naszej wiary, a tem uszczęśliwisz cały nasz naród«. Płakali, całowali nogi Józafata, byleby go pozyskać dla schizmy. Józafat, nie przygotowany na taką komedię, nie wiedział zrazu, co odpowiedzieć. Tłumaczył im, że radzić o sprawach cerkiewnych nie do niego należy, bo jest od tego metropolita i O. Rutski.

Widząc, że prośba ich daremna, mieszczenie odrazu zrzucają swą pokorę. Występują z groźbą, biorą się do pałek i oznajmniają Józafatowi, że go żywym nie wypuszczą, jeśli Unji nie odstąpi. Nie uległ im jednak i wtedy mężny młodzieniec, lecz odrzekł, że tak ważna sprawa nie może być załatwioną na ich żądanie, bez namysłu. Obiecał im dać odpowiedź następnego dnia, kiedy się na modlitwie Pana Boga poradzi. Wobec tej obietnicy, wypuścili go schizmatycy ze swych rąk, ale grozili jednocześnie, że jeśli do nich nie przystanie, niechaj w ciągu tygodnia ucieka z Wilna, bo śmierć niechybna go czeka.

W klasztorze z trwogą oczekiwano powrotu Józafata. Kiedy ku wielkiej radości Rutskiego i zakonników ukazał się w domu, pierwsze jego słowa były: »Wracam z piekła, gdzie szatan kusił mię do odstępstwa od mojej wiary«. Nazajutrz otrzymał list od schizmatyków, aby przybył do nich z odpowiedzią, ale on taką im przesłał na piśmie odpowiedź: »Radziłem się w modlitwie Pana i oto, co mi odpowie-

dział dla was: *Zamierzyliby rady, których nie mogli wykonać*<sup>1)</sup>. Mnie zaś dał to ostrzeżenie: *Olej grzeszników nie spłynie na głowę twoją*<sup>2)</sup>. Nie rachujcie więc na mnie«. Znaczyło to tyle, co powiedzieć: nie chcę z wami mieć do czynienia. Kiedy jednak i po tej odpowiedzi nie przestali go kusić, aby przybył do nich, Józafat nic im więcej nie odpowiedział. Udał się tylko do cerkwi, padł krzyżem przed ołtarzem i błagał Boga o łaskę nawrócenia dla swoich kusicieli. Opowiadał potem, że podczas tej modlitwy usłyszał pochwałę niebieską, słowami pisma świętego: *Błogostawiony mąż, który się nie udał na rady bezbożnych*<sup>3)</sup>.

Kiedy wszystkie próby przeciągnięcia Józafata nie udały się, schizmatykom pozostawało tylko użycie gwałtu, jak to już postanowili na swej naradzie. Szczęściem o grożącym zakonowi napadzie dowiedział się jeden z ławników magistratu i przestrzegł Rutskiego, aby się w klasztorze miano na baczności. Jednocześnie za wiadomiono wileńskiego wojewodę o tem, co się gotuje, a ten wydał rozkaz, aby wojsko w dniu, przeznaczonym na napaść, stało pod bronią i strzegło klasztoru. Sieńczone zaś i Żaskowskiemu oznajmić kazal, że jeśli Rutskiemu, lub jego towarzyszom stanie się jaka krzywda,

1) Ps. 20, 12.

2) Ps. 140, 5.

3) Ps. 1, 1.



oni sami głowami swemi odpowiadać będą. Uwięził też owych mieszczan, co Józafatowi śmiercią grozili. I znowu projekt odszczepieńców się rozwił.

Cała nienawiść schizmy obróciła się teraz przeciwko Józafatowi. Przedtem, dopóki mieli nadzieję przecignięcia go do swego obozu, wynosili go pod niebiosa, chwalili jego świętość, pobożność, pokorę, przywiązanie do obrządku; mówili, że ślady jego całowaliby, gdyby się do nich chciał przyłączyć; lecz skoro przekonali się o jego stałości we wierze, zapalili największą ku niemu nienawiścią i zemstą. Odtąd trudno było Józafatowi pokazać się na mieście, gdyż obrzucano go błotem i kamieniami, lżono rozmaitemi przezwiskami: nieuka, odstępcy, obłudnika. Sprawdziło się na nim, o czym mówił Pan Jezus: *Błogosławieni jesteście, gdy wam zlorzeczyć będą i prześladować będą, i mówić wszystko złe przeciwko wam kłamiąc dla mnie. Radujcie się i weselcie się, albowiem zapłata wasza obfita jest w niebiesiech*<sup>1)</sup>. Rzeczywiście radował się w duchu Józafat, że się stał godnym dla imienia Jezusowego i wiary świętej zelżywość cierpieć<sup>2)</sup>, lecz smucił się zarazem i zalewał łzami na widok zaślepienia schizmatyków, samochcąc gubiących swoje własne dusze.

Sieńczyło i Żaszkowski, po tylu nieudanych

<sup>1)</sup> Mat. 5, 11—12.

<sup>2)</sup> Dz. Ap. 5, 41.

usiłowaniach zniszczenia bazylijańskiego klasztoru, wystąpili do otwartej wojny z metropolitą i Unją. Zgromadziwszy duchowieństwo w głównej cerkwi wileńskiej (soborze), uroczyście przy nabożeństwie wyrzekli się Unji, przeszli do schizmy i w urzędach miejskich złożyli oświadczenie, że odtąd nie uznają nad sobą władzy metropolity i papieża, tylko władzę patriarchy carogrodzkiego. Po całym kraju do duchowieństwa unickiego i ludu rozesłano listy, podburzające przeciwko metropolicie, pełne kłamstw i nienawiści. Lud nie dosyć jeszcze oświecony, co to jest Unja, w wielu miejscach uwierzył wicherzycielom i odpadł do schizmy. Przytem zbierano wszędzie składki na podróż Sieńczyły do Warszawy i na przekupienie posłów na sejmie, którzy mieli dopomóc do wypędzenia unickich biskupów z ich stolic.

Metropolita, dowiedziawszy się o szerzącym się przeciwko niemu buncie, wyklął Sieńczyłę i jego współników, ale wnet dobrocią powodowany wstrzymał kłatwę i zawezwał buntowniczego archimandrytę, aby się przed nim stawił i wytłumaczył. Kiedy jednak buntownik nie tylko się nie upokorzył i nie cofnął z obranej drogi, ale owszem wybrał się na sejm, aby wicherzyć przeciwko Unji, metropolita ponowił swą kłatwę i odłączył Sieńczyłę i innych odstępców od wspólności kościelnej.

Na sejmie, czyli zjeździe szlachty z całej Polski, roku 1609, schizmatycy pod przewodem tegoż Sieńczyły wytoczyli żale swoje i oskar-

żenia przeciwko unitom. Posłowie jedni przekupieni, inni obalamuceni przez schizmatyków, nie wiedząc przytem co się świeżo stało na Litwie, a pragnąc zaspokoić wszystkie żądania, aby móc rozpocząć nową wojnę z Moskwą, postanowili, że obie strony ruskie, to jest unicka i schizmatycka, mają odtąd żyć w zgodzie i zatrzymać sobie te cerkwie, które w tej chwili posiadają. Gdyby się ta uchwała utrzymała, jedyna cerkiew w Wilnie i wielka liczba świątyń na całej Litwie pozostałyby w rękach schizmatyków, gdyż oni świeżo je pod swoją władzę zagrabili. Więc przeciwko temu postanowieniu sejmowemu powstał metropolita Pocij i udawał, że taki sąd jest niesprawiedliwy i krzywdzący unitów. Poparł go w tem biskup polski z Wilna i inni panowie, wskutek czego król Zygmunt zadekretował, że jeśli w ostatnich dwóch latach jedna strona zagabiła drugiej jakiegokolwiek cerkwie lub majątki kościelne, to wolno pokrzywdzonej stronie udać się ze skargą do sądów, złożonych z duchowieństwa i panów świeckich. Tak więc na mocy tego dekretu mógł metropolita odebrać schizmatykom zagrabione przez nich świątynie.

Aby jednak i Sieńczyło nie zrobił użytku z tego dekretu i nie upomniał się o posiadaną do ostatnich czasów archimandrję, Pocij wyprosił u króla, aby na tę godność zamianował Rutkiego. Wezwany do Warszawy O. Rutki otrzymał królewską nominację na urząd archimandryty i opatrzone listami królewskimi do ławni-

ków wileńskich, aby wszystkie cerkwie oddano unitom, powrócił czempredzej do Wilna.

Lecz nie spał i Sieńczyło. I on wrócił do Wilna, opowiadając, że król jemu przysądził archimandrję. Magistrat, złożony po największej części z heretyków i schizmatyków, również nie śpieszył się z wykonaniem królewskich rozkazów, przywiezionych przez Rutskiego.

Wykłęty Sieńczyło zgotował nowy napad na klasztor św. Trójcy, który jednak cudownym sposobem został odparty. Było to 9 marca 1609 roku w uroczystość czterdziestu męczenników. Sieńczyło na czele uzbrojonego tłumu zażądał się przed cerkwią, by uderzyć siłą na Rutskiego, Józafata i innych zakonników, kiedy po skończeniu nabożeństwa będą wychodzili z cerkwi. Stała się wszakże rzecz dziwna. Zakonnicy, ujrawszy uzbrojoną kupę ludzi, a na ich czele Sieńczyłę, pytają łagodnie, co znaczy ta napast? Naraz cały tłum, nie wiedząc czemu, pierzcha i rozlatuje się w rozmaite strony. Nikt nie umiał wytłumaczyć sobie tego zdarzenia; dopiero pewna świątobliwa zakonnica, Bazyliisa Sapieżanka, wyjaśniła tę tajemnicę. W czasie owego napadu Sieńczyły, modliła się ona w swoim mieszkaniu i dał jej Pan Bóg widzenie tego, co się przed cerkwią św. Trójcy działo. Widziała mianowicie, że kiedy Sieńczyło i jego towarzysze chcieli się rzucić na wychodzących z cerkwi zakonników, pokazał się im św. Bazyli i 40 męczenników w pełnej zbroi. Ten widok przeraził schizmatyków i zmusił ich do



ucieczki. Objawienie się św. Bazylego z 40 męczennikami i odpędzenie przez nich napaści było potem wymalowane nad drzwiami cerkiewnymi i pamiątkę tego cudu obchodzono odąd corocznie we wszystkich klasztorach bazylijskich.

Zatwardziałego w złem Sieńczyłę nawet ten cud nie uspokoił. Wkrótce wystąpił on przed świeckim trybunałem ze skargą na Rutskiego o klasztor. Trybunał ten nie miał prawa sądzić takiej sprawy, pomimo to przyjął skargę i osądził sprawę po myśli Sieńczyły. Składał się ten sąd prawie z samych heretyków i dlatego rad był, że dokuczy unitom; owszem sędziowie posunęli się do takiego zuchwalstwa, że nawet metropolitę Pocięja odsadzili od zajmowanej przezeń stolicy biskupiej. Metropolita, nie uznając tego niesprawiedliwego i samozwańczego sądu, sprawę tę wniósł do sądów duchownych. Wreszcie miał ją ostatecznie rozpatrzyć sam król Zygmunt. Monarcha w swoim imieniu wyznaczył do wydania wyroku kanclerza Sapiełę, człowieka bardzo rozumnego i sprawiedliwego. Ten, roztrząsnąwszy całą rzecz, unieważnił wyrok trybunału, wszystkie cerkwie kazał zwrócić metropolicie, O. Rutskiego potwierdził na archimandriji, że schizmatyków kazał ściągnąć 10 tysięcy złotych za naruszenie spokoju, Sieńczyłę i Żaszkowskiego, jako głównych podżegaczy przeciw władzy królewskiej, zaszadził na wygnanie z miasta; ta sama kara spotkała niektórych ławników, nieprzyjaznych uni-

tom. Schizmatykom pozostawiono tylko cerkiew św. Ducha, którą sobie sami wybudowali.

Schizmatycy, upokorzeni przegraną, zaprężyli zemstę. Bratczykowie schizmatycy od św. Ducha wynaleźli jakiegoś sługę, Jana Tupkę, i namówili go, aby zabił metropolitę Pocięja. Obiecali mu za to sowing nagrodę, a odszczepienicy popi udzielili mu nawet na tę zbrodnię swego błogosławieństwa i w swej cerkwi urządzali »moleben«, aby się zbrodnia udała. Do czego to dojść mogą zaślepieni ludzie!

Kiedy jednego dnia metropolita w towarzystwie paru księży wracał przez rynek wileński od nuncjusza, czyli posła papieskiego, napadł na niego złoczyńca z obnażoną szablą. Metropolita zastonił się laską i to ochroniło go od niechybnej śmierci. Szabla jednak, ześlizgnąwszy się po lasce, odcięła mu trzy palce u lewej ręki, przecięła łańcuch biskupi i odzież aż do ciała. Metropolita upadł i zemdlął. Niektórzy myśleli, że nie żyje. Za chwilę jednak przyszedł do siebie i podziękował Bogu, że mógł swej krwi nieco przelać za sprawę Bożą i Kościoła. O. Rutski i Józafat, podniósłszy ucięte palce, zanieśli je do cerkwi swojej, złożyli na ołtarzu i ofiarując Bogu pierwociny krwi, wylanej za sprawę Unji, odśpiewali z ludem: »Ciebie Boga chwalimy«. Do metropolity nadeszły zewsząd, nawet od samego króla, podziękowania i oznaki współczucia.

Złoczyńcę ujęto. Przyznał się, że z zemsty

religijnej chciał zabić metropolitę, lecz współpracowników swoich wydać nie chciał. Sąd ukarał go śmiercią, i chociaż metropolita wstawiał się za nim, by mu karę zamieniono na inną, próśby tej wszakże nie przyjęto. Za to nad duszą nieszczęśliwego zbrodniarza czuwał Józafat. Wyświęcony przed paru miesiącami na kapłana, wyprosił on dla siebie pozwolenie odwiedzania Tupeki w więzieniu i tam, niby anioł pokoju z nieba zesłany, począł przemawiać do zrozpaczonego grzesznika. Miłość i słodycz świętego sprawiła, że zbrodniarz ten nawrócił się w więzieniu, uznał swoją zbrodnię, pojednał się z Bogiem w świętej spowiedzi, i z poddaniem się woli Bożej poszedł na rusztowanie, na którym ćwiartować go miano. Józafat stał przy nim aż do śmierci, wskazując mu na wielkość miłosierdzia Bożego.

Zbrodnia Tupeki do reszty zozydziła schizmatyków. Wszyscy lepsi usunęli się od nich i wzgardzili odszczepieńcami. Oni sami przychcieli i już nie śmieli przez czas pewien występować otwarcie przeciw Unji.

## ROZDZIAŁ VI.

### Kapłańskie prace Józafata.

Wśród najzaciętszej walki między schizmą a katolickim Kościołem ruskim, Józafat przygotowywał się do kapłaństwa. Nie chodząc do publicznych szkół z powodu nieznamomości języka łacińskiego, nabył on jednak dość gruntownej znajomości prawd wiary, nawet najgłębszych i najzawilszych. Filozofję i teologję, dwie nauki najpotrzebniejsze dla kapłana, wykładał mu prywatnie w języku słowiańskim O. Fabrycy, jezuita, a że Józafat był obdarzony z natury niezwykłymi zdolnościami, więc nauka wydawała najpiękniejsze owoce. Pamięć miał taką, że cokolwiek raz przeczytał lub usłyszał, to pozostawało w niej na zawsze »niby na marmurze wyryte«. Przy usilnej pracy i szczególnem błogostawieństwie Bożem osiągnął to, że mógł rozwiązywać najtrudniejsze pytania z zakresu nauki wiary świętej.

Wyświęcony na wiosnę r. 1609 na kapłana przez metropolitę Pocieja, wystąpił odrazu, jako znakomity kaznodzieja, niestrudzony spowiednik, gorliwy apostoł jedności kościelnej. Najbardziej



ulubionym przedmiotem jego kazań było zbijanie błędów schizmatycznej nauki. Dowody na poparcie nauki katolickiej przytaczał takie, które i schizmatyków najbardziej zawstydzić i unitów utwierdzić w wierze mogły. Czerpał je mianowicie z cerkiewnych ksiąg słowiańskich i z nauki greckich Ojców Kościoła i wykazywał z nich obowiązek każdego chrześcijanina trwać w jedności i posłuszeństwie rzymskiemu papieżowi. Cerkiew św. Trójcy podczas jego kazań zwykle bywała przepelnioną, albowiem nie tylko unicy, ale i schizmatycy przychodzili z ciekawości, by się przysłuchać, jak też prawi kazania ten, o którym wiedzieli, że do żadnych szkół wyższych nie chodził. Powtórzyło się to, co o samym Panu Jezusie czytamy w ewangelji. Jak wtedy Żydzi ze zdziwieniem zapytywali, skąd u niego taka nauka i rozumienie Pisma, tak i teraz o Józafacie mówiono i pymano: gdzie on takiej nabył nauki? Obok gruntowności nauki sam sposób wygłaszania kazań był taki żywy, jasny, że najprostszy człowiek mógł je zrozumieć; głos i wymowa przyjemna, pociągająca wszystkich do słuchania. Wielu odszczepieńców sama tylko ciekawość wiodła do cerkwi św. Trójcy; po wysłuchaniu jednak kazania Józafata wychodzili przekonani o prawdzie katolickiej i nawracali się. Aby odrzeć Józafata z uroku nauki, schizmatycy wysyłali doń na dysputę o wierze najlepszych, jakich mogli u siebie znaleźć, teologów i uczonych, lecz i ci odchodzili zawstydzeni biegłością

Józafata w rozwiązywaniu i odpieraniu ich zarzutów i trudności.

Jedną z najsmutniejszych ran, pozostawionych Unji przez dawniejszą schizmę, była ciemnota ludu. Otóż w pouczeniu tych prostaczków Józafat znajdował największą rokosz. Chodził po domach, po ulicach, po polach i pastwiskach i gdzie kogo spotkał, katechizował i pouczał o rzeczach najpotrzebniejszych do zbawienia. Owoce tej pracy apostolskiej były widoczne i lud tłumnie powracał do prawdziwej wiary; nawróciło się też niemało mieszczan wileńskich. Katecheta pociągał wszystkich do siebie dobrocią, łaskawością i tą prostotą i wesołością, która jest tak właściwa duszom świętym. Trafiła się niekiedy, że żartem mówił do którego ze schizmatyków: »i ty się nawrócisz«, i rzeczywiście tknięty łaską Bożą odszczepieniec wracał wkrótce do jedności kościelnej. Katolicy, widząc liczne nawrócenia, nazywali Józafata »młotem schizmatyków«, bo rzeczywiście jak młotem szkło, tak on swojemi kazaniem rozbił ich błędy; odszczepieńcy znowu dali mu przezwisko »duszochwata«, gdyż chwycił dusze ze schizmy do wiary katolickiej. Z nienawiści ku niemu namalowali obraz, na którym znajdował się metropolita i O. Rutski w szatach biskupich, a u ich nóg Józafat w postaci szatana z hakiem, którym ciągnął do siebie dusze ludzkie. Pod spodem był napis: »duszochwata«. Kiedy Józafat dowiedział się o tym obrazie, roześmiał się i rzekł do odszczepieńców; »Oby Bóg dał,

abym mógł wszystkie wasze dusze pociągnąć do niego».

Najświętszym obowiązkiem kapłana jest sprawowanie ofiary mszy świętej, a wiadomo, jak ten obowiązek lekce sobie waży schizmatyccy duchowni. Całymi tygodniami opuszczają liturgję. Józafat mszę świętą odprawiał codziennie; aby zaś, przystępując do ołtarza, nie mieć na swem sumieniu najłżejszej nawet winy wobec Pana Boga, codzień prawie się spowiadał; samą zaś bezkrwawą ofiarę sprawował z takim skupieniem, pobożnością, przejęciem się, że sam jego widok wystarczał za kazanie i zachętę do pobożności. Jak miłą była Panu Bogu składana przez jego ręce ofiara mszalna, dowodził ten cud, który niejednokrotnie podczas jego mszy się zdarzył. Mianowicie, kiedy po konsekracji obracał się z kielichem do ludu, śpiewając: »wsehda i nyni i prisno i wo wiki wikow«, widziano dzieciątko Jezus, wychylające się z kielicha i błogosławiące lud, a z boku stał anioł obleczony w szaty djakońskie. Cud ten wiele osób w swoim czasie stwierdziło przysięgą.

Niez mordowanie pracował Józafat i w konfesjonale. Będąc sam kapłanem, już nie potrzebował, jak dawniej, szukać spowiednika dla nawróconych przez siebie do wiary i pobożności dusz. Zeszedłszy z ambony, zasiadał w trybunale pokuty i tam całemi niemal dniami, niekiedy po dziesięć godzin z rzędu przebywał. Było to również rzeczą nieznaną przedtem mię-

dzy Rusinami spowiadać się często. Wystarczało raz na rok i to trzeba było popu się opłacić. Józafat nie tylko że nie chciał brać za spowiedź zapłaty, ale nawet sam obdarzał uboższych swych penitentów drobnymi datkami, lub jakąś miłą pamiątką. Kiedy nie widział już nikogo przy konfesjonale, spieszył na pola, pastwiska, i tam, zachęciwszy kogoś do spowiedzi, siadał na pierwszym lepszym kamieniu i jedną grzesznika z Bogiem.

Korzystał z każdej przechadzki, z każdej podróży, by kogoś Bogu pozyskać. Razu jednego trafiło się, że w podróży przybył nad rzekę Niemen. Mostów wtedy jeszcze nie było, trzeba było się promem przeprowiać, a tu kra szła i przeprawa stała się niemożliwą. Bardzo wiele podróżnego ludu czekało na zamarnięcie rzeki. Żeby nie zmarnować tego czasu i sposobności, Józafat urządził nad rzeką misję, wygłosił kilka nauk, a potem wszystkich wyspowiadał. Tymczasem rzeka pokryła się lodem i podróżni z czystem sumieniem przeprowili się na drugą stronę.

Znając cenę każdej duszy, krwią Chrystusową odkupionej, Józafat wyszukiwał te dusze nawet po więzieniach, gdzie się znajduje tylu chrześcijan zbłąkanych z drogi cnoty. Towarzyszył skazanym za złoczynstwa na śmierć, nie opuszczając ich dotąd, dopóki nie oddali swych pokutujących dusz w ręce Boże. Dusze wyszukiwał i po szpitalach, gdzie usługując chorym, własnymi rękoma prześcielając ich łóżka, opa-



trując rany, pociągał ich dusze do Boga i do sakramentów świętych. Nie wzdygał się nawet przed tem, że najwstrętniejsze rany i wrzody omywał, a nawet je całował. Żadna choroba, choćby najbardziej zaraźliwa, nie odstraszała go od łoża chorego. Udał się raz z towarzyszem do jakiegoś chorego, którego ciało rozkładające się napełniało cały dom wstrętną wonią. Towarzyszący Józafatowi zakonnik, ledwie próg przestąpił, cofnął się, nie mogąc znieść wstrętnego odoru, lecz Józafat, wzięwszy go za rękę, wprowadził z powrotem do izby, mówiąc: »Lepiej przez chwilę znieść nieprzyjemny zapach tutaj, niż w piekle przez całą wieczność«.

Pomimo tylu prac, wypływających z urzędu kapłańskiego, Józafat nie zaniedbywał i swoich prywatnych ćwiczeń duchownych. Żeby zaś mieć czas na nie, zimą wstawał o godzinie trzeciej rano, a latem o drugiej. Po biczowaniu i prywatnych modlitwach, budził ze snu innych zakonników i prowadził ich do chóru, gdzie sam wszystkim przewodniczył, śpiewając pięknym swym głosem jutrznię i inne godziny kanoniczne. Nic też nie spuścił z dawnej surowości życia swego i umartwień. Surowego pokutnika nagradzał Bóg niezwykle odznakami. Razu pewnego bracia zakonni spostrzegli w jego celi jakąś niezwykłą jasność: sądzili, że się pali. Podśluchują pod drzwiami: słyszą biczowanie; po chwili, kiedy drzwi uchyliły, Józafat leżał krzyżem na podłodze, pograżony w modlitwie, a światłość jasna go otaczała.

Wiele też czasu poświęcać musiał i na zajęcia w klasztorze. O. Rutski musiał często wyjeżdżać za interesami i wtedy Józafat zastępował go w rządzeniu całym domem, stawał się gospodarzem, mistrzem nowicjusów; musiał podejmować się nawet prowadzenia sądowych procesów przeciwko tym, którzy zagrabili klasztorne dobra i dobrowolnie zwrócić ich nie chcieli. Na to wszystko Józafat znajdował czas, wszystkiemu poświęcał się z wielką gorliwością. Przytem nikt nie widział smutku na twarzy Józafata, wesołość panowała ustawicznie na jego obliczu, udzielając się wszystkim, którzy z nim obcowali.

Nie brakło bowiem powodów tej radości. Oprócz zwykłych nawróceń schizmatyków z ludu i mieszczaństwa, Józafat miał pociechę z nawrócenia kilku wybitnych osobistości. Na pierwszym miejscu wymienić należy Ignacego, patriarchę moskiewskiego. Wielki ten dygnitarz schizmatycznej cerkwi był osadzony na tronie patriarszym przez wielkiego księcia Dymitra, lecz kiedy Dymitr został zrzucony z tronu, wtedy i Ignacy z Moskwy uchodzić musiał. Schronił się on wtedy do Polski pod opiekę króla Zygmunta i zamieszkał w klasztorze św. Trójcy w Wilnie. Bliska znajomość i przyjaźń zawarta z Józafatem, przykład cnót jego i rozmowy o wierze przekonały schizmatycznego patriarchę o fałszu jego religii. Przyjął Unję, i umarł w klasztorze po sześciu latach świętobliwego żywota. Z Ignacym przybył jednocześnie

niejaki Emanuel Kantakuzen, pochodzący z greckiego cesarskiego rodu Paleologów. I on wyzwał się schizmy i tak się przywiązał do Józafata, że towarzysząc mu wszędzie, nie opuścił go aż do śmierci.

W tym czasie zjawił się na Litwie Melecy Smotrycki, który miał się stać największym wrogiem Józafata. Był to młody i zdolny człowiek, ale nienawiścią pałał do Unji. Nienawiść tę zaszczepili w nim głównie heretycy, u których i w kraju i za granicą nauki swoje odbywał. Po kilku latach nieobecności, przybył on r. 1610 do kraju i jako mnich schizmatycki niebawem wystąpił gwałtownie przeciw Unji. W Mińsku zbuntował lud przeciwko metropolii, założył tamże schizmatyckie bractwo, zbudował nową cerkiew, która miała się stać rozsądkiem schizmy. Kiedy nie miał już co robić w Mińsku, przybył do stolicy Litwy, Wilna, i tutaj również wystąpił w roli obrońcy jakoby uciemiężonego »prawosławia«. Przy pomocy bractwa wydrukował książkę pod tytułem: »Lament cerkwi ruskiej«, skierowaną przeciwko tym, co do Unji przystali. Książka ta, zjadliwym piórem napisana, sprawiła ogromny ruch między schizmatykami: wydzierano ją sobie wzajemnie, przepisywano, czczono jak ewangelję świętą. Niektórzy zagorzali odszczepieńcy umierając, kazali ją włożyć sobie do trumny. Co jednak warta była ta książka, pokazali zaraz niektórzy Ojcowie Jezuici, jak ks. Skarga i Morochowski, którzy na nią pisemnie odpowiedzieli.

Sam Smotrycki w kilka lat później, nawróciwszy się do Unji, wyznał, że jego »Lament« był stekiem błędów i oszczerstw.

Pojawienie się Smotryckiego we Wilnie zmuszało unitów do ustawicznej baczności na intrygi odszczepieńców, którzy znowu głowę podnosić zaczęli. Metropolita Pocij, starzec już sędziwy, nie mogąc we własnej osobie dać rady wszystkim sprawom zarządu obszernej swej diecezji, wyświęcił O. Rutskiego na swego sufragana, to jest biskupa pomocniczego, pozostawiając w jego rękach i archimandrję św. Trójcy. Wtedy przybyło pracy i Józafatowi, gdyż Rutski, zostawszy biskupem, nie wiele mógł się oddawać sprawom klasztornym i wszystką prawie troskę o dobro zakonu na niego złożył. Zresztą Opatrzność gotowała Józafatowi nowe, bardziej samodzielne i odpowiedzialne stanowisko w Cerkwi ruskiej.



## ROZDZIAŁ VII.

**Św. Józafat na przełożeniach.**

Gromadka młodych zakonników kupiących się w klasztorze św. Trójcy pod kierownictwem Rutskiego i św. Józafata, coraz to bardziej się zwiększała, a tym sposobem rosła liczba przyszłych obrońców Unji. Aby jednak skutecznie bronić wiary świętej przed wrogami, nie dosyć posiadać cnotę; potrzeba jeszcze i nauki nie byle jakiej. Katolicy łacińskiego obrządku posiadali podówczas w Polsce bardzo wiele szkół, głównie pod kierunkiem OO. Jezuitów. Unja jednak, jeśli chciała równie dzielnie opierać się schizmie, musiała zdobyć swoje własne ruskokatolickie szkoły. To zadanie czekało młodych Bazyljanów, i stąd rozumiemy troskę obydwóch ich opiekunów: Rutskiego i św. Józafata o wykształcenie młodzieży zakonnej. Wskutek starań i zabiegów Rutskiego niektórzy biskupi łacińscy przyjęli po paru młodych ruskich zakonników do swoich seminarjów; innych umieszczono w jezuickich szkołach w Kaliszu, Pułtusku, Nieświeżu. Tam, zatrzymując swój obrządek ruski, wychowywali się oni i kształcili w zna-

omości prawd wiary świętej w duchu ściśle katolickim, aby później podtrzymywać tegoż ducha między ruskim unickim ludem.

Chociaż znaczna część młodzieży zakonnej rozjechała się do owych szkół, jednak klasztor św. Trójcy był zawsze przepełniony, gdyż coraz więcej zgłaszało się kandydatów z prośbą o przyjęcie do zakonu. Sama ta wzrastająca liczba powołań zakonnych świadczyła, że dziełem Unji Pan Bóg się opiekował i błogosławił mu. Boć jakże inaczej wytłumaczyć, że kiedy pierwszej za czasów schizmatycznych, chociaż każdy zakonnik mógł sobie żyć według własnej woli i w dostatku, klasztor świecił pustkami, obecnie, chociaż surową regułą św. Bazylego trzeba było zachowywać w całości, znalazło się tylu młodzieńców gotowych do umartwionego zakonnego życia. Było to dzieło łaski Bożej, poruszającej serca. W historii Kościoła zawsze się tak trafiało, że zakony rozluźnione, żyjące miękko, upadały z braku kandydatów, podczas gdy kwitły i kwitną te zgromadzenia, które swą regułą ściśle zachowują i pracy nad zbawieniem bliźnich nie szczędzą.

Dla wzrastającej wciąż liczby zakonników trzeba było myśleć o zakładaniu nowych klasztorów. Zesłał też Bóg pobożnych fundatorów. Najpierw bogaty pan Hieronim Chodkiewicz ofiarował Józafatowi przełożenie w zależnym od siebie klasztorze w Supraślu w grodzieńskiej ziemi, lecz święty z pokory odmówił przyjęcia tego zaszczytu. Niedługo jednak pokora

jego musiała ustąpić przed dobrem zakonu. Grzegorz Tryzna, marszałek stonimski, z wdzięczności ku Bogu za uzdrowienie swej żony, wybudował w Byteniu klasztor, w którym miała zamieszkać jego córka, poświęcona służbie Bożej w życiu zakonnem. Okazało się jednak rzeczą praktyczniejszą, aby dziewica ta przeniosła się do Bazyljanek wileńskich; monaster zaś byteński ofiarowano Bazyljanom. Na rozkaz Rutskiego, Józafat przyjął przełożenie tego klasztoru, jako ihumen, i sprowadził do niego kilku wychowanych przez siebie zakonników.

Wkrótce potem otwarta się inna ważniejsza dla nich placówka w Żyrowicach. Miejscowość ta, leżąca wśród piasków w Grodzieńszczyźnie, słynęła na cały kraj z cudownego obrazu Matki Boskiej, wyrytego na kamieniu, a znalezione go przez pasterzy na drzewie. Kiedy Józafat przybył do Bytenia, Żyrowice były własnością kasztelana Jana Meleszki, trzymającego się schizmy, a cerkiew z cudownym obrazem pozostawała w rękach popów schizmatycznych. Zapoznawszy się z Józafatem, Meleszko po kilku z nim rozmowach przekonał się o fałszu odszczepieństwa, wyprzysiął się błędów i z wdzięczności za swoje nawrócenie ofiarował Żyrowice wraz z kościołem i obrazem cudownym św. Józafatowi.

Z pomocą kilku możnych panów odbudował Józafat klasztor i cerkiew, sprowadził swoich zakonników, urządził regularne nabożeństwa i obsługę duchowną przychodzących pielgrzymów. Ta zmiana poczęła ściągać do Żyrowic

liczne pielgrzymki pobożnego ludu; powtórzyły się cuda, zdziałane za przyczyną Najświętszej Panny. Żyrowice były tem dla Litwy, czem Częstochowa dla Polski. Przybywali tu i królowie, aby podziękować Matce Bożej za zwycięstwa nad wrogami, lub prosić o opiekę i pomoc w publicznych potrzebach. Wskutek licznych cudów, jakie się tam działy, Ojciec święty, Benedykt XIII, przysłał złotą koronę, którą uroczyście włożył na skronie Matki Bożej w cudownym obrazie metropolita Atanazy Szeptycki 1730 r. Wprowadzono do Żyrowic przez św. Józafata Ojcowie Bazyljanie pracowali tam przez dwa wieki; dzisiaj, niestety, miejsce to święte, jak i wiele innych, zostaje w rękach schizmatyków.

Pomiędzy duszami, które Józafat pozyskał dla wiary świętej w czasie swego przełożenia w Żyrowicach, znakomitą zdobyczą był szlachcic Sołtan, potomek dawnych właścicieli tej wioski. Przybywszy razu jednego do Żyrowic, przechadzał się ze św. Józafatem po lesie. Kiedy rozmowa zesłała na rzeczy wiary, Sołtan, zapalony heretyk, począł bluźnić przeciwko wierze i Kościołowi katolickiemu. Św. Józafat tymczasem łagodnie przekonywał go o fałszywości herezji, zbijał jego zarzuty, rozwiązywał trudności, a w duchu błagał Boga o zmiękczenie jego serca i oświecenie go światłem wiary. Skończyło się na tem, że Sołtan upadł do nóg świętego i w tejże chwili, w lesie, wyspowiadał się, pojednał z Kościołem i tak odnowiony na





CUDOWNY OBRAZ NAJSW. BOGARODZICY  
W ŻYROWICACH.

duszy, poszedł do cerkwi podziękować Matce Bożej za swe nawrócenie.

Już po kilku miesiącach zarządu klasztorami w Byteniu i Żyrowicach musiał Józafat rozstać się z temi świętymi zakątkami, świadkami wielu prac i dokonanych przezeń nawróceń. Metropolita Pocięj po długim a pracowitym na dobro Cerkwi żywocie poszedł po nagrodę do Pana, a na jego miejsce dostał nominację królewską i potwierdzenie papieskie biskup i archimandryta Rutski. Objąwszy zarząd całej obszernej metropolji, musiał archimandrję św. Trójcy zlecić komu innemu, a nie było nikogo godniejszego na ten urząd, jak św. Józafat. Jego więc metropolita powołał z powrotem do Wilna na archimandrytę. Było to roku 1614.

Wielki i odpowiedzialny ciężar spadł znowu na barki świętego, ale ciężar nie pozbawiony pociechy. Z radością musiał witać św. Józafat ten klasztor, w którym rozpoczął służyć Bogu. Radością musiała go napełniać i ta zmiana olbrzymia, jaka zaszła w przeciągu ostatnich lat. Przed dziesięciu laty on sam jeden tulił się w opuszczonych murach, sam jeden w cerkwi śpiewał oficjum; teraz, kiedy stanął na czele tego klasztoru, jako jego przełożony, widział się otoczonym 60 gorliwych zakonników, swoich wychowanków i synów duchownych. Wobec takiego stanu rzeczy mógł śmiało patrzeć w przyszłość. Pierwsze zadanie nowego archimandryty było rozszerzyć klasztorne mury, aby wygodnie mogły pomieścić wszystkich zakonni-

ków. Hojnie napływające ofiary od przyjaciół i czcicieli Józafata pozwoliły mu wkrótce dokończyć tego dzieła.

Godność archimandryty dostarczyła Józafatowi wielu okazji do rozmaitych cnót. A najprzód podziwiać trzeba jego pokorę i miłość względem własnych poddanych. Ponieważ wszyscy zakonnicy byli jeszcze młodymi i niedoświadczonymi ludźmi, stąd wszystkie prawie obowiązki i posługi klasztorne Józafat przyjął na siebie. Sam był mistrzem nowicjuszków, sam kaznodzieją, spowiednikiem, gospodarzem i ekonomem klasztoru. Z rana sam budził braci, roznosił do ich celek światło, otwierał cerkiew, dzwonił na pacierze, sam usługiwał w chórze i śpiewem przewodniczył. Słowem, patrząc na jego zajęcia, niktby się nie domyślił, że to przełożony całego domu; raczej sługą wszystkich być się zdawał. Szczególnie lubił wyręczać w pracy kleryków zakonnych, aby im więcej czasu na naukę zostawić. Pomimo tylu domowych zajęć nie przestawał pracować i poza domem: spowiadał, odwiedzał chorych, miewał nauki do zakonnic, prowadził religijne rozmowy ze schizmatykami, chodził po więzieniach i nawracał złoczyńców. Wszystko to spełniał z pogodnym obliczem i radością serca, jak gdyby te zajęcia nie były pracą, ale raczej odpoczynkiem lub nagrodą za pracę. Prawdziwy cud, że jeden człowiek, przytem takiego słabego zdrowia i przy tylu umartwieniach, mógł tak długo i tak wiele pracować na chwałę Bożą.

Chociaż był przełożonym i miał do czynienia z ludźmi wyższego stanowiska w świecie, jednak w sposobie życia nie odróżniał się od innych braci i nie chciał znać żadnych wyjątków, ani ulg. Suknie jego świadczyły o zamitowaniu ubóstwa. Raz tylko pewien bogaty mieszczanin przysłał mu nowy habit z nieco lepszej materji. Skoro święty, wziąwszy go na siebie, dowiedział się, że jeden z zakonników niezadowolony z tego, wnet zawołał go do siebie i lepszą suknię jemu oddał, a gorszą od niego wzięł dla siebie.

Każdy wie, jakie to surowe zimy bywają na Litwie. Mimo to Józafat nie chciał używać futra. Przyjaciel jego, marszałek Tryzna, kazał podbić płaszcz lisiem futrem i kiedy święty opuszczał Żyrowice, polecił włożyć mu je do bryczki, a do metropolity napisał, aby ten nakazał Józafatowi nosić ów płaszcz przez wzgląd na słabe jego zdrowie. Lecz cóż się stało? Józafat umiał się wymówić od tego rozkazu, a podczas nieobecności metropolity kazał z owego futra porobić czapki dla zakonnej braci.

Dla siebie niezmiernie surowy, był Józafat wyrozumiałym na błędy swoich poddanych. Kiedy wypadło kogoś upomnieć o jakie przewinienie przeciw karności zakonnej, czynił to z największą łagodnością i miłością. Razu jednego upomniał zakonnika o jakieś wykroczenie; słysząc to inny zakonnik, począł natrząsać się z owego, który zawinił i dostał naganę. Św. Józafat, skoro się dowiedział o tym braku



braterskiej miłości, woła do siebie winowajcę i mówi mu tylko te słowa: „*Jeśli stoisz, to patrz, abys i sam nie upadł*”. To upomnienie poskutkowało na owego mnicha, że odtąd nikt z braci nie słyszał z ust jego żadnego przykrego słowa.

Zdarzyło się znowu kiedyś, że jeden z zakonników zgubił przez niedbalstwo swój płaszcz. Wróciwszy do domu, idzie do Józafata, aby się oskarżyć i przyjąć pokutę za swą nieuwagę i szkodę, wyrządzoną klasztorowi. Józafat, zamiast czynić mu jakiegokolwiek wymówki, kazał tylko iść do cerkwi i pomodlić się. I kiedy ten modlił się o znalezienie zguby, pewien wieśniak znalazł płaszcz i odniósł do klasztoru.

Przy całej swej łagodności dla braci, święty Józafat nie pozwalał im nigdy na nic, coby mogło być choćby z najmniejszą obrazą Bożą. W klasztorach jest zwyczaj, że po obiedzie i kolacji zakonnicy schodzą się do wspólnej sali na pogadankę i rozrywkę. Przy słabości ludzkiej łatwo może komuś wymknąć się jakie niepotrzebne słówko. Ale w obecności Józafata musieli wszyscy dobrze czuwać nad swoim językiem, gdyż on na to niezmiernie był uważny. Nawet kiedy znużony licznymi zajęciami zdrzemnął się czasami podczas rozmowy, to jednak w tej chwili się budził, jeśli tylko ktoś niewłaściwie słowo powiedział. Nie karcił jednak winnych, ale zęcznie rozmowę zwracał na inne przedmioty, przykładem ucząc wszystkich, jak

mają rozmawiać tylko o tem, co może przynieść Panu Bogu chwałę, a bliźniemu pożytek.

Chrystus Pan powiedział uczniom swym: *Nie troszczcie się o duszę waszą, cobyście jedli, ani o ciało wasze czembyście się odziewali*<sup>1)</sup>. *Szukajcież tedy naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie wam przydano*<sup>2)</sup>. Obietnica Zbawiciela najwidoczniej się spełniała nad św. Józafatem, który szukał naprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości jego. Troskę o wyżywienie licznej zakonnej braci złożył na Boga i nadzieja go nigdy nie zawiodła. Choć dobra klasztorne nie były w stanie wyżywić 60 zakonników, kilkanaście osób służby i liczny chór śpiewaków, utrzymywanych przy św. Trójcy, jednak Opatrzność tak sprawiła, że zawsze potrzeby klasztoru można było opędzić. Świętość Józafata zbliżała ku niemu rozmaite bogate osoby, które hojnie składały na klasztor jałmużny.

Od czasu, jak został archimandrytą, stał się Józafat prawdziwym ojcem ubogich wileńskich. Oblegali go też oni tłumnie, kiedy się na ulicy pokazał, zabiegali mu drogę i każdy przedstawiał mu swoje potrzeby i kłopoty. I nikt od świętego nie odchodził bez wsparcia i pociechy. Często sam nawet roznosił żywność i zapomogę po najuboższych domach. Jeśli zaś zasoby wyczerpały się, zwracał się wtedy do bogatych

1) Mat. 6, 25.

2) Tamże 6, 33.

osob z prośbą o jałmużnę dla uboższej braci. Uważał za stracony dla siebie ten dzień, w którym nie pocieszył żadnego biedaka.

Bóg, chcąc okazać swoje upodobanie w praktykowanej przez świętego cnocie miłości bliźniego, dziwne tworzył rzeczy. Pewnego dnia przyszła do Józafata jakaś uboga wdowa z płaczem, że nielitościwy wierzyciel żąda od niej natychmiast oddania pieniędzy, które ona w swej biedzie od niego pożyczyła, a teraz nie ma skąd oddać. Józafat nie miał takiej sumy pieniędzy i dlatego ubogiej wdowie kazał przyjść do siebie za parę godzin. Sam udał się na modlitwę, prosząc Boga o zarządzenie tej potrzebie. Kiedy po modlitwie wychodzi z cerkwi, zastępuje mu drogę nieznajomy młodzieniec i doręcza znaczną kwotę pieniędzy w złocie, zawiniętą w papier, niby jako jałmużnę dla klasztoru od swojego pana. Zapytany o nazwisko tak hojnego dobrodzieja, nie odpowiedział i znikł. O godzinie oznaczonej przyszła znowu owa uboga kobiecina i św. Józafat wręczył jej wszystkie otrzymane od młodzieńca pieniądze, nie licząc ich wcale. Okazało się, że w zawiniątku było więcej pieniędzy, niż było potrzeba wdowie na spłacenie długu; wraca więc pocziwa kobieta do klasztoru i oddaje resztę świętemu, pytając go, czy się nie pomylił, dając jej tak wiele. Józafat jednak nie chciał ani słyszeć o zwrocie owego naddatku. »Sam Pan Bóg ci to zesłał, powiada, więc zabierz sobie wszystko«.

Również cudownie przychodziła Opatrzność w pomoc klasztorowi, kiedy wskutek hojnych jałmużn dla ubogich klasztorna spiżarnia opróżniała się do szczytu i nie było czem wyżywić zakonników. Razu jednego zbliżała się godzina obiadowa, a tymczasem nie było nic, coby można było podać na stół. Św. Józafat, ufając Opatrzności, każe zakonnikom udać się do cerkwi na modlitwę. Kiedy ci kończyli swoje modły, na podwórze klasztorne wjeżdża pięć wozów, naładowanych spożywcami zapasami. Woźnice złożyli wszystko do kuchni i zaraz się oddalili, nie chcąc nawet powiedzieć, kto ich przysłał. Kiedy indziej znowu wcale nie rozniesiono ognia w kuchni klasztornej, bo nie było co do garnka wsypać, lecz za nadejściem godziny obiadowej, przysłał jakiś nieznany dobrodziej do furty klasztornej zgotowane już potrawy dla wszystkich zakonników. Niektórzy bogatsi obywatele i kupcy miasta Wilna opowiadali, że św. Józafat ukazywał się im w nocy przez sen z prośbą o jałmużnę. Bywało to wtedy, kiedy klasztorowi groził niedostatek.

Ludziom świętym Pan Bóg daje moc rozkazywania i poskramiania złych duchów. Tego daru udzielił i św. Józafatowi. W cerkwi św. Trójcy począł szatan z dopuszczenia Bożego straszyć co nocy zakonników. Około północy dawał się słyszeć huk, łoskot, brzęk łańcuchów, co trwało po parę godzin ku wielkiemu utrapieniu zakonnej braci. Św. Józafat pewnej nocy, wzięwszy ze sobą innego zakonnika, udał się



do cerkwi, ubrał się w szaty kościelne, zapalił świece na ołtarzu, wystawił w puszcze Najświętszy Sakrament i, zaleciwszy towarzyszowi spokój i męstwo, wśród modlitwy wyczekiwał szatańskiego najścia. Około północy otwierają się z łoskotem drzwi cerkiewne, w świątyni powstał jakby wicher, że o mało świece nie pogasły, poczem ukazał się cały tłum wstrętnych postaci w dziwacznych ubraniach, włokących na łańcuchu postać podobną do człowieka. Ciągną go przed carskie wrota, lecz do ołtarza wejść się nie ośmieliły. Św. Józafat bierze wtedy w prawą rękę Najśw. Sakrament, a w lewą świecę z ołtarza i zbliża się do tego piekielnego orszaku. »Ustępujcie przed Bogiem żywym, woła do szatanów: wychodźcie stąd, wracajcie do piekła i nigdy więcej nie ośmielajcie się niepokoić nas«. Na te słowa cała zgraja z okropnem wyciem uciekła z cerkwi; Józafat z Najśw. Sakramentem podąży za nią. Na cmentarzu przed cerkwią otwiera się jeden grób i szatani spuszcza do niego owe ciało, które na łańcuchach wleki. Potem wszystko gdzieś przepadło. Św. Józafat wrócił do cerkwi, by schować Najśw. Sakrament. Na drugi dzień począł dochodzić, kto był pochowany w owym grobie, co się w nocy otworzyło; a skoro się pokazało, że pogrzebano tam zmarłą bez pokuty kobietę złego prowadzenia, rozkazał jej ciało wyjąć i w polu pogrzebać. Odtąd ustaly hałasy w cerkwi, chociaż długi czas zakonnicy nie wiedzieli, czemu to przypisać tę zmianę, albowiem towarzysz

Józafata, mając sobie nakazane, aby milczał o swojej nocnej wyprawie, nie wcześniej o tem braciom opowiedział, aż kiedy święty ich archimandryta wyjechał zupełnie z Wilna na inne ważniejsze stanowisko. Poczynął szatan jeszcze i później niepokoić zakonników; dzwonił w nocy w dzwonek klasztorny, aby ich nastraszyć, wyprawiał różne harce na korytarzach i na cmentarzu, napadał na św. Józafata, kiedy ten trwał na modlitwie. Lecz i te napady nieczystego ducha zwyciężył święty swoją modlitwą i odpędził go wreszcie na zawsze znakiem krzyża świętego i wodą święconą.

Jako archimandryta, musiał Józafat często wyjeżdżać z Wilna jużto w sprawach swego monasteru, już to dla odwiedzenia i wzmocnienia ducha w nowych klasztorach w Bytenu i Żyrowicach, jużto w sprawach ważniejszych, wzywany przez metropolitę do Nowogródka i Ruty, gdzie niekiedy przebywał. Każda podróż Józafata była zarazem jakby misyjną wycieczką. Stanawszy bowiem gdziekolwiek na popas, dopytywał się zaraz o schizmatyków, rozglądał się, czy nie znajdzie kogo chętnego do słuchania słowa Bożego. Uczył katechizmu, przekonywał odszczepieńców o prawdziwości wiary katolickiej, grzeszników upominał do poprawy życia, a nawróciwszy ich, spowiadał ich zaraz i do komunji wysyłał do kościoła lub cerkwi według tego, do jakiego obrządku należeli.

Najważniejszą z podróży, jakie Józafat odbył w owym czasie, była podróż jego do Kijowa.

To miasto, od którego rozpoczęło się przy św. Włodzimierzu nawrócenie Rusi, było teraz siedliskiem najtwardszych schizmatyków. Metropolici unicy, chociaż nosili tytuł metropolitów kijowskich, jednak w owym mieście mieszkać nie mogli, dla wielkiego mnóstwa i oporu schizmatyków. Metropolita Rutski jednak wybrał się do Kijowa, aby objąć w posiadanie główną cerkiew kijowską św. Zofji. W drogę zabrał ze sobą i Józafata, który pragnął poznać kolebkę wiary świętej na Rusi i odwiedzić sławną peczęrską ławrę, czyli klasztor, w którym dawniej wielu pobożnych mnichów życie swe spędziło.

Skoro przybyli do Kijowa, Józafat wybrał się zaraz do ławry, położonej o pół mili za miastem. Metropolita, wiedząc jaką nienawiścią ku Józafatowi pałali schizmatyccy zakonnicy, odradzał mu te odwiedziny, ale pobożność Józafata względem miejsc niegdyś katolickich i świętych i gorliwość o szerzenie jedności kościelnej zniewalała go do tej pielgrzymki.

Kiedy się już zbliżał do ławry, spotyka jakiegoś mnicha, wybierającego się na polowanie w towarzystwie mnóstwa sług i psów. Był to Kurcewicz, pochodzący z książęcej ruskiej rodziny, który, chociaż wstąpił do klasztoru, nie porzucił jednak i tam swych wielkopańskich zabaw, wcale nie licujących ze stanem zakonnym. Zobaczywszy nieznanego sobie zakonika, pyta go Kurcewicz, kim jest? »Jestem Józafat, archimandryta św. Trójcy w Wilnie«, odpowiedział zapytany. Skoro to usłyszał Kur-

cewicz, wpadł we wściekły gniew, że widzi tak blisko siebie osławionego »duszochwata«. Obzczuca go najgorszymi przezwiskami, zdrajcą ojczyzny i cerkwi, uwodzicielem dusz; grozi mu, że go zabije i wrzuci do rzeki Dniepru. Wnet jednak niezamącony spokój Józafata rozbroił wściekłość Kurcewicza. Józafat niezmiernie wcale odpowiedział mu, że nie przyszedł tutaj, jako wróg, lecz jako przyjaciel i brat. Nie ma żadnych złych zamiarów względem ławry, a chociażby miał, to przecież jest sam i nic złego zakonnikom uczynić nie może. Pragnie tylko zwiedzić miejsce święte i poznać tutejszych zakonników. Udobruchał się Kurcewicz. Józafat wtedy, chcąc mu dać nauczkę: »Dziwię się, powiada, że tyle razy czytając regułę zakonną św. Bazylego, nigdzie nie wyczytał, że zakonnikom wolno polować«. Kurcewicz zniósł już i tę przymówkę, a Józafat poszedł dalej ku klasztorowi.

Kiedy od furty powiadomiono zarządzającego ławrą ihumena, że przybył do klasztoru Józafat, zadzwoniono w dzwonek klasztorny, aby się wszyscy czerńcy zeszli do jadalni. Lotem błyskawicy obleciała po wszystkich celach wieść, że »duszochwat« jest w klasztorze; zbiegło się więc przeszło 100 mnichów. Kiedy wprowadzono w pośród nich Józafata, wszczął się zgiełk nie do opisania. »Czego chcesz tutaj? Skądęś się tu wziął? Czy może chcesz i nas obałamucić, jak innych? Niedoczekanie twoje!



Wrzucić go do Dniepru, tego zdrajcę, tego bu rzyciela prawosławia!»

Józafat jednak znowu stał nieporuszony i wcale niezmiśnany. Nie mogąc dla wielkiego hałasu przemówić do nich, zwrócił się do ihumena, aby ich uspokoił. Kiedy ucichli, Józafat złożył im ukłon i pełnemi miłości słowami tak się do nich odzywa: »Przyszedłem do was jako do braci, aby się z wami zapoznać, i aby uczcić relikwie świętych. Cieszę się, że w waszym klasztorze tak wielu braci zakonnej się znajduje. Gotówem zostać pomiędzy wami, jeżeli znajdziecie pomiędzy sobą człowieka, który mnie przekona o prawdziwości waszej wiary«.

Mnisi uważnie go słuchali, bo się nie spodziewali takiej przemowy. Zaprośli go nawet na obiad, lecz on, podziękowawszy za posiłek, prosił ich, aby mu przynieśli słowiańskie księgi cerkiewne. Kiedy mu podano biblię, żywoty świętych i inne stare księgi, Józafat począł z nich udowadniać o potrzebie kościelnej jedności, o obowiązku posłuszeństwa papieżowi; pokazał im w historii, że Ruś wtedy przyjęła wiarę świętą, kiedy Kościół grecki trzymał się jedności z rzymskim, że metropolici kijowscy długi jeszcze czas uznawali papieża za głowę Kościoła całego. W końcu mówi do nich: »Jeśli kto z was udowodni mi, że to nie prawda, co mówię, chętnie z wami pozostanę«.

Czerńcy osłupieli, słuchając jak Józafat dzielnie bronił Unji z tych samych ksiąg, których oni codziennie do czytania i do służby Bożej

używali. Nikt z nich nie umiał nic odpowiedzieć na wywody Józafata; tylko słycać było, jak jeden do drugiego mówił: »Nie darmo nazywają go »duszochwatem«; umie on ciągnąć do siebie ludzi słodkiemi słowami«.

Św. Józafat, chociaż nie zdołał za jednym zachodem nawrócić peczerskich mnichów, jednak przynajmniej zyskał sobie ich poważanie do tego stopnia, że rozstali się z nim w wielkiej przyjaźni, owszem odprowadzili go do jego mieszkania, gdzie z niecierpliwością oczekiwał na niego metropolita Rutski. Zdziwił się też metropolita niemało, skoro zobaczył Józafata, wracającego w towarzystwie schizmatyckich mnichów; obawiał się bowiem, aby się mu co złego nie przytrafiło w ławrze.

W Kijowie św. Józafat nawrócił do Unji jednego ławnika z miejskiej rady i dwóch duchownych, którym też metropolita powierzył pieczęć nad cerkwią św. Zofji. Obadwaj oni później ponieśli śmierć męczeńską za sprawę wiary świętej.

Skoro się rozniosła po Wilnie wiadomość, że Józafat powrócił z Kijowa, całe prawie miasto wyległo na jego powitanie. Zwłaszcza ubodzy radzi byli temu powrotowi, bo znowu mieli swego opiekuna i ojca. W tym czasie nawrócił św. Józafat jedną bogatą schizmatyczkę. Przyszedł do jej mieszkania i począł łagodnemi słowami pouczać ją i namawiać do Unji. Ona, oburzona na Józafata, że śmiał jej wiarę ganić, poczęła go znieważać i nawet zamierzyła się, żeby go

uderzyć. Wtedy święty łagodnie przemówił w te tylko słowa: »Gdybym był wiedział, że dam ci powód do gniewu i obrazy Bożej, nigdy bym nie przyszedł do ciebie«. Poczem opuścił jej mieszkanie. Gwałtowna kobieta po chwili upamiętała się i poczęła rozważać słowa Józafata. Widać tknął ją Pan Bóg łaską swoją, bo wybiegła za świętym, upadła mu do nóg, przeprasząc za wyrządzoną zniewagę i obiecując się nawrócić. I rzeczywiście była potem najgorliwszą katoliczką i wiele innych niewiast, między którymi były nawet zakonnice schizmatyckie, do Unji przyprowadziła.

Wiele pociechy Cerkwi unickiej sprawił Józafat i tem, że nawrócił dwóch wielkich panów: Michała Druckiego-Sokolińskiego i Teodora Ty szkiewiczza, którzy posiadając ogromne na Litwie majątki i mając wielkie znaczenie w senacie, bardzo dużo poczęli czynić od tej pory dla dobra prawdziwej wiary. Pozostali też szczerymi przyjaciółmi Józafata.

## ROZDZIAŁ VIII.

### Św. Józafat zostaje biskupem.

Po kilku latach usilnej pracy z pomocą swych braci zakonnych Józafat prawie do szczętu wytępił schizmę we Wilnie i jego okolicach. Pozostała niewielka garstka odszczepieńców, ale i ci siedzieli dosyć cicho, tylko od czasu do czasu ich najzdolniejszy prowodyr Smotrycki odezwał się z jakimś pismem przeciw unitom, ale i on zaraz dostawał należytą odprawę. Zadanie więc Józafata we Wilnie zdawało się być skończonem i Opatrzność gotowała mu nowe pole do pracy.

Tem nowem polem miała być djecezja połocka na Białej Rusi. Biskupem tam był Gedeon Brolicki, 90-letni zgrzybiały starzec. Sam wprawdzie był on unitą i dobrego ducha i chęci, ale z powodu starości i niedołęstwa bardzo zapuścił sprawy cerkiewne. Wielka część duchowieństwa, chociaż na oko ulegała biskupowi, jednak nie tała się z tem, że jest usposobienia schizmatyckiego. Przytem ciemnota i zaniedbanie rzeczy świętych były ogromne w tamtych stronach. Metropolita Rutski, wróciwszy roku



1617 z Rzymu, gdzie zdawał Ojcu świętemu sprawę z postępów Unji, postanowił zaradzić opuszczonej djecezji połockiej, przez dodanie Brolnickiemu do pomocy drugiego biskupa, któryby też po jego śmierci objął samodzielne rządy nad tą djecezją. Na to stanowisko nie było zdolniejszego człowieka, niż archimandryta Józafat Kuncewicz. Jego też Rutski zamianował biskupem sufraganiem połockim, a król Zygmunt wybór ten chętnie potwierdził.

Chociaż całą tę sprawę metropolita układał w najgłębszym sekrecie, Józafat jednak dowiedział się jakimś sposobem o jego planach. Czując się niegodnym biskupiego urzędu, począł przemyślać, jakimby sposobem uchylić się od przyjęcia tego ciężaru. Po pewnym czasie Rutski otwarcie wyjawiał swój zamiar Józafatowi. Opisał mu opłakany stan djecezji połockiej, zaniedbanie duchowieństwa i ludu, upadek Unji. »Bóg chce, powiedział mu, abyś wziął na siebie pieczę nad duszami, które tam marnie giną«. Zamiast zgody na ten projekt, Józafat rzucił się metropolicie do nóg i błagał ze łzami, aby go uwolnił od tego ciężaru. Zgadzał się iść, jako zwykły zakonnik, do tamtejszej djecezji i pracować nad opuszczonym ludem, byleby tylko nie w mitrze biskupiej. Rutski jednak nie ustąpił prośbom, lecz w imię zakonnego posłuszeństwa rozkazał Józafatowi przyjąć biskupią godność. Józafat, jako dobry, posłuszny zakonnik, zamilkł na ten rozkaz. Jednak, żeby się za jakąbądź cenę uchylić od

urzędu biskupiego, począł myśleć o ucieczce na pustynię, ale i ten zamiar zgał mu O. Fabrycy, jezuita, do którego o radę się zwrócił.

W lipcu tegoż roku 1617 zwołał metropolita do swego majątku Ruty pod Nowogródkiem wszystkich zakonników, którzy wychowali się w klasztorze św. Trójcy, a teraz posiadali już pięć klasztorów. Przybył tam i Józafat, jako przełożony głównego klasztoru wileńskiego. Na tem zebraniu, które trwało przez 6 dni, przyjęto rozmaite postanowienia i reguły, mające na celu zapewnić zgromadzeniu bazylijańskiemu pomyślny rozwój i wzrost, jak również jednostajność zarządu i zwyczajów we wszystkich klasztorach. Pod koniec posiedzeń metropolita, po krótkiej przemowie do zgromadzonych, zwołał przed tron swój Józafata i doręczył mu nominację królewską na urząd biskupa sufragana dla djecezji połockiej. Józafat próbował jeszcze raz uchylić się od tej godności, upadł do nóg metropolity i ze łzami w oczach błagał go, aby mu pozostawił wolność. Rutski jednak nie zważał ani na łzy, ani na błagania Józafata. »To, czego od ciebie żądam, jest koniecznem dla chwały Bożej. Moje postanowienie jest nieodwołalne«. Józafat, widząc, że dłużej nie może się opierać woli wyższej, rzewnemi zalał się łzami. Przyjął królewski dyplom, ale zarazem postanowił, że biskupstwo odda zdolniejszemu od siebie, jak sądził, Smotryckiemu, jeśli ten wyrzeknie się schizmy i przyjmie Unję.

Dnia 12 listopada 1617 roku metropolita wraz z innymi biskupami poświęcił Józafata w Wilnie na biskupstwo z tytułem biskupa witebskiego i z prawem objęcia arcybiskupiego tronu w Połocku po śmierci Brolnickiego. Wielki tłum ludu wileńskiego brał udział w tej uroczystości, chociaż nie wszyscy z jednakowemi uczuciami wybór ten przyjmowali. Łacinnicy i unicy cieszyli się, że ten, który podkopał schizmę w Wilnie, jeszcze więcej będzie mógł zdziałać dla wiary świętej w Połocku; schizmatycy gniewali się, bo zawczasu mogli spodziewać się upadku swojej sprawy. Sam Józafat, przyjmując poświęcenie biskupie, tonął we łzach i gotował się w duchu do przyjęcia wkrótce wieńca męczeńskiego. Dziwne zrządzenie Boże! W niedzielę 12 listopada, otrzymywał godność biskupa witebskiego; również w niedzielę, 12 listopada, w sześć lat później, miał w Witebsku oddać życie swoje za sprawę Unji.

Ciężko było Józafatowi rozstać się z ukochanym klasztorem, z bracią zakonną, z ubogimi wileńskimi, dla których był ojcem i opiekunem. Zanim wyjechał na nowy swój posterunek, odosobnił się w swojej celi na piętnaście dni, w ciągu których, przestając sam na sam z Bogiem, wzmacniał modlitwą swe siły duchowe do przyszłych prac i walk z duchem ciemności. Kiedy skończył rekolekcje, napisał pełne dobroci i miłości listy do urzędu miejskiego w Połocku i do innych wpływowych osobistości,

aby je zjednać sobie wraz z ludem, nad którym miał objąć pasterzowanie.

Zbliżyła się wreszcie chwila rozłączenia z Wilnem. Całe miasto zbiegło się do św. Trójcy, aby pożegnać swego dobroczyńcę. Szlachta zjechała się z okolicy, aby złożyć swe powinnowania nowemu pasterzowi i życzyć mu powodzenia na nowym posterunku. Skoro św. Józafat ukazał się w drzwiach klasztoru, otoczyli go zewsząd ubodzy, wdowy, sieroty, rozległ się płacz serdeczny, jakby grzebali swego ojca rodzonego. Tak odprowadzili Józafata aż poza mury miasta. Pobłogosławiwszy po raz ostatni miasto i jego mieszkańców, puścił się święty w dalszą drogę w towarzystwie kilku zakonników, których zabrał ze sobą do Połocka.

Dzień 9 stycznia 1618 roku wyznaczony był na wjazd nowego biskupa do Połocka. Chociaż życie religijne było w wielkiem zaniedbaniu w tem mieście, jednak ponieważ nie było tam schizmatyckich bractw, ani innych wyraźnych i zawziętych wrogów zjednoczenia, przeto i wiadomość o zamianowaniu biskupem pomocniczym Józafata, znanego już w całym kraju ze świętości, przyjęto z radością. Tylko garstka była niechętnych, przedewszystkiem z dworzan i otoczenia starego arcybiskupa Brolnickiego, którzy przeczuwali, że z przyjazdem Józafata skończy się ich gospodarstwo w djecezji i w dobrach biskupich, z których oni nabijali sobie kieszenie, pozwalając kościołom upadać od starości.



Kiedy już zbliżała się godzina wjazdu, wyległy poza bramę na trakcie wileńskim rzesze ludu katolickiego tak ruskiego, jak i łacińskiego obrządku, ze swoim duchowieństwem na czele. Jezuici przyprowadzili uczniów swoich szkół. Zebrała się również szlachta i panowie z całego kraju; na czele ich stał Michał Sokoliński, którego Józafat przed paru laty nawrócił z herezji. Król Zygmunt przysłał w swoim zastępstwie Janusza Tyszkiewicza, pisarza księstwa litewskiego, który miał polecenie wprowadzić Józafata na tron biskupi. Przyjęcie było tak uroczyste, jakiego połączenie nigdy jeszcze nie widzieli. Wystrzały z armat zapowiedziały początek uroczystości. Skoro się karetą biskupia zbliżała ku bramie miejskiej i Józafat wysiadł z niej, wystąpił królewski poseł Tyszkiewicz i z taką przemową odezwał się do zebranych: »Z woli Bożej i Króla Jegomości przyprowadzam Cerkwi zjednoczonej biskupa, ozdobe szlachcie, miastu obronę, duchownej trzodzie pasterza od Boga wybranego«. Sokoliński w imieniu szlachty i miasta podziękował Tyszkiewiczowi za to wprowadzenie arcybiskupa, a zwróciwszy się do Józafata, przyrzekł mu należne posłuszeństwo, miłość i uszanowanie i prosił, aby pasterz wszystkich przyjął pod swoją opiekę. U bramy miejskiej ustawiony był ołtarz, zdobny w obrazy; przed tym ołtarzem ukląkł św. Józafat i długo się modlił o błogosławieństwo dla swoich owieczek. Obecni, patrząc na modlącego się biskupa, na jego skromność anielską,

postawę pokorną, oblicze pałające pobożnością, wznosili oczy i ręce do nieba, gorąco dziękując Bogu, że im dał takiego pasterza.

Po modlitwie pochód udał się procesjonalnie do katedralnej cerkwi św. Zofji. Naprzód szła młodzież ze szkół jezuickich, śpiewając pobożne pieśni. Za nimi kroczyli ławnicy urzędu miejskiego i inne ważniejsze osoby, potem duchowieństwo łacińskie, za niem ruskie, wreszcie sam Józafat w biskupich szatach, mając przy sobie towarzyszy swoich, zakonników klasztoru św. Trójcy. Pochód zamykali poseł królewski i wojewoda z pocztem szlachty.

Przez cały czas pochodu huczały dzwony i grzmiały armaty. Nowy biskup przybył procesjonalnie do katedry św. Zofji i tam zasiadł na tronie, aby od duchowieństwa przyjąć hołd na znak posłuszeństwa. Zakończyła się ta uroczystość odprawieniem mszy świętej i pobłogosławieniem ludu.

Następnie udał się św. Józafat do starego arcybiskupa Brolickiego. Można się było spodziewać, że zdzienniały starzec, nie zbyt mocno trzymający się jedności kościelnej, niechętnie przyjmie swojego młodego pomocnika, naznaczonego na tę godność bez jego wiedzy. Józafat jednak umiał i jego pozyskać sobie. Złożywszy mu głęboki ukłon, jako swemu zwierzchnikowi, oświadczył mu święty, że chce być jego najlepszym synem i czułą opieką otoczyć go w starości.

Nowy biskup odrazu pozyskał sobie serca

nie tylko wszystkich katolików, ale nawet wielu schizmatyków. Nie rozumiejąc, na czym polega Unja kościelna, obawiali się odszczepieńcy, że z przyjazdem Józafata, znanego szerzyciela Unji, będzie wyrzucony z cerkwi połockich obrządek ruski, a wprowadzona łacina, tak, jak w kościołach polskich. Zaraz też, podczas wjazdu Józafata do Połocka, dwaj starcy mieszczanie, nie wiadomo czy ze swojej prostoty, czy namówieni przez schizmatyków, nie mądrze się znaleźli. Wystąpili przeciwko biskupowi i jeden z nich zawołał: »Władnyko, trzymaj się mocno ruskiej wiary«, a drugi: »Jeśli przychodzisz w dobrym zamiarze, wstępuj w imię Boże, ale jeśli w złym, lepiejby ci było nigdy nie oglądać Połocka«. W ich głowach ciemnych wiara tyleż znaczyła, co obrządek. Nie rozumieli tego, że prawdziwa wiara godzi się z rozmaitemi obrządkami i językami.

Św. Józafat i swoim przykładem i wyraźną obietnicą wobec zatrwożonych miłośników ruskiego obrządku, udowodnił, że wcale nie zamierza wyrzucać dawnych ceremonij z cerkwi, owszem, że je kocha i szanuje i że Unja niczego więcej nie wymaga, tylko uznania Ojca św. papieża za głowę Kościoła i wiary we wszystkie prawdy przez tenże Kościół podawane. Wyjaśniło się więc wielu schizmatykom prawdziwe znaczenie Unji i dlatego zaraz w pierwszym tygodniu po przybyciu św. Józafata wielu z nich nawróciło się do jedności kościelnej.

Jedną z najpierwszych trosk Józafata było utwierdzenie starego arcybiskupa w wierze katolickiej. Podmawiany przez schizmatyków Brolnicki okazywał się nie bardzo przychylnym Józafatowi, lecz ten nie zrażał się wcale, ale pracował, jak prosty kapłan, w cerkwi nad ludem, a arcybiskupowi według swej obietnicy okazywał uległość i synowską miłość. Powoli też swoją cierpliwością, łagodnością i różnemi przysługami tak zjednał starca, że ten pozwolił Józafatowi rządzić według własnej myśli całą diecezją i pokochał go, jak syna. Zyskawszy zaufanie starca, począł mu przekładać ścisły obowiązek ulegania Stolicy świętej. Życie Gedeona zbliżało się ku schyłkowi. Józafat wyspowiadał go kilka razy, udzielił ostatnich sakramentów i nie odstąpił od jego łoża, aż starzec pojednany z Bogiem i w ścisłej jedności z Kościołem katolickim oddał ducha swego Bogu.



## ROZDZIAŁ IX.

Wewnętrzne urządzenie djecezji  
połockiej.

Po śmierci Brolnickiego, która nastąpiła w kilka miesięcy po przybyciu Józafata do Połocka, został Józafat samodzielnym arcybiskupem połockim. Cały ciężar zarządu obszernej djecezji, odnowienie w niej katolickiego ducha, wskrzeszenie wygasłej pobożności, spadły teraz w zupełności na jego barki.

Św. Paweł Apostoł pisał do ucznia swego Tymoteusza: *„A jeśli kto nie umie domu swego rządzić, jakąż pieczę będzie mógł mieć o Kościele Bożym!”*<sup>1)</sup> Mając tę naukę przed oczami, rozpoczął Józafat ogólną naprawę od własnego biskupiego domu. Zaprowadził w nim ład, pracowitość, oszczędność i pobożność. Służby tylko tyle trzymał, ile koniecznie było potrzeba przez wzgląd na jego wysoką godność, lecz od wszystkich domowników żądał życia cnotliwego. Leniwych, niewstrzemięzliwych, niespokojnych ludzi oddalił zarówno ze swego

pałacu, jak i z majątków biskupich. Chociaż nie mógł w pałacu biskupim zatrzymać w zupełności takiego ubóstwa, do jakiego nawykł w klasztorze, jednak starał się, aby meble i wszystkie inne rzeczy, jakkolwiek przyzwoite, były zarazem najskromniejsze i możliwie ubogie. Do pomocy w zarządzie całym swym domem powołał zakonników z Wilna: przyjaciela swego i spowiednika Ojca Gennadego Chmielnickiego i archidjakona Doroteusza Lecikowicza. Emanuelowi Kanakuzenowi, o którym wyżej mówiliśmy, powierzył nadzór nad służbą świecką. Ale i sam czuwał pilnie nad dobrem życiem swojej służby. Razu pewnego zauważono w pałacu kradzież pieniędzy. Aby wykryć, kto z domowników był złodziejem, służba biskupia użyła następującego zabobonu. Pokrajano ser na duże kawałki, na każdym z nich wypisano jakieś zabobonne słowa i rozdano pomiędzy wszystkich domowników. Kto nie zdoła zjeść swojej porcji sera, ten na pewno złodziej. Jeden z chłopców służących nie dał rady zjeść swojej porcji, wskutek czego oskarżono go o kradzież. Skoro doszło to do uszu św. Józafata, on w tej chwili zwoławszy wszystką służbę, surowo zganiał ją za głupią wiarę w zabobony i zasłonił niewinnego chłopca przed podejrzaniem. Po paru dniach wykryto prawdziwego złodzieja.

Reforma obyczajów tyczyła i księży, zostających przy boku arcybiskupa. Rozkazał im mianowicie, aby codziennie odprawiali mszę świętą,

<sup>1)</sup> Tymot., III., 5.

często się spowiadali i chodzili do Ojców Jezuitów na naukę potrzebną do godnego sprawowania sakramentu pokuty. Niektórym duchownym nie podobało się takie zarządzenie i poczęli sarkać na arcybiskupa, że ich, Rusinów, zmusza pobierać naukę u łacińskich księży. Dowiedziawszy się o tem, Józafat woła niezadowolonych i pyta ich: »Czy to źle pożyczyć u sąsiada ognia, kiedy swój zgaśnie?« Nie wiedząc do czego zmierza zapytanie, odpowiedzieli, że przeciwnie, mądrą jest rzeczą pożyczyć w takim razie ognia u sąsiada. Na to Józafat im zauważył: »A więc niema i w tem nic złego, jeśli szukać będziemy nauki tam, gdzie ona jest, skoro u nas jej brakuje. O Boże drogi! dodał jeszcze — tylu ludzi przyjaźni się ze schizmatykami, heretykami, nawet z żydami, a gniewają się, że ja okazuję przyjaźń kapłanom innego obrządku, z którymi łączy mnie też sama wiara, też sama praca nad zbawieniem dusz«.

Kiedykolwiek nadarzyła się sposobność, zawsze własnym przykładem pociągał Józafat swoje owieczki do poszanowania narówni ze swoim i łacińskiego obrządku. Bywał często u Jezuitów, w święta łacińskie zachodził do kościołów, celebrował w nich, brał udział w procesjach, zwłaszcza na Boże Ciało. Chciał w ten sposób pouczyć i pokazać wszystkim, że wszyscy chrześcijanie, uznający Ojca świętego za najwyższego pasterza, są braćmi i dziećmi tegoż

świętego Kościoła, chociaż w różnych obrządkach chwala Pana Boga.

Arcybiskupi połoccy posiadali obszerne dobra ziemskie, a w nich wielu poddanych i czynszowników. Do zarządu temi dobrami powołał Józafat ludzi doświadczonej wierności i sumienności, i polecił im, aby po ludzku obchodzili się z poddanym ludem i nie karali go za byle przewinienie. Chciał być dla wszystkich pastierzem i ojcem, nie zaś zdziercą i tyranem. Dlatego też o dochody z tych majątków nie wiele się troszczył. Dzierżawy i czynsze pozmnieszał; gdzie było mniej dochodów, tam wcale niczego nie żądał. Wpływające do jego kasy dochody rozdawał między ubogich. Tak zaraz w samym początku swych rządów rozdał ubogim całą arcybiskupią kasę, że później na własne potrzeby musiał się u Jezuitów zapożyczyć. Przez takie postępowanie z poddanymi zyskał u nich prawdziwą miłość i synowskie przywiązanie, czego inni panowie pewno nie mogli osiągnąć karami i surowością.

Józafatowi nie chodziło wcale o korzyści doczesne, lecz jedynie o zbawienie dusz. Urzędnikom swoim często powtarzał: »Bierzemy od ludu dobra doczesne; ich pot i prace utrzymują nasze ciała; starajmy się więc w pocie naszego czoła o zbawienie ich dusz«. Wierny tej zasadzie, sam przygotowywał swoich poddanych do spowiedzi, sam ich spowiadał, udzielał komunji świętej, zachęcał do dobrego życia, do wierności małżeńskiej, bojaźni Bożej, szcze-



rej pobożności. Zalecał, aby szanowali pilnie dni niedzielne i świąteczne i uczęszczali na nabożeństwa i nauki. Kapłanom, mającym swe parafje w biskupich dobrach, nakazał tak starać się o dusze ludzkie, aby żadna z nich nie zginęła. Lecz jeśli w jego majątkach znaleźli się tacy, którzy oddawali się rozpucie, kradzieży, pijaństwu, wierzyli w czary i zabobony i pomimo upomnienia poprawić się nie chcieli, takich rozkazywał wydalać, aby swoim złym przykładem nie psuli i nie zarażali dobrych. Stąd też wszyscy uczciwi poddani bardzo kochali swego biskupa, ohotnie wnosili należne z nich czynsze i podatki, które zaraz szły na potrzeby cerkiewne i na ubogich.

Kiedy Józafat obejmował tron biskupi, świątynie połockie znajdowały się w stanie okropnego zaniedbania. Sama nawet katedralna cerkiew św. Zofji, z powodu niedbalstwa poprzednich schizmatyckich biskupów, była doprowadzoną prawie do ruiny. Ściany były obdarte ze wszelkich ozdób, zapleśniałe, kąty pełne brudu, dachy dziurawe, sklepienia i kopuły groziły zawaleniem się. Trudno było modlić się w tej świątyni z obawy, że każdej chwili sklepienia mogą runąć i zasypać obecnych. Ludzie, szczerze dbający o chwałę Bożą, nie mogą obojętnie patrzeć na zaniedbanie domów modlitwy, nie mogą znieść brzydkości spustoszenia na miejscu świętem. Dlatego i Józafat, pałając gorliwością o cześć imienia Bożego, niebawem zabrał się do dzwignięcia i upiększenia upada-

jącej świątyni swojej. Chociaż restauracja katedry pochłoneła olbrzymie sumy, jednak nie żałował pieniędzy i w przeciągu kilku lat odnowił katedrę gruntownie i przyprowadził ją do wzorowego porządku i świetności. Sprawa ta tak mu leżała na sercu, że odzywał się niejednokrotnie, że pragnie umrzeć, skoro tylko katedrę odnowi.

Warto wspomnieć o jednym zdarzeniu, które pokazuje, jak najlepsze nawet chęci zli ludzie umieją na złe tłumaczyć. Katedra św. Zofji, zwyczajem wschodnim, posiadała pięć kopuł. Według tłumaczenia ludowego kopuła środkowa, największa, miała oznaczać papieża, a mniejsze kopuły narożne — czterech wschodnich patryjarchów. Przy restauracji katedry trzeba było rozebrać kopuły dla odnowienia. Kiedy się na cerkwi pokazała odnowiona tylko kopuła środkowa, a innych jeszcze nie było, schizmatycy rozpuścili wieść, że arcybiskup wyrzucił z cerkwi czterech patryjarchów, a tylko papieża zostawił i uczcił go przez odnowienie i podwyższenie środkowej kopuły. Szemrania te obły się o uszy Józafata, lecz on, śmiejąc się, tak im odpowiedział: »Dobrze: przywrócę ja wam i czterech patryjarchów, ale pod warunkiem, że nie odłączą się od swojej głowy, papieża rzymskiego«. I rzeczywiście wkrótce rozpoczął odnawiać i boczne kopuły, lecz śmierć męczeńska nie pozwoliła mu samemu dokonać tego dzieła: skutecznili to jego następcy na arcybiskupstwie.

Oprócz katedry odnowił Józafat wiele innych cerkwi tak w samym Połocku, jak po innych miastach: w Orszy, Witebsku i gdzieindziej, wszędzie zaprowadzając czystość i porządek. Ta jednak gorliwość o ozdobę domów Bożych o mało się nie stała przyczyną śmierci Józafata. Wkrótce po objęciu rządów nad djecezją udał się do Witebska, miasta, które było gniazdem najzatwardziałyzych schizmatyków. I tutaj, jak wszędzie, znalazł cerkiew w ogromnem zaniedbaniu. Widząc ikonostas pokryty tak grubo kurzem, brudem i pajęczyną, że obrazów nie można było rozpoznać, kazał go wynieść z cerkwi i oddać do oczyszczenia i pozłoty. Schizmatycy zaraz skorzystali z tego i rozgłosili po mieście, że władca widocznie stał się łacinnikiem, bo nawet ikonostas z cerkwi usunął. Ciemni ludzie, przywiązani bardzo do swoich obrazów, poczuli się burzyć, a nawet grozić zabiciem arcybiskupa. Jeden ze schizmatyków publicznie zagroził Józafatowi, że zginie, jeśli ikonostasu nie przywróci. Wkrótce uspokoił się wszyscy, bo nie tylko zobaczyli ikonostas na właściwem miejscu, ale przytem jeszcze odnowiony i wyzłocony.

Podczas nieporządków w kraju, a zwłaszcza wojny z Moskwą, bardzo wiele posiadłości, należących do arcybiskupa lub do cerkwi i klasztorów, zagrabili ludzie świeccy i zwrócić ich dobrowolnie nie chcieli. Musiał więc Józafat sędownie dochodzić kościelnej własności. W tym celu pilnie przeglądał cerkiewne księgi i akty,

robił poszukiwania w archiwach urzędowych, a gdzie tylko trafił na ślad, że jakaś posiadłość, pozostająca w rękach świeckich, należała przedtem do Kościoła, tak długo nie spoczął, aż ją odebrał z rąk przywłaszczycieli. Łatwo sobie wystawić, ilu tym sposobem narobił sobie nieprzyjaciół. Nienawiść tych, co musieli zwrócić nieprawnie zagrabione dobra, oczernienia rozmaite, nastawiana na życie — oto co spotykało gorliwego arcybiskupa. Nie zważał jednak na wszystkie te przeszkody, gdzie chodziło o sprawiedliwość. Wszak on nie dla siebie odbierał te dobra cerkiewne, lecz na to, aby mieć z czego czynić ofiary na odnowę cerkwi i na utrzymanie ubogich.

Szlachecka rodzina Korsaków przywłaszczyła sobie cały monaster św. Romana i Dawida. Kiedy Józafat zażądał zwrotu klasztoru, nasłano złoczyńcę, który miał zabić arcybiskupa. Pomimo grożącego sobie niebezpieczeństwa Józafat klasztor odebrał, odnowił go, cerkiew przy nim uporządkował i do obsługi jego sprowadził z Wilna od św. Trójcy kilku zakonników odnowionego ducha. Podobnie odebrał schizmatykom klasztor w Braślawiu i Mściślawiu, osadzając i tam swoich zakonników.

W Połocku znajdował się monaster żeński Bazylianek, bardzo zaniedbany i opuszczony. Św. Józafat sprowadził niebawem kilka zakonnic z Wilna, których niegdyś sam był przewodnikiem duchownym, osadził je w zaniedbanym klasztorze i polecił im przeprowadzić reformę



dawnych tego klasztoru mniszek. Wkrótce pod osobistym dozorem i kierownictwem arcybiskupa zgromadzenie to odrodziło się na duchu i wzrosło w liczbę. Wstępowały do tego klasztoru panny z najpierwszych w kraju rodzin i monaster dostarczał Cerkwi wiele świątobliwych zakonnic, a nawet męczennic za wiarę świętą.

Ogrom dokonanych przez Józafata prac w tak krótkim, bo zaledwie kilkoletnim przeciągu czasu był tak wielki, że pojęcie przechodzi, jak siły jednego człowieka mogły podolać takiemu zadaniu. Jest to jednak zwykły sekret świętych ludzi, którym łaska Boża pomnaża siły i czas do pracy na chwałę Najwyższego.

## ROZDZIAŁ X.

### Reforma duchowieństwa na Białej Rusi.

Po schizmatycznych swych poprzednikach odziedziczył św. Józafat w diecezji połockiej okropne zaniedbanie wśród duchowieństwa, tak co do nauki, jak i co do czystości obyczajów. Kraj z imienia chrześcijański w gruncie rzeczy niezajomością prawd wiary świętej i upadkiem życia pobożnego graniczył z pogaństwem. Trzeba było niejako na nowo ewangelizować i nawracać ten kraj do chrześcijańskiej wiary, a nawracanie to rozpocząć od samego duchowieństwa, które niewiele było światlejsze, ani pobożniejsze od prostego, zaniedbanego ludu. Takie zadanie wypadło na dolę świętego arcybiskupa i jego nielicznych pomocników, mnichów bazylijskich.

Żebyśmy mieli pojęcie, jak ciemnem było duchowieństwo ruskie w owych czasach, dosyć powiedzieć, że całe jego wykształcenie ograniczało się do tego, iż zwykły duchowny umiał ledwie czytać księgi cerkiewne i śpiewać byle jako służbę Bożą, ale o prawdach wiary świętej nie wielkie miał wyobrażenie. Trafiali się i tacy, co nawet podpisać się nie umieli. Szkół dla

wychowania duchownych wcale nie było; ojciec nauczył syna trochę modłów i śpiewu cerkiewnego, żenił go i posyłał do władzyki po święcenia kapłańskie. Czego taki duchowny mógł nauczyć powierzonych sobie parafjan? Żeby zaradzić tej ciemnocie duchowieństwa chociaż w części, św. Józafat ułożył i wydał krótki katechizm prawd wiary świętej, polecił nauczyć się go na pamięć wszystkim kapłanom swojej diecezji, aby potem umieli pouczać lud i dzieci.

Ważniejszą jednak rzeczą od oświaty była naprawa prywatnego życia duchownych. Gorliwości o chwałę Bożą i o dusz zbawienie oni nie znali: całą ich troską było to, aby wyżywić siebie i swoją rodzinę, a jeśli się da, to i dorobić się czegoś. Stąd jedni trudnili się handlem, inni zagrzebywali się w gospodarstwie, inni pożyczali pieniędzy na wysokie procenty, byli i tacy, co utrzymywali karczmy. Przytem pijaństwo było prawie powszechne między nimi. Tacy ludzie, przeważnie z ciężkimi winami na sumieniu, bez spowiedzi, ośmielali się przystępować do ołtarza i odprawiać służbę Bożą. Łatwo pojąć, jakie z tego płynęło zgorzenie dla ludu. Zwykle, bowiem, jaki nauczyciel, tacy i uczniowie, jaki pasterz, takie i owce bywają.

W celu naprawy obyczajów duchowieństwa św. Józafat ułożył przepisy kapłańskiego życia, podzielone na 48 reguł, i wszystkim podwładnym kapłanom surowo nakazał do przepisów tych stosować się. W regułach swych przypomniał kapłanom najpierw obowiązki częstego spowia-

dania się, aby mieli sumienie czyste i świecili dobrym przykładem swoim owieczkom. Nakazał im odmawiać codziennie brewiarz, a liturgję świętą odprawiać przynajmniej we wszystkie niedziele i święta. Ponieważ za czasów schizmatycznych lud prawie zupełnie odwykł od spowiedzi i komunji świętej do tego stopnia, że wielu nawet opuszczało spowiedź wielkocną, nakazuje przeto arcybiskup, aby kapłani skłaniali wiernych do odbycia obowiązkowej spowiedzi, a do dalszych wiosek aby sami się udawali dla wysłuchania spowiedzi swoich parafjan. Zabronił surowo wymagania zapłaty za spowiedź, komunję i inne sakramenta. Karcił pijaństwo, uczęszczanie do karczmy, biesiady u świeckich, karciarstwo, lichwę i inne występki.

W kościele wschodnim wolno święcić na księży ludzi żonaty, ale jeśli żona umrze, nie wolno wstępować księdzu w powtórne związki małżeńskie. Pomimo jednak takiego prawa kościelnego, bardzo wielu znalazło się takich właśnie »dwożeńców«. Józafat wystąpił przeciwko takiemu gwałceniu prawa kościelnego i zarządził, że każdy z kapłanów, który po śmierci pierwszej żony ośmieli się pojąć drugą, będzie pozbawiony urzędu kapłańskiego na zawsze i wykluczony z Kościoła; tym zaś dwożeńcom, którzy pożenili się przed wydaniem reguł, zakazał św. Józafat odprawiać mszę św. i słuchać spowiedzi; nie pozbawił ich jednak przez litość posad parafjalnych, tylko rozkazał, aby na swój koszt przyjęli wikarjuszów do sprawowania



świętych sakramentów. Tym sposobem położył koniec zgorszeniu, jakie dawali wiernym księża powtórnie żonaci.

Najlepsze i najrozumniejsze prawa i przepisy nie wiele skutkują, jeśli nikt nie czuwa nad ich wykonaniem. Przepisy, dotyczące życia kapłańskiego, porucił św. Józefat czujności i opiece dziekanów, którzy mieli często zdawać mu sprawę o każdym kapłanie, jak owe przepisy w życiu zachowuje, a sami winni byli dawać podwładnym księżom dobry przykład sumiennego wypełniania woli arcybiskupa. Im kto na wyższym szczeblu godności kościelnej postawiony, tem większej potrzeba mu cnoty, i dlatego, kiedy od księży parafjalnych żądał Józefat spowiedzi kilka razy do roku, to dziekanom włożył obowiązek, aby sami co tydzień oczyszczali swe sumienia w sakramencie pokuty.

Siła katolickiego Kościoła między innymi rzeczami leży i w ścisłym zjednoczeniu niższego duchowieństwa ze swoim biskupem i we wzajemnej między nimi miłości, podczas gdy u odszczepieńców biskup uważa się za wysokiego pana i urzędnika i z niższym klerem mało chce się znać. Zamiast miłości panuje tam bojaźń i niechęć. Wyznają to i teraz sami popi; było to samo za czasów Józefata. Dlatego też święty ten arcybiskup nie zadowolnił się wydaniem mądrych a surowych przepisów kościelnych, ale pragnął osobiście poznać wszystkich poddanych kapłanów, ojcowską radą, serdecznym napomnieniem, współczuciem w ich niedostatkach

pociągnąć i przywiązać do siebie ich serca i zachęcić do świętobliwego kapłańskiego życia i do umiłowania jedności kościelnej. W tym celu objeżdżał ustawicznie swoją diecezję i własnym przykładem pouczał, jakie są obowiązki dobrego pasterza; dobrych księży zachęcał do coraz lepszego spełnienia pasterskich obowiązków, niedbałych i występnych duchownych napominał po ojcowsku, a w razie niepoprawy usuwał z parafji, lub do awał im gorliwszych duchem pomocników. Dla podźrmania ducha gorliwości kapłańskiej, jak również dla naradzania się nad dobrem Kościoła, zwoływał w różnych porach roku synody, czyli zjazdy wszystkich kapłanów w Połocku, Witebsku, Mściławiu. Sam na tych synodach przewodniczył, egzaminował kapłanów, ogłaszał nowe rozporządzenia, wywiadywał się o potrzebach różnych parafji, zachęcał kapłanów do wytrwałej pracy na chwałę Bożą i dusz zbawienie.

Stan kapłański, jeśli ma godnie i z pożytkiem dla dusz ludzkich pracować, musi być zależny od swojej tylko władzy, to jest kościelnej, przez Chrystusa Pana ustanowionej. Największe zaś nieszczęścia, jakie na Kościół spadały, pochodziły stąd, że oprócz prawowitej władzy kościelnej mieszały się do rzeczy religijnych ludzie świeccy, nie mający żadnego na to od Chrystusa Pana posłannictwa. Kiedy św. Józefat obejmował urząd arcybiskupa w połockiej diecezji, nie lepiej tam się działo. Wprawdzie rząd polski nie uciskał Cerkwi i nie wtrącał się do jej zarządu,

ale za to wielu możnych i bogatych panów przywłaszczało sobie władzę nad kapłaństwem, a nawet nad samymi biskupami ruskimi. Wszak wiemy, że taki książę Ostrogski, o którym wyżej była mowa, rozdawał komu chciał biskupstwa, uważając się jakby za głowę ruskiego Kościoła. Nadto niższe duchowieństwo było w zupełnej zależności od dworu i musiało na równi z innymi chłopami odrabiać pańszczyznę. Panowie mieszały się do spraw czysto duchownych; np. określali sposób nabożeństwa, dawali nawet rozkazy małżonkom. A jeśli jaki pan pobudował na swoim własnym gruncie cerkiew lub kaplicę, to już sądził, że i biskup nie ma do takiej świątyni prawa i że panu wolno przyjąć na proboszcza kogo zechce, choćby się biskup temu sprzeciwiał. Stąd pochodziło dużo zamieszania w stanie kapłańskim, dużo niepostuszeństwa władzy kościelnej, ogólne uciężnienie Kościoła. Gorliwa dusza świętego arcybiskupa nie mogła pogodzić się i przystać na takie poniżenie Kościoła. Z tego powodu wydał rozporządzenie, aby kapłani w rzeczach duchownych nie uznawali nad sobą i nie poddawali się żadnej świeckiej władzy, lecz słuchali we wszystkim swego pasterza, nadto aby nie przyjmowali z rąk świeckich osób żadnych godności ani obowiązków kościelnych bez jego wiedzy i zezwolenia. Wprawdzie powstało stąd wielkie niezadowolenie wśród świeckich, a sądy, urzędy i szlachta oburzali się na arcybiskupa, że ukrócił ich władzę nad Kościołem, lecz św.

Józafat, jako dobry pasterz, gotów był życie oddać w obronie praw i wolności Kościoła świętego i na żadne szemrania wcale nie zważał.

Przez kilka lat czujnej pasterskiej pracy nad powierzonym sobie duchowieństwem, przez obronę jego wobec ludzi świeckich, podniósł święty arcybiskup kapłanów i pod względem wykształcenia i pod względem cnoty. Za wiele jednak chwastów schizma pozostawiła po sobie, aby je można było w tak krótkim czasie wyrwać z korzeniem. I dlatego, kiedy uskarżano się przed Józafatem na grubiaństwo i nieuctwo księży, mógł śmiało odpowiedzieć, co odpisał jednemu panu na taki sam zarzut: »Jeśli niektórzy z kapłanów moich są nieokrzesani, przyczyną tego jest to, że ich wychowała schizma, nie zaś Unja; nie zwalajcie więc na mnie odpowiedzialności, ale na schizmę.«



## ROZDZIAŁ XI.

## Sw. Józafat wzmacnia jedność kościelną.

Wszystkie prace i wysiłki, wszystkie myśli i pragnienia Świętego zwracały się ku temu jednemu celowi, aby wzmocnić w diecezji połockiej jedność z Kościołem katolickim. Widzieliśmy, że w pierwszych latach swego pasterskiego urzędu nie natrafiał na żadne poważniejsze przeszkody ze strony ludu. W Połocku, Witebsku i innych większych miastach diecezji przyjmowano go z zapalem. Jedno tylko miasto Mohylew nad Dnieprem, zbuntowane przez intrygi schizmatyków, umyśliło stawić opór swemu biskupowi i nie wpuścić go wcale do miasta. Kiedy arcypasterz przybył w towarzystwie kapłanów i zakonników na wizytę pasterską, schizmatycy zamknęli przed nim bramy, a na wały miejskie wytoczyli armaty, jakby do nich zbliżało się jakieś wojsko nieprzyjacielskie. Nie pomogły oświadczenia biskupa, że przybywa do mieszkańców miasta z miłością, jako ojciec do swych dzieci: nie chciano go słuchać i odgrazano się świętemu biskupowi. Przy tym oporze buntowano się również przeciw królewskiej

władzy i zamiast za króla, popi modlili się za tureckiego sultana. Sprawa tego buntu oparła się aż o sąd królewski, który też głównych winowajców skazał na śmierć za zdradę stanu. Wyrok ten jednak wcale nie był wykonany. Polecono przytem mohylewianom, aby poddali się władzy duchownej arcybiskupa Józafata. Schizmatycy uciekli się wtedy do często praktykowanego w ich sekcie środka — do przekupstwa. Złożyli trzy tysiące złotych i posłali je św. Józafatowi, aby się zrzekł władzy swojej nad ich miastem. »Mylicie się, moje dzieci, odpowiedział im łagodnie święty. Ja nie chcę waszych pieniędzy, ale dusz waszych. Darów Ducha świętego nie sprzedaje się«. Chcąc nie chcąc, musieli schizmatycy ustąpić cerkwi i monasterów prawowitemu unickiemu pasterzowi.

W innych miastach diecezji Unja przyjmowała się bez oporu. Częste synody, pasterskie wizyty, dobroć ojcowska Józafata względem niższego duchowieństwa jednała mu serca i przywiązywała je do jego osoby, a przez to i do Unji. Trafiato się tu i ówdzie, że jaki kapłan starych zwyczajów był niechętny arcybiskupowi, ale tych niechętnych było coraz mniej. W celu wzmocnienia jedności kościelnej dopilnował Józafat, aby podczas liturgji, w tak zwanych *ekteniach*, nie opuszczano modlitwy za arcybiskupa, gdyż w ten tylko sposób kapłani i lud oświadczały swą jedność z biskupem, a przez niego i z całym Kościołem.

Pozyskawszy dla Unji duchowieństwo para-

fjalne, święty Józafat przywiązał do niej i lud cały, który widząc tyle zmian dobrych w cerkwi, jako to częstsze i uroczystsze nabożeństwa, większą gorliwość swych proboszczów, patrząc na dzwigające się cerkwie, wiedział, że to wszystko zawdzięcza Unji i świętemu swemu arcybiskupowi, i wskutek tego coraz więcej przywiązywał się do prawdziwego Kościoła.

Ale zawsze pozostawała przy schizmie jakaś część diecezjan, przedewszystkiem z pomiędzy szlachty i mieszczaństwa. Czujne oko Józafata zwrócone było ustawicznie ku tym zbłąkanym owieczkom. Pomny na słowa Zbawiciela: „*I drugie owce mam, które nie są z tej owczarni i one potrzeba abym przywiódł, i słuchać będą głosu mego i stanie się jedna owczarnia i jeden pasterz*”<sup>1)</sup>, starał się wszystkimi siłami sprowadzić błądzących do owczarni Kościoła powszechnego. Nie nawracał ich jednak tak, jak schizmatycy nawracają na swoją wiarę, batem i więzieniem, wysyłąk w dalekie kraje. Nie! jedyną bronią świętego było słowo prawdy i miłości. Ze słowem tem szedł nawet do mieszkających błądzących swych synów, pierwszy pozdrawiał ich przy spotkaniu na ulicy, zapraszał nawet do swego stołu, a zawsze rozprawiał z nimi o wierze i Kościele, zbijał ich błędy i uprzedzenia, rozwiązywał trudności.

Pomimo tylu prac, połączonych z urzędem biskupim, często wstępował na kazalnice, aby

<sup>1)</sup> Jan X. 16.

osobiście uczyć zebrany lud dróg zbawienia, Ludzie tak lubili słuchać jego kazań, że kiedy razu pewnego odezwał się z ambony: »Nie będę was, dzieci, długo trzymał na mojem kazaniu«, wszystek lud zawołał głośno: »Mów, Ojcze, chociażby przez cały dzień, myśmy gotowi ciebie słuchać«. To też podczas jego kazań kościół św. Zofji był zawsze przepelniony; oprócz wiernych przychodziło mnóstwo schizmatyków, tak, że zawzięci z nich zatrzymywali w domu swe żony i dzieci z obawy, aby nie poszły na kazanie arcybiskupa i nie nawróciły się do Unji.

Słowo kaznodziei nie robi jednak tyle dobrego, co dobra książka. Słowo przebrzmi i pójdzie u niejednego w zapomnienie, a książkę można po kilkakroć przeczytać. Słowo kaznodziei słyszą tylko ci, co są w kościele, podczas gdy dobra książka rozchodzi się daleko i trafia i do takich, którzy do kościoła nie chodzą. Rozumiał to dobrze św. Józafat i dlatego starał się o rozszerzanie dobrych książek pomiędzy ludem unickim, a nawet między schizmatykami. Polecał drukować religijne książki, tłumaczone na język ruski z łaciny i innych obcych języków; sam nawet, pomimo tylu zajęć, napisał dziełko pod tytułem: „*Obrona Unji*“, które niejednej duszy otworzyło oczy, jak niesłuszne są zarzuty przeciw wierze katolickiej i niejednego schizmatyka do prawdziwej wiary przywiódło. Między takimi nawróconymi był radny miasta Połocka, Jan Dziahiel-



wicz, który sam potem przed władzą kościelną o swoim nawróceniu opowiadał. Będąc jeszcze w Wilnie, uciekał z cerkwi, skoro na ambonę wyszedł Józafat: tak się bał *duszochwytą*; ale łaska Boska szczególnie ściła tego człowieka, bo w Połocku z urzędu swego musiał mieć styczność z tymże samym *duszochwytą*, już jako arcybiskupem, a siódmych ojcowska świętego i książki przezeń dawane pociągnęły go wreszcie do prawdziwej wiary, za co nie mógł się Bogu wydziękować.

Kiedy się ktoś nawraca, czy to z fałszywej wiary do prawdziwej, czy też od życia złego do dobrego, nie dosyć tylko zacząć dobrze wierzyć i żyć, ale trzeba przeprosić Pana Boga za grzeszną przeszłość. I na to Chrystus Pan ustanowił sakrament spowiedzi świętej. Schizmatycy popi przez brak ducha Bożego doprowadzili, jak już mówiliśmy, do tego, że mało kto się chciał spowiadać, a przytem za spowiedź trzeba było się opłacać. Doszło więc do tego, iż młodzież aż do ślubu prawie nigdy się nie spowiadała, chociaż ten wiek najbardziej potrzebuje pomocy sakramentów świętych, a między starymi znajdowali się tacy, co głowę mieli już siwizną przypruszoną, a u spowiedzi nigdy jeszcze nie byli. Dorastających dzieci nikt z popów katechizmu nie uczył, a do spowiedzi ich przypuszczać nie chciano, jako wcale nieprzygotowanych, chociaż i dorośli lepszego przygotowania nie mieli. Św. Józafat, jako dobry pasterz, nie mógł znieść widoku tego duchow-

nego głodu swych owieczek. Nakazawszy podwładnym kapłanom, aby często słuchali wiernych spowiedzi świętej, sam pierwszy dawał przykład świętej gorliwości. Całemi godzinami czy to w kościele czy w podróży, gdzie się tylko nadarzyła sposobność, zasiadał do słuchania spowiedzi ludzi choćby najprostszych, najuboższych i najbardziej opuszczonych. Często się zdarzało, że kiedy potem kapłani pytali na spowiedzi: u kogoś się spowiadał ostatnią razą — odpowiadano: a u kogóżby, jak nie u naszego świętego arcybiskupa? przecie on nikim nie pogardza i wszystkich do siebie dopuszcza. Szczególną troskę okazywał Józafat względem chorych po szpitalach i często sam chodził jednać ich z Panem Bogiem i Kościołem. Tak samo zaprowadził zwyczaj, aby dorastającą młodzież nie odpędzano od sakramentów, lecz uczono katechizmu i przyciągano do spowiedzi i komunji świętej.

Taką wszechstronną a gorliwą pracą Józafat w przeciągu pierwszych trzech lat swego pasterzowania doszczętnie wytepił odszczepieństwo w swojej djecezji. Wspomniany wyżej radny Dziahiłewicz tak świadczył po śmierci Józafata. »Za czasów biskupstwa Gedeona Brońnickiego my wszyscy byliśmy schizmatykami; Józafat pozyskał nas dla Unji świętej«. A zarazem dodał: »Nigdy nie słyszał z ust Józafata przykrego słowa, któreby mogło obrazić schizmatyków, On mógł ich zupełnie zniszczyć, bo prawo dawało władzę nad nimi, mógł ich przynajmniej

karać, tymczasem nigdy nie użył żadnych środków przemocy. On im tylko powtarzał ustawicznie, że jedynym jego pragnieniem było przywieść ich do posłuszeństwa rzymskiemu papieżowi».

## ROZDZIAŁ XII.

### Wewnętrzne cnoty świętego arcybiskupa.

W życiu świętych mężów najwyższego podziwu godną rzeczą jest to, że przy największych i najliczniejszych zewnętrznych zajęciach swego urzędu czy stanu, znajdują czas i na to, aby pracować nad doskonałością i uświęceniem swojej własnej duszy. Widzimy to samo i w życiu naszego świętego arcybiskupa. Zostawszy pasterzem tak obszernej i opuszczonej duchowo owczarni, zdawałoby się, że nie zdoła utrzymać się na tym stopniu życia pobożnego i skupionego, do jakiego ślubami zakonnymi był się zobowiązał. Tymczasem on wszystkich sił dołożył, aby i na tronie biskupim pozostać prawdziwym zakonnikiem.

Jednym z najpierwszych dobrego zakonnika obowiązków jest modlitwa. Aby z czasu, mogącego być obróconym na dobro owieczek, nie nie uronić, a przytem i modlitwy nie opuścić, Józafat wstawał nocami na modlitwę i rozmyślanie. Spoczynek jego trwał ledwo parę godzin, resztę nocy spędzał na ćwiczeniach du-



chownych. Oprócz tych modłów prywatnych, pilnie dbał, aby nigdy nie opuścić i modłów publicznych Kościoła: jutrzni, nieszpórów i innych części służby Bożej. Wiadomo, że nabożeństwa Cerkwi wschodniej są bardzo długie i nużące i dlatego mało kto w całości je odprawiał. Podwładnym swoim, zważając na ich słabość, święty pasterz pozwalał skracać brewiarz, ale sam z tej ulgi nigdy nie chciał korzystać i w katedralnej cerkwi św. Zofji wszystkie nabożeństwa musiały być w całości odprawiane. O Gennadiusz Chmielnicki, który był spowiednikiem i ekonomem arcybiskupa, i u którego znajdowały się klucze katedry, opowiada, że św. pasterz zwykł był nad ranem wchodzić do jego pokoju, skąd zabierał klucze od kościoła; otwierał następnie świątynię, dzwonił na jutrznię, zapalał świece na ołtarzu, i udawszy się do chóru, oczekiwał, aż wszyscy zakonnicy i kapłani zejdą się na nabożeństwo. W nabożeństwach tych sam brał udział narówni z prostymi zakonnikami, a śpiewając godziny kanoniczne miłym i melodyjnym swym głosem, wszystkich zachęcał i zapalał do pobożności.

Taką samą gorliwość o chwałę Bożą okazywał we wszystkich swych pasterskich podróżach po diecezji. W tym też celu tak układał sobie plan drogi, aby o zwykłej godzinie nabożeństwa mógł się znaleźć w miejscowości, mającej cerkiew, dokąd zachodził ze swoimi towarzyszami, aby odśpiewać całą służbę Bożą. Tym sposobem czynił zadość potrzebie swego serca,

a jednocześnie parafjalnemu duchowieństwu dawał przykład, jak należy być sumiennym w wykonywaniu obowiązków kapłańskich.

Dla swoich modlitw prywatnych szukał ustronnych miejsc, gdzieby mógł bez przeszkody obcować z Bogiem. — Cmentarz grzebalny, jakiś oddalony kącik ogrodu, oto miejsca, gdzie spędzał długie nocne godziny na rozmowie z Panem Bogiem. Treścią jego modlitw były przedewszystkiem prośby o łaskę nawrócenia do prawdziwej wiary dla tych, którzy byli poza Kościołem Chrystusowym. »Panie Boże, daj nam wszystkim jedność, nawróć schizmatyków, heretyków i pogan«: taka modlitwa nie schodziła z ust gorliwego arcybiskupa.

Szczególniejszą miłością i nabożeństwem do Najświętszej Bogarodzicy pałał nasz święty, a Pan Bóg cudownymi zdarzeniami okazywał, jak miłą mu była ta cześć Niepokalanej Panny. Dwaj słudzy pałacu arcybiskupiego zauważywszy, że święty wychodzi nocami z pałacu, postanowili podpatrzeć, dokąd też i poco on się udaje. Poszli więc jednej nocy za nim po cichu, obserwując z ciekawością każdy krok jego. Święty arcybiskup bosemi nogami, choć to była zima, przeszedł przez dziedziniec pałacu, przez cmentarz grzebalny i zatrzymał się przed drzwiami cerkwi, gdzie na zewnętrznej ścianie był obraz Matki Bożej. Upadł przed nim na kolana i począł się modlić. W tejże chwili dwa ogniste promienie wyszły od obrazu i okryły światłem modlącego się biskupa. Jakby w słońce

odziany, a przytem podniesiony od ziemi, zatopił się w gorącej modlitwie. Słudzy zadziwieni tym widokiem, cofnęli się ku pałacowi, z głębokiem przeświadczeniem o świętości swego pana.

Mówiliśmy już wyżej o wielkich umartwieniach, jakie sobie zadawał święty, gdy był prostym zakonnikiem. Otóż nie pofolgował on swemu ciału i na urządzie biskupim, owszem pomnażał swoje umartwienia. To samo było już wielkiem umartwieniem, że zachowywał długie i uciążliwe posty, przepisane przez prawo kościelne we wschodnim obrządku, i że, jako zakonnik, powstrzymywał się wiecznie od mięsnych potraw, nawet podczas słabości nie chcąc ich używać. Dla niego jednak za mało było tej surowości. On jeszcze sam dobrowolnie wynajdywał rozmaite sposoby znęcania się nad własnem ciałem, aby je zupełnie podbić pod panowanie ducha. Ulubionem umartwieniem świętego arcybiskupa było po dawnemu bicowanie, aż do tego stopnia, że krwią własną się oblewał.

O umartwieniach Józafata pewne świadectwa zostawił nam także towarzyszący mu wszędzie archidjakon Doroteusz. Kiedy zimową porą bawił z arcybiskupem w którymś majątku na wsi, wyszedł jednego razu na przechadzkę do pobliskiego lasu. Niespodziewanie spotkał tam swego arcybiskupa, lecz jakież widok przedstawił się jego oczom! Józafat klęczał na śniegu, ramiona i plecy miał obnażone po pas i niemi-

łosiernie uderzał się różgami. Zmęczony uderzeniami padał krzyżem na śniegu, głośno się modląc, a skoro odzyskał siły, znowu rozpoczął katować swe ciało. Doroteusz zawahał się na chwilę, nie wiedząc co czynić. Zdjęty litością zbliża się wreszcie do biskupa. »Dosyć, Ojczy, odzywa się doń — dosyć tej męczarni, miej litość nad swoim zdrowiem, tak potrzebnem dla dobra Cerkwi«. »Pozostaw mnie w spokoju, mój bracie, oddał się i nikomu nie mów z tem, coś widział«, odpowiedział święty. Doroteusz, choć z bólem serca, musiał jednak usłuchać tego rozkazu.

Tenże sam Doroteusz miał i inną sposobność przekonania się o wielkiem umartwieniu świętego. Józafat, jak mówiliśmy, nosił na ciele pasek kolczasty, którego ostre kolce głęboko wpijały się w ciało. Razu pewnego takich stąd doznał boleści, że zemdlął przy odprawianiu mszy świętej. Po nabożeństwie ułożono go na łóżku, lecz święty był tak osłabiony, że sam nie zdołał zdjąć z siebie zaciśniętego kolczastego łańcuszka. Zawezwać tedy musiał Doroteusza, aby mu go odpiął. Włosienicy jednak zdjąć sobie nie pozwolił.

Takimi umartwieniami nadludzkimi zdołał zupełnie opanować swe ciało i poddać je pod panowanie rozumu i woli do tego stopnia, że żadna zła chęć nie zamącała spokoju jego duszy i wewnętrznego połączenia się z Panem Bogiem. A jak czystość świętego równała się anielskiej czystości, tak też zasłużył sobie przez



nią na ustawiczne towarzystwo aniołów, którzy często osobom pobożnym dawali się widzieć jak stali przy boku świętego arcybiskupa, zwłaszcza kiedy sprawował świętą tajemnicę Ołtarza.

Przypatrzmy się jeszcze innym cnotom świętego. Wielkim był miłośnikiem ubóstwa ewangelicznego. Jako biskup, posiadał on wprawdzie obszerne włości, pałac, utrzymywać musiał karę, konie, ale to wszystko dla niego jakby nie istniało. Dla swojej własnej osoby był bardzo oszczędnym, nieledwie skąpym; odzież nosił najskromniejszą, pożywienie jego było najprostsze. Biskupi ruscy używali sukni aksamitnej lub atlasowej; św. Józafat jednak nosił taki sam habit sukienny, jaki przyjęt w klasztorze, tak że niczem się nie różnił od prostego zakonnika. Tylko płaszcz miał nieco ozdobniejszy. Przy stole miał zawsze przy sobie przynajmniej jednego ubogiego, z którym jadł; innych kazał ugaszczać w osobnym pokoju, a po obiedzie własnoręcznie jałmużną ich obdarzał. Wszystkie swoje dochody obracał jeśli nie na kościoły, to na ubogich i nigdy nikomu z nich niczego nie odmówił. Kiedy mu raz zabrakło pieniędzy dla dopomożenia jakiejś biednej wdowie, zastawił drogocenną szatę biskupią, *omoforion* zwaną, i wspomógł potrzebującą wdowę. Jest to przysłowiem u ludu, że kto ma księdza w rodzinie, temu bieda nie dobodzie, a cóż dopiero jeśli ma krewniaka biskupem! Tacy krewni zwykle lubią się cześcić stołu i kieszeni kapłańskiej; lecz Józafat

inaczej na tę rzecz patrzył. On nie tylko całe swoje biskupie dobra, ale i dochody z nich uważał za skarb Kościoła i ubogich, nie zaś za swoją własność prywatną. Dlatego też, kiedy po objęciu przezeń biskupstwa zgłosił się do niego brat rodzony w nadziei, że pożywi się dobrze przy bracie biskupie, święty dawszy mu kilkadziesiąt złotych i dwie szaty, kazał wracać do domu i własną pracą starać się zarobić na kawałek chleba. Odtąd nigdy więcej nie było słyhać, aby cokolwiek udzielił rodzinie z dochodów biskupich.

Biskupia godność zwalniała Józafata z posłuszeństwa, zaprzysiężonego przełożonym zakonu. Lecz święty bez zupełnego posłuszeństwa obejść się nie umiał i zachowywał je względem metropolity Rutskiego, tak jakby był prostym mnichem, a metropolita jego przełożonym klasztornym. O sile jego posłuszeństwa niech nam świadczy następujące zdarzenie. Metropolita Rutski zaprosił kiedyś Józafata, aby przybył w pewnej kościelnej sprawie na naradę do Nowogródka, odległego od Połocka o 70 mil. Wezwanie przyszło w chwili, kiedy straszny pożar, grasujący w Połocku, zniszczył pałac i dwór arcybiskupi do tego stopnia, że nie zostawił ani koni, ani powozu. Inny na miejscu świętego, będąc w tak kłopotliwym położeniu, byłby się wymówił od podróży. Lecz Józafat nie znał wymówki, bo w każdym rozkazie przełożonego upatrywał wolę samego Boga. Nie mając własnego powozu, wynajął prosty chłopski

wózek i puścił się w drogę. Niezmiernie zdziwiony z takiego pojazdu metropolita pyta świętego, co to ma znaczyć? Kiedy się dowiedział o nieszczęściu, jakie spotkało pałac arcybiskupi, wyraził swój żal, że Józafata naraził na taką niewygodę i oznajmił mu, że w takich okolicznościach mógł z czystym sumieniem pozostać w domu. »Co się tyczy mnie — odpowiedział mu na to święty — ja nie mogłem lekceważyć rozkazów tego, który po Bogu jest moim pastrem, i wzięciem był przybyć na wezwanie«.

Jakby mu jeszcze zamało było posłuszeństwa swemu zwierzchnikowi, metropolicie, on we wszystkich sprawach dotyczących jego duszy i osoby chciał być ustawicznie zależnym od swych spowiedników. Często zasięgał ich zdania i najłżejsze swe uchybienia w sakramencie pokuty zmywał. Mawiał, że pragnąłby, jeśliby można było, nosić ze sobą spowiednika, aby móc ustawicznie oczyszczać swoją duszę. Nic dziwnego, że przez tę częstą praktykę spowiedzi doszedł do takiej nad sobą czujności i takiej czystości duszy, że według świadectwa O. Kosińskiego, jezuita, u którego się często spowiadał, dorównał w tem największym świętym, jacy istnieli na ziemi.

Dla zakonu, w którym się wychował, dogonną żywił miłość. Interesował się jego sprawami, bronił przed napaścią wrogów, zakładał klasztory, bywał nawet na zjazdach zakonnych, gdzie dla podtrzymania upadających na duchu przed schizmatykiem prześladowaniem

braci, publicznie odnowił swoje zakonne śluby. Obok swego zakonu miłował i cenił również łaciński zakon Ojców Jezuitów, gdzie znalazł był pierwszych swych mistrzów w życiu duchownem. Do tych Ojców, pracujących w Połocku nad wychowaniem młodzieży, wielu schizmatyków, a nawet unitów, żywiło nieuzasadnione niczem niechęci i uprzedzenia. Święty natomiast, gdzie tylko mógł, okazywał im publicznie swoją cześć i uznanie i mawiał, że sam niczem się od Jezuitów nie różni, tylko habitem i obrządkiem. Zresztą i on i oni posiadają tę samą wiarę, tę samą nadzieję i podejmują tę samą pracę na większą chwałę Bożą.

Na wysokiem swem stanowisku jaśniał święty najgłębszą pokorą. Ten książę Kościoła, z którym wielcy panowie poczytywali sobie za zaszczyt rozmawiać, zniżał się do tego stopnia, że dobrotliwie i poufale rozmawiał z ludźmi najniższego stanowiska nawet z pomiędzy służby swojej i lubił opowiadać o swoim niskiem pochodzeniu, sławiąc zarazem dziwną Opatrzność Bożą, która go z za lady sklepowej wyprowadziła aż na tron biskupi.

Taką miłość i pokorę okazywał względem wszystkich nawet nieprzyjaciół swoich. Tym ostatnim darowywał chętnie wszystkie urazy i za złe starał się im odplacać dobrodziejstwami. Opowiadają o nim, że przedewszystkiem tym, którzy go obrazili w czemkolwiek, on ze swej strony nigdy niczego nie odmówił,



Dlatego sprytni a podstępni ludzie, nie mogąc czegoś otrzymać od arcybiskupa prośbą, lżyli go umyślnie, wiedząc, że wtedy wszystko u niego uzyskają. Jak sam był skłonny do darowania wszystkich krzywd, tak też szczególnie miał przyjemność w jednaniu poważniejszych, pomny na słowa Zbawiciela: „*Błogosławieni pokój czyniący, albowiem oni nazwani będą synami Bożymi*“<sup>1)</sup>. Dziwnie mu Pan Bóg w tem błogosławił. Udawał się do domu zagniewanych, nakłaniał ich do zgody, zapraszał do swojego stołu obie strony, które znalazłszy się niespodziewanie razem, dawały się zwykle nakłonić św. Józefatowi i podawały sobie ręce do zgody.

Z tych paru pobieżnie skreślonych kart widać, jak wielkimi darami wewnętrznymi ubogacił Pan duszę świętego. Wszystko w nim było nadzwyczajnie wielkiem i dużo przewyższającym zwykłą ludzką miarę. Nie wiedzieć co więcej w nim podziwiać, czy ogrom jego prac zewnętrznych, czy wielkość jego wewnętrznej świętości i dziwy bogomyślnego życia. Jeden ze sług jego, Grzegorz Uszacki, zapytany po śmierci świętego o cnoty jego, zalał się łzami i tak badającej go komisji odpowiedział: „*Piędziesiąt lat służy arcybiskupom połockim, ale nigdy nie widział, aby który z nich choćby zdaleka był podobny do Józefata*“.

<sup>1)</sup> Mat. V, 9.

## ROZDZIAŁ XIII.

### Schizmatycy podnoszą głowę.

Przez lat 25 od chwili zawarcia Unji Brzeskiej dużo się zmieniło na lepsze w cerkwi ruskiej. Nie mówiąc już o Litwie i Białej Rusi, gdzie pracowali tacy pasterze, jak metropolita Rutski i arcybiskup św. Józefat Kuncewicz, wraz z całym zastępem odrodzonych na duchu i naukę posiadających zakonników, nawet i inne diecezje ruskie, chociaż nie dorównywały tym, dźwigały się jednak coraz bardziej pod przewodnictwem swoich władyków. Z diecezji schizmatycznych przyłączyła się przez ten czas do Unji diecezja przemyska w Galicji, tak że schizmatykiem pozostał jeden tylko biskup we Lwowie. Odszczepieństwo coraz bardziej malało w liczbę i traciło grunt pod nogami.

Gwałtowna burza nadciągnęła na Cerkiew ruską w r. 1620. Wtedy powracał z Moskwy do Turcji schizmatyczny patriarcha jerozolimski Teofan, którego sułtan turecki wysłał, aby namówił Moskwę do wojny z Polską. Schizmatycy ukraińscy, a zwłaszcza kozacy dniewprowscy ze swoim hetmanem Konaszewiczem zaprosili Teofana,

aby po drodze wstąpił do Kijowa i ratował upadające »prawosławie«. Teofana nie było potrzeba dwa razy o to prosić. Pragnąc zasiać niezgodę w Polsce, przystał na to zaproszenie i został wprowadzony uroczyście do Kijowa przez schizmatyków, otoczony przez tysiące kozaków, którzy go mieli zasłonić przed urzędami królewskimi. Wnet też rozpisal na wszystkie strony listy do schizmatyków, wzywając ich aby przybywali do Kijowa na narady, jak ratować »prawosławie«. Bractwa schizmatyckie powysyłały swoich prowodyrów, zjechało się mnóstwo popów i rozpoczęły się narady. Uchwalono zupełnie wyniszczyć duchowieństwo unickie, cerkwie i majątki zabrać dla prawosławnych, biskupów wypędzić, albo zgładzić ze świata. Pierwszy miał paść metropolita Rutski: postanowiono otruć go, a gdyby się to nie udało, wyznaczono 70 złoczyńców, którzy mieli w stosownej chwili zamordować metropolitę. Na stolice biskupie, zajęte przez unickich władków, Teofan w sekrecie przed królewskimi władzami wyświęcił siedmiu schizmatyckich archierejów, w tej liczbie zawziętego Joba Boreckiego na metropolitę, a znanego nam już z Wilna Melecjusza Smotryckiego na arcybiskupa do Połocka. Ci nowi archiereje schizmatyccy mieli się postarać o wypędzenie biskupów unickich i zająć ich miejsca.

Samowolny ten postępek Teofana obraził do żywego króla Zygmunta, bo według prawa nikt nie miał święcić biskupów bez królewskiego

zezwolenia. Stąd też król wydał wyrok, skazując nowo wyświęconych archierejów na wygnanie. Lecz trudno było wykonać wolę królewską. Wybuchła już wojna z Turkami i król potrzebował pomocy wojska kozackiego. Kozacy zaś obiecywali wystawić 60 tysięcy żołnierza, ale pod warunkiem, że król uzna biskupów »prawosławnych«, a unickich wypędzi. Zdawało się, że Unja zginąć musi, bo i heretycy nastawali na króla, a katolicy panowie z obawy przegrania wojny tureckiej nie śmieli bronić unitów. Pomimo to Pan Bóg uratował Unję od zagłady. Pobożny król Zygmunt na wszystkie nalegania kozaków otwarcie odpowiedział, że sejm, na którym oni występowali, zebrał się radzić o wojnie, a nie o religji. Taką stanowczością swoją odparł król schizmatyckie zapędy. Teofan tymczasem, bojąc się, aby go za wicherzicielstwo nie spotkało więzienie, uciekł z Polski do Turcji.

W roku następnym 1621 schizmatyccy, sprzymierzeni z heretykami, wystąpili znowu na sejmie przeciw unitom, żądając wypędzenia unickich biskupów. Ale i tą razą zostali odparci. Na ich zarzuty, że Unja jest odpowiedzialną za wszystkie zawichrzenia w kraju, dzielnie odpowiedział metropolita Rutski, wykazując błogie skutki, jakie Unja wydała dla Kościoła i dla państwa. Mowę swoją tak zakończył: „Siedmudziesięciu zbójów już wyznaczono na mnie i na moich sufraganów, którzy nas wciąż ścigają. Chcą nas wypędzić z naszych stolic; ale biorę



Boga na świadka, że raczej życie nam odejmą, niż nasze stolice. W kraju katolickim, pod królem katolickim życie nasze jest zagrożone i dlaczego? dlatego, że „jesteśmy katolikami!”. Schizmatycy nie znaleźli na odporcie metropolity. Król stanowco im oświadczył, że woli złożyć koronę, owszem umrzeć, niż zezwolić na to, co się sprzeciwia chwale Bożej i prawom katolickiego Kościoła.

Nie wskórawszy nic przeciwko unitom na sejmie, schizmatycy z tem większą zaciekleścią wystąpili przeciwko Unji w diecezjach i parafjach. Schizmatycy biskupi rozesłali na wszystkie strony swoich gońców z listami do duchowieństwa i ludu ruskiego, zawiadamiając, że z łaski greckiego patriarchy zostali władzami i dlatego wszyscy Rusini wschodniego obrządku winni odstąpić od unickich biskupów, a ich uznać za swoich prawowitych pasterzy. Kłamstwa rzucane na biskupów unickich, jakoby oni przeszli już na łaciński obrządek, obalamowały wielu łatwowiernych, a nadewszystko do swego ruskiego obrządku przywiązane dusze. Mieszczanie dawali posłuch bractwom schizmatycznym i tłumnie porzucali swoich unickich pasterzy.

Najgorzej się srożyła agitacja schizmatyczna na Białej Rusi, gdzie przeciwko świętemu Józafatowi wystąpił najzdolniejszy ze wszystkich „prawosławnych” archierejów Melecjusz Smotrycki. Sam nie śmiał się pokazać w diecezji połockiej, lecz pozostając w Wilnie, w klasztorze św. Ducha, wysłał na Białą Ruś z listami paru mni-

chów, którzy objeżdżając miasta, wzywali lud do nieposłuszeństwa św. Józafatowi. Wychwalając wierność Smotryckiego dla wschodniej wiary, Józafata nazywali heretykiem, bezbożnikiem, papistą, zdrajcą wiary ojców. Do Połocka przywiózł listy Smotryckiego niejaki mnich Sylwester, który korzystając z nieobecności św. Józafata, bawiącego podówczas na sejmie w Warszawie, zgromadził naokoło siebie niegodnych popów i mnichów, powydalanych przez arcybiskupa za nieprzystojne życie lub brak nauki, i z tymi wyrzutkami duchowieństwa uformował schizmatyczną gminę w Połocku. Opiekowali się nią nawet niektórzy rajcy miasta, których jeszcze św. Józafat nie zdołał pozyskać dla Unji. Puszczono między lud fałszywą pogłoskę, że Józafat przyjął w Warszawie obrządek łaciński i mszę łacińską odprawia, i tym sposobem zbalamucono wielu łatwowiernych ludzi i do schizmy ich przyciągnięto. To samo się działo i w innych miastach archidiecezji: w Witebsku, Mohylewie, Orszy, Mścislawiu. Wszędzie spisywano wykazy tych, co odstąpiwszy Józafata za Smotryckim się oświadczyli i odbierano od nich przysięgę, że się Unji wyrzekają; i ci biedni, zaślepieni ludzie jeszcze płacić musieli za wpisanie ich na listę odstępców od prawdziwej wiary.

Skoro tylko wieść o tem odstępstwie doszła do św. Józafata, w tejże chwili opuścił Warszawę, spiesząc na ratunek zagrożonej swojej owczarni. Na drodze już czekały nań rozstawio-

ne schizmatyckie straże, które miały go schwytać, a może i zabić, lecz Opatrzność Boża dozwoliła jeszcze świętemu szczęśliwie przybyć do swojej biskupiej stolicy. Zastał ją ogromnie wzburzoną przeciwko sobie; tylko duchowieństwo pozostało mu wiernem i dlatego cerkwi schizmatycy nie mogli wydrzeć unitom. Zato pobudowali sobie za miastem szepę, w której odprawiali swoje nabożeństwa. Zakrwawić się musiało pasterskie i ojcowskie serce świętego, skoro spostrzegł, że owoc jego trzyletniej pracy prawie do szczętu został zniszczony przez zakradającego się do jego owczarni wilka i tyle dusz, krwią Pańską odkupionych, porzuciło prawdziwy Kościół i wpisało się do szatańskiej księgi odstępców. W samym Połocku świątynie unickie, do niedawna jeszcze pełne, teraz na wpół świeciły pustkami, bo kilka tysięcy odstępców zaprzestało do nich chodzić.

Ludzie światowi, którzy liczą tylko na swoje własne siły, zwykle kiedy ich sprawa upada, opuszczają w rozpacz ręce i sami odstupują rozpoczętej sprawy. Inaczej postępują ludzie żywej wiary, a zwłaszcza święci, walczący o sprawę Bożą. Oni głęboko wierzą, że dobra sprawa musi ostatecznie zwyciężyć jeśli nie ludzką to Bożą mocą, i dlatego w największych nawet przeciwnościach nie tracą ducha, lecz z tem większą gorliwością zabierają się do pracy. Tak postąpił i św. Józefat na widok zniszczenia, jakie sprawił wróg Kościoła. Święty pasterz na nowo rozpoczął apostolską pracę

ze zwykłą swoją energją i zarazem ojcowską łagodnością. Dodał odwagi upadłej na duchu garstce pozostałych wiernych unitów, utrwalił ich we wierze, a następnie zwrócił się do odzyskania dusz schizmatyków. Ponieważ do świątyni na kazania biskupa przychodzić nie chcieli, udawał się święty swoim zwyczajem do ich mieszkań, wyszukiwał najzaciętszych swych wrogów i zapraszał z wielką hojnością do swego stołu, pouczając i przekonywując przy każdej okazji o prawdziwości wiary katolickiej i obowiązku posłuszeństwa świętej Stolicy Rzymskiej. Tym sposobem odzyskał dla wiary świętej znaczną liczbę opornych odszczepieńców.

Z innych miast dochodziły również coraz to bardziej niepokojące wiadomości. W Witebsku wicherzył wysłany przez Smotryckiego mnich Sylwester wespół z popem Kamieńcem i innymi zagorzałymi nieprzyjaciółmi Kościoła świętego. Przeciagnawszy na schizmę niemalą część mieszczan i ludu wiejskiego w okolicach tego miasta, wicherzyciele, otoczeni ogromnym tłumem odszczepieńców, udali się do Rady miejskiej, aby burmistrzowi i ławnikom odczytać listy Smotryckiego i zażądać dla niego posłuszeństwa ze strony rządców miasta. Niektórzy rajcy opierali się temu buntownicznemu żądaniu, ale schizmatycy zwyciężyli i magistrat witebski uznał Smotryckiego za swego pasterza, poczem zaraz odebrano unitom wszystkie świątynie, a kapłanów, którzy nie chcieli zdradzić swego



prawowitego pasterza Józafata, wypędzono z miasta.

Na wieść o tych wypadkach pośpieszył św. Józafat do zbuntowanego miasta. Według prawa mógł zażądać pomocy władzy świeckiej i wojska przeciwko mieszkańcom Witebska, gdyż ich odstępstwo było zarazem buntem przeciwko władzy króla, który tylko Józafata za biskupa uważał. Zamiast jednak uciekać się do przemocy, wołał dobry pasterz łagodnością wpłynąć na zbuntowaną przeciw sobie trzodę. Zawziętość jednak odszczepieńców wzrosła była do tego stopnia, że się okazywali głuchymi na wszystkie napomnienia swojego biskupa. Józafat nie mógł długo przy nich pozostać, gdyż śpieszył do innych miast zbuntowanych.

Podczas gdy arcybiskup objeżdżał przez parę miesięcy swoją wzburzoną diecezję, w samym Połocku rzeczy zmieniły się na gorsze. Schizmatycy chwycili się ulubionego swego sposobu walki z katolikami, to jest kłamstwa. Wyśłańcy Smotryckiego bałamucili lud, dowodząc mu, że może bezkarnie i powinien odstąpić Józafata, gdyż Smotryckiego nietylko patriarcha wyswięcił na ich biskupa, ale i król uznał go. Żeby otworzyć ludowi oczy, że to twierdzenie było wierutnem kłamstwem, św. Józafat wystarał się o listy królewskie, głoszące, że król żadnego innego biskupa połockiego nie uznaje, tylko Józafata, i wzywające wszystką ludność ruską do bezwarunkowego mu posłuszeństwa, jako prawowitemu pasterzowi.

Trzeba było listy te odczytać ludowi. W tym celu przybyli do Połocka wojewoda Michał Sokoliński, Michał Tyszkiewicz i inni wysocy dostojnicy, przedstawiający króla. Uderzeniem w dzwon zwołano całą ludność połocką do rady miejskiej, gdzie listy królewskie miał odczytać ławnik Działhilewicz, Rusin ale gorliwy unita. Przybył i arcybiskup w otoczeniu swego duchowieństwa. Kiedy się rozpoczęło czytanie listu monarchy, tłum schizmatycki, podburzony przez niejakiego Jana Terlikowskiego, podniósł taki piekielny hałas i wrzaski, że musiano zaniechać dalszego czytania. Józafat, widząc, jaka przeciwko niemu podnosi się burza, wystąpił nieustraszony przed ludem i oświadczając stanowczo, że jest i pozostanie wiernym świętemu Rzymskiemu Kościołowi, wezwał, aby wszyscy, którzy chcą wytrwać przy świętej katolickiej wierze, głośno się z tem oświadczyli. Schizmatycy podnieśli krzyk jeszcze większy. — „Nie jesteśmy unitami, wołali, i nie chcemy cię mieć za biskupa! Śmierć zdrajcy! Zabić *duszochwata!*” — Chwila stawała się coraz groźniejszą. Pokazało się, że schizmatycki tłum przybył już gotowym do spełnienia zbrodni. Jedni uzbrojeni w kije i drągi, inni w noże, kobiety z kamieniami w rękę, wszystko to cisnęło się z zewnątrz do ratusza, aby rzucić się na swego pasterza, którego niedawno jeszcze tak kochano i uwielbiano, jako świętego. Zdawało się, że powtarza się dawna historia, kiedy to mołoch żydowski w kilka dni po uroczystem

wprowadzeniu Jezusa do Jerozolimy, wołał przed trybunałem Piłata: *Ukrzyżuj, ukrzyżuj go!* Nie chcemy, aby ten nad nami królował!

Dla Józafata wszakże jeszcze nie wybiła ta razą ostatnia godzina. Wojewoda Sokoliński, wiedząc, że sprawcą tumultu był wspomniany Terlikowski, rzucił się ku niemu z orężem w rękę. Z drugiej strony Tyszkiewicz już mierzył z pistoletu w piersi buntownika. Jako przedstawiciele królewskiej władzy, mieli prawo na miejscu wymierzyć sprawiedliwość. Lecz o dziwo! Na ratunek swego najzaciętszego wroga pośpieszył Józafat. Stając między dygnitarzami a Terlikowskim, zasłonił tego ostatniego własną pierś i uratował od niechybnej śmierci.

Ten heroiczny czyn miłości wroga zmieszał nieco zbuntowanych schizmatyków: opadły im zbrodnicze ręce i poczęto się uspokajać. Urzędnicy królewscy i arcybiskup w towarzystwie swych kapłanów przeszli pomiędzy buntownikami, zgrzytającymi jeszcze od gniewu. Józafat przy całym tem zajściu okazywał taką pogodę ducha, taki spokój na jego twarzy przebił, jakby nic nadzwyczajnego nie zaszło. Udał się do swego pałacu, pozdrawiając po drodze zwykłym sposobem wszystkich napotykanym przechodniów. Złość czerni zwróciła się teraz przeciwko Działehiewiczowi, którego rozszarpanoby na kawalki, gdyby nie był się wyratował, uchodząc z ratusza wcale nie poznany przez oczekujący go tłum. Jednego z kapłanów unickich, który nie zdążył wyjść

z biskupem, uratował od śmierci pewien lepszego charakteru schizmatyk, któremu Pan Bóg dał w późniejszym czasie światło prawdziwej wiary.

Za doznaną zniewagę św. Józafat nie mścił się wcale na swych wrogach i nie chciał dochodzić tej sprawy. Ta łaskawość jego otworzyła oczy wielu schizmatykom, między innymi i samemu dowódcy buntu Terlikowskiemu, że porzucili błędy i przyjęci zostali na łono Kościoła katolickiego. Kiedy ci pokutujący szli do pałacu biskupiego, by upaść do nóg św. pasterzowi i prosić o przebaczenie, Józafat wybiegł na spotkanie synów marnotrawnych, rzucił się im na szyję, całował jak najlepsze swe dzieci i ze łzami radości poprowadził ich do świątyni, aby przyjąć od nich wyznanie prawdziwej wiary. Potem prowadził każdego nowonawróconego przed ołtarz i polecał opiece Bożej. „Oto, Boże mój, mawiał, znowu jedna owieczka błędna którą odnalazł; oddaję ją w Twoje ręce“.

Z pomiędzy nawróceń, których w owym czasie niespokojnym dokonał, warto wspomnieć przynajmniej o paru znakomitszych. W Połocku mieszkała bogata i znana wszystkim pani Zienowiczowa, wdowa po wojewodzie, zacięta schizmatyczka. Św. Józafat długo pracował nad tem, aby jej duszę pozyskać dla wiary prawdziwej, ale trud zdawało się być daremny. Uparta niewiasta nie tylko nie dała się przekonać dowodzeniom arcybiskupa, ale kiedy powrócił do



niej, psami go wyszczuć kazała. Psy jednak, zamiast rzucić się na świętego, popadały do nóg jego, łaszcząc się i jakby ciesząc z jego przybycia. Skończyło się na tem, że Zienowiczowa wyrzekła się schizmatyckich błędów i złożyła wyznanie wiary w ręce Józafata.

Podobnie dziwnem było nawrócenie z kalwinizmu szlachcica Soroki i trzech jego córek. Przejeżdżając przez miasteczko Dudy, święty Józafat chciał się zatrzymać na odpoczynek w domu ruskiego proboszcza, lecz ponieważ plebanja okazała się zbyt ciasną, za radą tegoż proboszcza udał się do pałacu owego Soroki, bardzo wrogo usposobionego przeciw wierze świętej. Heretyk przyjął dostojnego gościa niechętnie i szorstko, ale szanując polską gościnność, nie śmiał odmówić biskupowi mieszkania. Skorzystał święty z przyjęcia i skoro tylko nadarzyła się sposobność, skierował rozmowę na sprawy religijne, i zbijając błędy kalwińskie, jasno udowadniał prawdziwość wiary katolickiej. Nie spodobało się to Soroce: zmarszczył brwi słuchając wywodów Józafata, ale trzy jego córki, które rozmowie się przysłuchiwały, przekonały się, że prawda po stronie katolików, i zaledwie ojciec ich wyszedł na chwilę, wypowiedziały się przed arcybiskupem, wyrzekając się kalwińskiej herezji. Soroka, skoro się dowiedział o tem, wpadł w taki niepohamowany gniew, że świętemu biskupowi kazał w tej chwili opuścić pałac i w dodatku psami go wyszczuć. Kiedy zalane łzami córki wyrzucały ojcu ten brutalny

jego postępek i groziły zań karą Bożą, łaską z góry tknięty, przejrzał, jak źle z biskupem postąpił; dosiadłszy więc konia, puścił się w pogoń za świętym. Dopędził świętego w lesie i pada mu do nóg, przepraszając za swoją gburowatość, Józafat odpowiada, że bynajmniej się nie gniewa na niego, prosi tylko, aby nie przeszkadzał swym córkom wyznawać wiarę katolicką. Na to Soroka nietylko córkom obiecał wolność, ale oświadczył, że i sam chce zostać katolikiem i błagał biskupa, aby powrócił do jego domu. Na to św. Józafat nie miał czasu, więc na miejscu w lesie, siadłszy na pniaku, wysłuchał Sorokę spowiedzi i pogodził go z Kościołem. Żdziwił się niezmiernie proboszcz, dowiedziawszy się, że czego on przez kilka lat zabiegów nie mógł dokonać, to uskutecznił św. biskup przez jedną godzinę.

Inną razą, będąc w Rucie u metropolity, dowiedział się święty o pewnym upartym heretyku, blizkim śmierci. Chociaż nieproszony, śpieszy do niego i łagodnymi a przekonującymi słowami wystawia mu niebezpieczeństwo jego duszy i wreszcie pozyskuje go dla wiary świętej. Umierający wypowiadał się ze skruchą, a kiedy Józafat żegnał się z nim, w te słowa odezwał się, których niegdyś użył św. Piotr, cudownie z więzienia uwolniony: „Teraz wiem prawdziwie, że Pan Bóg posłał do mnie anioła swego“.

Nawrócenia do wiary świętej były jedyną pociechą Józafata w tyłu i tak ciężkich prze-

śladowaniach, jakich doznawał ze strony swoich upartych i obalamuconych owieczek. Nienawiść schizmatyków i stronników Smotryckiego wzmacniała się coraz bardziej. Skoro w jednym mieście wracał jaki taki spokój, wybuchały nowe rozruchy naraz w kilku innych miejscach. Słodczy i łagodność charakteru Józafata nie tylko nie łagodziła tłumów, ale zdawało się, że jeszcze bardziej ich rozzuchwalała i do szaleństwa doprowadzała. Cały kraj białoruski, buntowany przez wysłańców Smotryckiego, podzielił się na dwa wrogie obozy. W jednej i tejże rodzinie, o ile jedni jej członkowie wiernie i wytrwale stali przy wierze świętej, o tyle inni, schizmatycy, tem bardziej nienawidzili swych katolickich braci. W rocznikach ówczesnych zapisano, że pewien znaczny mieszczanin, nazwiskiem Achremowicz, gorliwy unita, miał matkę, zaciętą schizmatyczkę, która do swego własnego syna, mieszkając z nim pod jednym dachem, przez 17 lat nie wyrzekła ani słowa z nienawiści religijnej. Spełniało się, co przepowiedział Pan Jezus swym uczniom: *„A wyda brat brata na śmierć, i ojciec syna: i powstaną synowie przeciw rodzicom, i o śmierć je przyprowadzić będą. I będziecie w nienawiści u wszystkich dla imienia mego”*<sup>1)</sup>.

Powróćmy jednak znowu do opowiadania o świętym naszym arcybiskupie.

<sup>1)</sup> Mat. X. 21.

#### ROZDZIAŁ XIV.

#### Nienawiść schizmatycka wzmacnia się.

Z nową siłą wybuchła schizmatycka nienawiść w Witebsku. Józafat udał się znowu do tego miasta, aby ogłosić ludowi wolę królewską, nakazującą uznawać za prawowitego pasterza nie intruza Smotryckiego, lecz siebie, jako legalnie sprawującego rządy biskupie. Kiedy czytano na ratuszu orędzie królewskie, podburzony tłum wszczął tumult. Schizmatycy, rzucając czapki w górę, krzyczeli co sił starczyło, że ani o Unji ani o Józafacie słyszeć nie chcą. Znieważyli nawet urzędników królewskich. Podczas gdy św. Józafat odprawiał mszę świętą w głównej świątyni witebskiej, schizmatycy napadli na nią, zrabowali skarbiec, kapłanów i służbę kościelną znieważyli i pobili; wreszcie owładnęli zupełnie katedrą i innemi cerkwiemi i zaprowadzili w nich schizmatyckie nabożeństwa. Musieli wprowadzić po miesiącu ustąpić ze świątyni, lecz oddali je unitom zrabowane, odarte ze wszystkich ozdób i kosztowności. Chociaż nabożeństwa unickie przywrócono, to jednak kapłanów na każdym



kroku, nawet w samej świątyni, czekały obelgi i czynne zniewagi.

Polska prowadziła w owe czasy wojnę z Turcją. Schizmatycy, widząc, że król, wojną zajęty, nie może zwracać bacznej uwagi na rzeczy religijne, tem więcej byli pewni, że bezkarnie mogą wicherzyć przeciwko katolikom. Owszem, zamiast pomocy w wojnie, oni zdradzali króla i Rzeczpospolitą i znosili się potajemnie z Turkami, którym na rękę były te religijne rozruchy w Polsce. Wprawdzie schizmatycy wileńscy zostali ukarani przez władze królewskie za swoje rozruchy i zdradę Ojczyzny, lecz i to nie wiele pomogło, bo znowu na Ukrainie wystąpili zuchwale kozacy, domagając się zniesienia Unji. Dopuszczali się gwałtu i rabunku na unitach i łacinnikach; w Szarogrodzie zamordowali nawet kapłana unickiego. W Kijowie wszystkie świątynie były w rękach schizmatycznych, oprócz katedralnej cerkwi św. Zofji, którą obsługiwali bazylijanie unicy: Aleksander Szkoldycki i Ignacy Stoponiec. Na nich poczęto wywierać zemstę i pewnego dnia tłum schizmatyków, wysłanych przez archiereja Boreckiego, napadł na nich w świątyni, a poraniwszy i związawszy bezbronnych zakonników, wrzucił ich do więzienia, i ledwie król im życie uratował. W diecezji przemyskiej schizmatycy również zabili zakonnik, który w imieniu biskupa zwiadzał tę diecezję.

Dla większego wypróbowania stałości we wierze prześladowanego Kościoła unickiego dopuścił

Pan Bóg i to doświadczenie, że możni panowie polscy, zamiast bronić swą powagą Unji, usuwali się od tej sprawy, znudzeni ciągłymi zamieszkami religijnymi. Ciężką próbę dopuściła Opatrzność i na świętego Józafata. W tym samym czasie, kiedy zewsząd gromadziły się przeciwności i prześladowania Unji, trzeba było, że i największy dotychczas przyjaciel świętego Józafata i długoletni obrońca Kościoła unickiego, królewski kanclerz litewski Leon Sapieha, tą razą więcej dbając o racje polityczne, niż o sprawę wiary świętej, napisał do Józafata przykry list z żądaniem, aby się umiarkował w swojej gorliwości religijnej i aby wydał schizmatykom cerkwie w Mohylewie. Święty Józafat grzecznie ale stanowczo odpisał Sapieżę, że nie unicy są przyczyną niepokojów w państwie, ale kozacy zaporoscy, podburzani ciągle przez schizmatycznych władców, a zwłaszcza przez Smotryckiego, i że dla politycznych widoków nie należy zdradzać sprawy religij i Kościoła.

Tacy wielcy panowie, jak Sapieha, nie przywykli w Polsce do tego, aby im ktokolwiek, choćby był biskup, śmiał się sprzeciwiać i opierać. Dlatego też i list Józafata, pełen apostołskiej niezależności, uraził dumę magnata i spowodował, że Sapieha wysłał drugi list do arcybiskupa, pełen niemądrych i niestosownych upomnień i wyrzutów, jakoby arcybiskup gwałtem zmuszał schizmatyków do Unji, a przez to wszczynał niepokoje i narażał Ojczyznę na niebezpieczeństwo ze strony kozaków.

Zarzuty były zupełnie niesłuszne i oparte na kłamliwych skargach schizmatyków, którzy sami dopuszczali się gwałtów na unitach, a wszędzie krzyczeli, że im od unitów krzywda się dzieje. Dlatego też święty Józafat nie pozostawił i tego listu bez odpowiedzi, która najlepiej świadczy o niewinności, a zarazem apostołskim duchu, jaki ożywiał świętego arcybiskupa. »Co się tyczy osoby mojej, — pisał Józafat do kanclerza Sapiehy, — Bogiem moim świadczę, który na serce i sprawy moje patrzy, żem żadnym złym przykładem w życiu, ani żadnym ostrym postępkim nie odrażał od siebie połocczan i innych parafjan moich. Żaden się znak surowości mojej nie ukáže, którym bym dał przykład do zajęcia umysłów wichrzycieli... To się rozumieć ma i o kapłanach mojego posłuszeństwa; dlatego że mnie słuchają, to za złych i nieumiejętnych ich poczytują; ale kiedyby byli powolni schizmatykom, ci sami byłiby i dobrzy i uczeni... Do Unji żebym kogo gwałtem przymuszał, to się nigdy nie pokaże. Praw moich cerkiewnych, gdy na nie gwałtownie następują, przymusza mnie bronić moja biskupia przysięga. I to jednak czynię skromnie i uważnie, nie odstępując od przykładu św. Ambożego i św. Chryzostoma, którzy czynili potężnie o prawdę Bożą... Nie znajduje się tedy żadna przyczyna na nas do zajęcia ich, tylko ta, żeśmy są w łódce Chrystusowej, pod sprawowaniem Najwyższego żeglarsza, namiestnika Chrystusowego. Bez szturmu nigdy ta łódka nie była i być nie

może przy nas i bez nas. Jeżeli się zda komu, że te nawałności dla jakich ekscesów naszych szumją, niechże nas każą pozwać, prawem przekonać, potem z Jonaszem z łódki wyrzucią. Schizmatycy i biją i płaczą, a na nas z krzykiem, wraskiem wszystkie winy kładą. Katolicy też niektórzy dla samych wrasków ich tłumić nas pomagają! Czy taką miłość bliźniego nakazał nam Chrystus?»

Ponieważ Sapieha nawoływał św. Józafata do pokoju ze schizmatykami, jako potrzebnego dla dobra Ojczyzny, więc święty tak dalej pisze w swym liście: »Prawda, że dobry jest pokój publiczny, ale ten który zostawił nam Chrystus, nie zaś ów pokój, o którym powiedział: *Nie przyszedłem puszczać pokój, ale miecz* (Mat. X, 34). Co za społeczność może być światłości z ciemnościami? Jaka zgoda między Chrystusem, a Beljałem? między katolikami, a synami schizmy i herezji? między kościołami katolickimi, a bluźnierstwami schizmatyków? Co za pokój będzie, gdy z obrazą Bożą uczyniony?» Wyjaśnia święty pasterz, że uczynić taki pokój, jakiego chcą schizmatycy, to znaczyłoby tyleż, co potargać od Boga dane świętemu Piotrowi i jego następcom zwierzchnictwo nad wszystkimi kościołami. Na widok takiej niesprawiedliwości, święty Piotr i następcy jego, papież, wołaliby do Boga o pomstę. Podobnież pobożni i katolicy ksiądzęta: Włodzimierze, Jarosławy, Jagielonowie, Skirgiełłowie i inni, co fundowali ruskie biskupstwa ale nie dla schizmatyków, tylko dla



biskupów trzymających się jedności Kościoła, — co oni na to powiedzą, gdy zobaczą te biskupie trony w rękach odszczepieńców? Czy się nie odezwą prochy naszych ojców, którzy żyli w jednej prawdziwej wierze, a teraz spoczywających na tych naszych unickich cmentarzach, kiedy temi miejscami spoczynku owładną nieprzyjaciele Kościoła?

Sapieha pisał swój list z obawy przed buntami kozaków. Święty Józafat przypomina mu, że większe zło wyniknie dla Ojczyzny, jeżeli schizmie da się wszelką wolność, bo poczną się wtedy odszczepieńcy znosić z Grekami, pozostającymi w służbie Turków, i tych nieprzyjaciół łatwo na Polskę sprowadzą, jak to już nieraz próbowali. Kozaków się nigdy niczem nie zaspokoi; czem więcej im się folguje, tem większe pretensje roszczą. Nie można dla ich zachcianek poświęcać sprawy Unji. »Jeśli by wszystkiego tego nie uważano, a kozacką posługę nad Unję świętą przełożono i woli ich zadośćuczyniono pomimo woli Bożej, trzeba będzie obawiać się, aby tenże Bóg sprawiedliwym sądem swoim nie ukarał tej Ojczyzny milej, a to przez tychże kozaków, jak niegdyś ukarał lud swój przez Filistynów za to, że zbyt dla nich był pobłażliwym«... Do tej przepowiedni o ukaraniu Polski przez kozaków za grzech opieszałości w szerzeniu i podtrzymaniu Unji świętej, przepowiedni, która co do joty w swoim czasie się spełniła, dodał święty Józafat w tymże liście do Sapiehy i drugą przepowiednię, tyjącą się

Unji świętej: »Jestem przekonany, że Bóg i nadal będzie błogosławił Unji świętej, że usunie i zwycięży wszystkie przeszkody, które jej kłać będą czy kozacy, czy sam djabeł«...

Taka była odpowiedź świętego Józafata na list kanclerza. Sapieha nie miał już nic do powiedzenia i musiał w duchu zgodzić się na wszystkie wywody arcybiskupa. Pewną jest rzeczą, że po śmierci męczennickiej Józafata, tenże Sapieha był jednym z najpierwszych świadków i czcicieli jego świętości.

Listy te pisane były na kilka miesięcy przed śmiercią Józafata. Wtedy święty pasterz, widząc, że nawet na najlepszych przyjaciółach nie wiele polegać można, tem większą ufność pokładał w Bogu i tem gorliwiej pracował nad tem, aby jak najwięcej dusz schizmą zarażonych wrócić na łono prawdziwego Kościoła. Ponieważ schizmatycy coraz śmieiej występowali przeciwko prawowitej biskupiej władzy, więc w Połocku władza świecka zburzyła im szopy, które służyły za miejsce n. bożeństw i buntowniczych schadzek. Kapłanów nieposłusznych sobie Józafat postarał się wydalic zupełnie z Połocka. Ten, jedyny w życiu arcybiskupa surowszy krok przeciwko schizmatykom, usprawiedliwiony aż nadto przez ich bezczelną butę i wichrzycielstwo, sprawił, że wielu odszczepieńców powróciło do jedności kościelnej. Zato pozostali schizmatycy zacięli się jeszcze bardziej w swoich błędach i uporze. Doszło do tego, że schizmatycy pilnowali jedni drugich, aby przypadkiem kto

z nich nie udał się na kazanie unickich kapłanów, lub nie zawezwał ich do umierającego. Wielu schizmatyków, którzy przed śmiercią pragnęli się nawrócić i wyspowiadać przed unickim kapłanem, nie zdołali dostąpić tej łaski z powodu oporu krewnych i musieli umierać bez świętych sakramentów. Takie zaślepienie opanoowało odszczepieńców, że jeden z nich i to burmistrz Wasilewicz, nie mając żadnych duchownych święceń, począł jednak chrzczyć dzieci i słuchać spowiedzi i dużo schizmatyków udawało się do niego w celu przyjęcia świętokradzkich i nieważnych obrzędów. Inni mówili, że lepiej wyspowiadać się przed pnem w lesie, niż przed katolickim kapłanem.

W roku 1623 na sejmie w Warszawie schizmatycy znowu podnieśli głowę, domagając się zupełnego zniesienia Unji. Za grube pieniądze, dostarczone przez schizmatyckie bractwa, zdołali przeciągnąć na swoją stronę nawet wielu posłów z pomiędzy katolickiej szlachty. Unja rzeczywiście była zagrożona; tylko mądra i stanowcza obrona metropolity Rutskiego, poparcie Ojca świętego Grzegorza XV i opieka króla Zygmunta nie dozwoliły schizmatykom odnieść nad Unją ostatecznego triumfu.

Lecz w tymże roku nowe niebezpieczeństwo poczęło grozić Unji. Wielu szlachty i mieszczan unitów, pragnąc się pozbyć ciągłych sporów ze schizmatykami, porzucali obrządek wschodni i przyjmowali łaciński, osłabiając przez to coraz bardziej rodzimą ruską Cerkiew, którą wspierać

byli powinni. Nawet pomiędzy zakonnikami reguły św. Bazylego znalazło się wielu małodusznych, którzy na widok piętrzących się ze wsząd trudności zwątpili, czy Unja długo da się utrzymać, i dlatego, aby ratować swoje dusze od grożącej schizmy, a może aby zyskać spokój, naradzać się poczęli, czyby nie lepiej było rozwiązać zakon bazylijski i wstąpić do łacińskich klasztorów. Schizmatycy skorzystali i z tej małoduszności Bazylijanów i głosić poczęli, że Unja na to tylko wprowadzona, aby powołać wszystkich Rusinów przerobić na łacinników i Polaków.

Metropolita Rutski, spostrzegłszy niebezpieczeństwo, grożące Unji ze strony najlepszych jej synów, zakonników wychowanych pod jego i Józafata okiem, zwołał czempredę do Ruty kapitułę zakonną, na którą i św. Józafata zaprosił, i przedstawivszy zebranyim ojcom, jakie nieszczęście sprowadzić mogą dla wiary świętej owi małoduszni zakonnicy, wezwał wszystkich, aby wobec Najświętszego Sakramentu odnowili swoje zakonne śluby i złożyli przyrzeczenie, że nigdy bazylijskiego zakonu nie opuszczą. Św. Józafat, jak to już mówiliśmy wyżej, również ponowił dla przykładu innych braci swoje zakonne przyrzeczenia.

Skołatany nadmierną pracą i częściowym paraliżem, metropolita Rutski wyraził na teże kongregacji swój zamiar usunięcia się na rok od rządów metropolji, aby w samotności przygotować się na śmierć, lub jeśli Bogu inaczej się



spodoba, aby nabyć nowych sił do dalszej walki z odszczepieństwem. Tymczasem rządy metropolitalne miał sprawować św. Józafat. Bogu jednak inaczej się spodobało: i dla swego wiernego sługi gotował już wieniec męczeński.

## ROZDZIAŁ XV.

### Zamachy schizmatyków na życie Józafata.

Od pierwszej chwili wystąpienia schizmatycznego biskupa Smotryckiego do walki z Unją, życie świętego Józafata ustawicznie było zagrożone. Wszak już na naradach przywódców odszczepieństwa z grekiem Teofanem zapadła uchwała zgładzenia ze świata pasterzy unickich, w tej liczbie i arcybiskupa połockiego; zawziętość jednak schizmatycka przeciwko świętemu Józafatowi najbardziej wzrosła w roku 1623, ostatnim w jego ziemskim życiu. W Połocku nie mógł on pokazać się na ulicy bez narażenia się na zniewagę. Kiedy przechodził przez miasto, poszukując zbłąkanych owieczek, rzucono nań błotem, kamieniami, krzyczano: »zabić go! utopić go! On idzie, aby nam wiarę odebrać«.

Gorzej jeszcze było w tych miastach, gdzie schizmatycy mieli znaczną przewagę nad unitami. We Mścisławiu pewien szlachcic, nazwiskiem Massalski, pochodzący z wielkiego rodu, ale schizmatyk zakamieniały w swych błędach

i w nienawiści do unickiego arcybiskupa, wszystko już był przygotował, aby zabić św. Józafata. Tego samego jednak dnia, kiedy miał wykonać swój zamach, sam padł śmiertelnie raniony kulą z ręki jakiegoś nieprzyjaciela swego. Święty Józafat, dowiedziawszy się o tym wypadku, pośpieszył do umierającego swego wroga, uściskał go jaknajczulej i tyle mu okazał miłości, że zmiękło serce zakamieniałe. Massalski, połączony z Bogiem i świętym Kościołem, skończył w objęciach świętego arcybiskupa.

W Witebsku, jak mówiliśmy wyżej, podczas czytania listów królewskich, które nakazywały uznawać świętego Józafata za prawowitego biskupa, tłum schizmatycki porzucał czapki na jedną gromadę, co podług tamecznego zwyczaju oznaczało wyrok śmierci, wydany na arcybiskupa. Ponieważ ze wszystkich miast Witebsk okazywał największy opór świętemu Józafatowi, więc gorliwy pasterz często zjeżdżał do tego miasta, by osobiście pracować nad zbłąkanymi i czuwać nad pozostałą jeszcze garstką wiernych.

Schizmatycy tymczasem, zmuszeni zwrócić unicom zagrabione im gwałtem świątynie, zbudowali sobie z desek szopy dla odprawiania swego nabożeństwa nad rzeką Dźwiną wprost naprzeciwko okien arcybiskupiego pałacu, położonego po przeciwnej stronie rzeki. Kiedy arcybiskup bawił w swym witebskim pałacu, wtedy przeważnie urządzali oni swoje schadzki i hałaśliwe nabożeństwa, aby niemi drażnić

arcybiskupa, widzącego to wszystko ze swoich okien. Zalewał się wtedy łzami święty pasterz i mawiał: »Ojczy, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią«.

Na Zielone Świątki roku 1622 święty Józafat prowadził procesję do cerkwi Świętego Ducha. Droga wypadła przez most na rzece Dźwinie. Kiedy procesja była już na moście, zaszedł jej drogę schizmatyk Wasilewski, kapitan, z podwładnymi sobie żołnierzami, zatrzymał orszak i znieważywszy biskupa, zawrócił procesję grożąc, że zrzuci Józafata do rzeki, jeśli zechce poprowadzić procesję dalej. Niezadługo potem Wasilewski skończył od pewnej hańbiącej choroby.

W święto Przemienienia Pańskiego tegoż roku tłum odszczepieńców wdarł się do świątyni, gdzie celebrował Józafat, i podczas liturgji, kiedy bazylijanin Turczynowicz, sprawujący obowiązki diakona, wychodził procesjonalnie na cerkiew z poza ikonostasu, schizmatycy, nie bacząc na świętość miejsca, rzucili się na niego z kijami i tak go zbili, że powstać nie mógł. Chcieli wtargnąć i za carskie wrota, gdzie się znajdował celebруюcy arcybiskup, by rzucić się na niego, lecz znajdujący się w świątyni panowie i mieszczanie unicy obronili swego pasterza przed napastnikami. Inną razą niejaki Adam Kosów rzucił się na świętego Józafata, by go zamordować w chwili, kiedy arcybiskup prawił kazanie o błędach schizmatyckich. Ślepotą jednak padła nagle na złoczyncę i przeszkodziła wykonać zbrodniczy zamiar.



Dla cechu rybackiego w Witebsku zbudował Józafat cerkiew i założył przy niej bractwo, dodając warunek, aby bracia pozostali zawsze wierni biskupom unickim. Schizmatycy i wtedy nie zaniechali rozpuścić pogłoski, że Józafat dlatego dodał taki warunek, gdyż zamierza kiedyś w przyszłości cerkiew tę zamienić na łaciński kościół. Powstało z tego powodu nowe niezadowolenie i wzburzenie. Rada miasta, która z obowiązku swego powinna była powstrzymać wszelkie rozruchy w mieście, raczej popierała je i zachęcała do oporu biskupowi. Nic dziwnego, bo też składała się ona po większej części ze schizmatyków. I tym razem, korzystając z niechęci ku arcybiskupowi, poleciła wyszukać kogoś, ktoby pocichu bez hałasu zadał śmierć Józafatowi. Ofiarował się na to jeden z przewoźników na rzece Dźwinie, obiecując, że utopi arcybiskupa, jeśli ten będzie jego łódką przejeżdżał przez rzekę. Byłby napewno to uczynił, bo święty Józafat, nie wiedząc nic o tym zamiarze, dwa razy z nim przez rzekę przejeżdżał. Ale za pierwszym razem z arcybiskupem było jeszcze dwóch zakonników, a przewoźnik nie mógł rozpoznać, który z trzech kapłanów był biskupem, gdyż z rysów twarzy Józafata nie znał, a ubrani byli wszyscy trzej jednakowo; za drugim razem, kiedy już rozpoznał biskupa i wprowadził go do swojej łódki, by go potem utopić w rzece, niby niechący przewracając łódkę, wskoczył do łódki jego synek i udaremnił zamiar swego ojca. W razie bowiem

przewrócenia łódki napewno i chłopiec byłby utonął; jeśliby zaś złoczyńca chciał siłą wrzucić arcybiskupa do wody, mały chłopiec mógłby potem wydać swego ojca przed sądem.

Schizmatycy nie zadawali sobie tem, że czyhali na życie arcybiskupa, lecz nadto znieważali wszystkich tych, którzy pasterza otaczali, a więc kapłanów, zakonników, służbę. Obrzucano ich błotem, bito kijami, skoro pokazali się na ulicy. Szczególną nienawiścią pałali ku archidiaconowi Doroteuszowi Lecikowiczowi i Emanuelowi Kantakuzenowi. Kiedy w święto Zwiastowania Matki Bożej (1623) szli obaj razem do świątyni, aby przygotować wszystko, co było potrzebnem do arcybiskupiego nabożeństwa, zostali opadnięci przez tłum, który rzucił się na nich z kamieniami. Ocalenie swego życia zawdzięczali tylko cudownej opiece Matki Bożej. Rozjątzeni schizmatycy wtargnęli za nimi nawet do świątyni i przyczaiwszy się, czekali, aż się liturgia rozpocznie. Podczas liturgji, kiedy Lecikowicz, jako diakon, wychodził przed ofiarowaniem ze Świętymi Darami na cerkiew, rzucono się na niego, uderzeniem kija wytracono mu z rąk patenę z chlebem ofiarnym, wreszcie znieważono i pobito w cerkwi asystujących kleryków.

Za cóż to taka niepomamowana nienawiść spotykała świętego Józafata? Jedyne za to, że był unickim arcybiskupem, że trwał w wierności świętemu Kościołowi katolickiemu. Ci sami wrogowie, którzy czyhali na jego zgubę, zmuszeni

byli widzieć i świadczyć o świętości życia arcybiskupa. »To święty, mawiali schizmatycy o Józafacie, my czcilibyśmy go jako anioła z nieba, gdyby tylko Unji się wyrzekł«. »Mybyśmy go ozłocili, dodawali inni, pilibyśmy wodę, w której on nogiby umywał, skoroby tylko chciał stanąć po haszej stronie«. Świętość Józafata powinna była otworzyć oczy schizmatykom, że świętą również musi być sprawa Unji, której on tak gorliwie bronił. Niestety! Napojeni rozmaitemi przesadami względem katolickiej wiary i wciąż podburzani przez samozwańczego biskupa Smotryckiego i jego wysłańców, nieszczęśliwi zapaleńcy, myśląc, że bronią sprawy Bożej, usiłowali pozbyć się swego prawowitego pasterza, którego czcili jako świętego człowieka. Ci z pomiędzy nich, którzy nie mieli na tyle przewrotnego sumienia, aby się targnąć na życie świętego, silili się na rozmaite pomysły, jakimby spokojnym sposobem pozbyć się go mogli. Pewnego razu udali się do niego z prośbą, aby jechał do Konstantynopola i tam poddał się pod władzę patriarchy greckiego. Obiecywali opłacić wszystkie koszty podróży, a po powrocie jego dochować mu wierności i posłuszeństwa. »Dobrze, — odpowiedział święty z uśmiechem na tę propozycję, — niechaj tylko patriarcha uzna papieża rzymskiego, wtedy i ja uznam patriarchę. Do Konstantynopola nie pojedę i umrę tutaj, jeśli będzie potrzeba, w obronie świętej Unji i w posłuszeństwie papieżowi rzymskiemu«.

Kiedy Moskwa powołała na tron carski polskiego królewicza Władysława i ten wybierał się z wojskiem, aby zaważnąć ofiarowanym sobie tronem, polocczanie radzili Józafatowi, aby razem z królewiczem udał się do Moskwy i próbował nawrócić do Unji moskiewskie księstwo. Przedstawiali mu, jaka to byłaby chwala Boża, gdyby oświecił światłem wiary i nauki te kraje, które w największych ciemnościach były pogrążone. Józafat wiedział dobrze, że tym doradcom nie chodziło o chwałę Bożą i pożytek dusz, lecz jedynie o pozbycie się z Polocka swego pasterza; odpowiedział też im stanowczo: »Dajcie mi pokój, ja jestem gotów oddać swoje życie za jedność katolickiego Kościoła«.

Z dnia na dzień oczekiwał święty męczeńskiej śmierci; wiedział, że jej nie uniknie, a prztem był głęboko przekonany, że takiej ofiary wymaga samo dzieło Unji. Stąd też gorąco prosił, aby jaknajprędzej danem mu było złożyć swe życie w ofierze za jedność wiary i Kościoła. Razu jednego, wyłożywszy z ambony katolicką naukę o pochodzeniu Ducha świętego i o zwierzchności papieskiej, zalał się łzami i usty drżącymi ze wzruszenia w te słowa zakończył kazanie: »Tak, ta jest prawdziwa wiara; za nią dałbym życie i poczytałbym to sobie za największe szczęście!«. Siła przekonania, jaką czuć było w słowach kaznodziei, nawróciła niektórych obecnych na kazaniu schizmatyków. Kiedy indziej tak się odezwał do swych nieprzyjaciół:



»Wiem ci ja dobrze, że wy mnie nienawidzicie, że chcecie mi życie odebrać; ja tymczasem noszę was w mem sercu i byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym mógł umrzeć dla waszego dobra«. O oczekiwaniem przez siebie męczeństwie często rozmawiał święty ze swymi przyjaciółmi, wspominał o swej blizkiej śmierci w listach, wzdychał do niej w modlitwach swoich.

Domowników i towarzyszków stołu zatrzymały i zasmucały głęboko te ustawiczne przepowiednie śmierci i wzdychania do niej: prosili świętego swego biskupa, aby przynajmniej podczas posiłku nie zajmował się takimi czarnymi myślami. »Nikt wam nie przeszkadza jeść, odrzekł im Józafat, jak i mnie nikt nie przeszkodzi umrzeć za mojego Pana i za świętą katolicką wiarę«.

W Kijowie w tym czasie kozacy dopuścili się nowej zbrodni, mordując burmistrza Batilję i dwóch kapłanów, tych samych, których przed kilku laty św. Józafat nawrócił ze schizmy. Wszystkich trzech ścięto za to, że nie chcieli wyrzec się Unji. Krew tych męczenników pozostawiła cudowne ślady na miejscu męczeństwa, tak iż ani zetrzeć, ani przykryć ich nie było można. Na wiadomość o tych nowych męczennikach święty Józafat i sam zapalał niepomaganą żądzą męczeństwa. »O, gdyby moi przełożeni chcieli mnie uwolnić od arcybiskupiego urzędu i posłali do Kijowa, z jakąż radością podążyłbym na spotkanie śmierci, aby przelać krew i użyźnić nią nieurodzajną glebę,

izby stokrotny owoc wydała!« Do swego towarzysza Emanuela Kantakuzena tak się odezwał: »Emanuelu, idźmy do Kijowa głosić tam wiarę katolicką!« — »Nie chcę jeszcze umierać«, odpowiedział Kantakuzen. — »Ależ, mój bracie, prędzej będziemy w niebie«, odparł święty pasterz.

Nie było jednak potrzeby poszukiwać męczeństwa aż w Kijowie: kaci oczekiwali w pogotowiu na swoją ofiarę w blizkim Witebsku. W październiku 1622 roku dochodziły stamtąd coraz to bardziej niepokojące wieści. Donoszono, że schizmatycy stanowczo już postanowili zboczyć swoje ręce we krwi unickiego arcybiskupa, aby raz na zawsze zerwać z Unją. Nieustraszony pasterz, zamiast ukrywać się przed swymi wrogami, zapowiedział rychły swój wyjazd do Witebska. To postanowienie Józafata zasmuciło bez miary katolików: przeczuwali oni bowiem, czem się to skończy. Zawszą też obłęgano świętego prośbami, aby swój odjazd odłożył na lepsze czasy. Mieszczanie, szlachta, duchowieństwo, wszyscy odradzali ten wyjazd. Odradzali jednak napróżno, bo święty pasterz był niezłomny w swoim postanowieniu. »Nie boję się śmierci, odpowiadał wszystkim. I oby Bóg sprawił, abym stał się godnym korony męczeńskiej«. Do innych przyjaciół tak się odzywał: »Pragnę być rozwiązany i być z Chrystusem«. Dworzanom swoim, przejętym słuszną obawą o życie swego pana, dodawał ducha, mówiąc, że tylko

Boga jednego bać się należy. „Bóg będzie z nami i nie opuści nas“.

Widząc, że nic już nie powstrzyma arcybiskupa od tej niebezpiecznej podróży, niektórzy ze szlachty ofiarowali się towarzyszyć mu do Witebska i tam przy nim pozostać, by w razie potrzeby bronić go od zamachów. Święty Józafat wszakże podziękował za dobre chęci i nie chciał z nich korzystać. Odpowiadał wszystkim, że Boga tylko chce mieć za obrońcę swego i pragnie życie oddać, jeśli tak jemu się spodobą. Jeden z wybitnych panów, Michał Tyszkiewicz, jeszcze w sam dzień wyjazdu arcybiskupa błagał go na klęczkach i ze łzami w oczach, aby zaniechał podróży, lub pozwolił mu towarzyszyć sobie, lecz i to nie pomogło. Józafat wciąż to samo powtarzał, że do towarzysztwa wystarczą mu jego kapłani i śpiewacy, że nikogo więcej na niebezpieczeństwo narażać nie chce, że śmierci się nie boi, owszem przygotował się już do niej i trumnę sobie sprawił. W rzeczywistości przed odjazdem do Witebska zamówił dla siebie trumnę, a w cerkwi katedralnej obok ołtarza grób sobie wymurować kazał i spowiednikowi swemu Chmielnickiemu polecił, aby dopilnował rychłego ukończenia grobu, a kiedy będzie gotów, aby zawiadomił go o tem.

Kiedy chwila odjazdu się zbliżała, udał się święty po raz ostatni do swojej cerkwi katedralnej, która była świadkiem tylu prac jego i swoje odnowienie jemu zawdzięczała. Rzucił się krzyżem przed Najświętszym Sakramentem

i długo, długo modlił się sługa Boży, zapewne o męstwo w spotkaniu śmierci, na wzór Mistra, swego, który również modlitwą w Ogroju gotował się na mękę krzyżową. Po gorącej modlitwie wstał z rozjaśnionem obliczem i odezwał się do otaczających go kapłanów, służby i ludu: »Wiem dobrze o zмовie schizmatyków na moją głowę. Ciesz się, że jadę na pewną śmierć za Chrystusa«. Służbie swojej natomiast zaręczył, że nikt z niej nie utraci życia.

Wśród płaczu wiernych swych owieczek, pożegnawszy się z nimi i pobłogosławiwszy ich, wsiadł święty pasterz do powozu w towarzystwie wybranych swych przyjaciół: Emanuela Kantakuzena i archidjakona Doroteusza i kilku osób ze służby. Z płaczem i szlochaniem żegnał Połock swego pasterza, niezadługo płaczem i szlochaniem miał powitać martwe zwłoki świętego męczennika.



## ROZDZIAŁ XVI.

**Męczeńska śmierć świętego Józafata.**

Jednocześnie z arcybiskupem przybył do Witebska jeden z najzaciętszych jego wrogów, Piotr Wasilewicz, ten sam, który w Połocku świętokradzko sprawował sakramenta. Przyjechał on teraz, aby witebskich schizmatyków zagrozić do nowego buntu przeciwko pasterzowi. Ustawiczne podburzania dochodziły również z Wilna od tamtejszego bractwa i od Smotryckiego. W samej nawet radzie miejskiej witebskiej, do której należał obowiązek utrzymywania porządku w mieście, większa część radnych z Nahumem Wołkiem i Szymonem Nieszą na czele stała po stronie schizmatyków. Prawdziwym przyjacielem świętego Józafata był jeden tylko radny miasta, Iwanowicz; reszta rajców albo z nienawiści ku katolickiej wierze, albo wprost przez niedbalstwo swoje słuchała we wszystkim schizmatyckich prowodyrów, lub przynajmniej nie miała odwagi sprzeciwić się im i poskromić ich zapędów. Nic tedy dziwnego, że schizmatycka ludność, podburzana ciągle przez swych popów i mająca taki przykład z rady miejskiej, z któ-

rej wychodziły wszystkie rozkazy oporu arcybiskupowi, czuła się zabezpieczoną przed ramięmi sprawiedliwości i mogła bezkarnie okazywać swoją nienawiść ku Józafatowi.

Dłatego skoro tylko Józafat zjechał do Witebska, rozpoczęły się zaraz zwykle znieważania służby arcybiskupiej. Skoro ktoś z niej pokazał się na mieście, wyzywano go, przeklinano, obrzucano błotem i kamieniami, bito kijami. Na naradzie bowiem wspólnej postanowili schizmatycy tak długo zaczepiać i prześladować służbę arcybiskupią, aż Józafat, straciwszy cierpliwość, zechce ukarać kogoś z zaczepiających; wtedy w obronie zawadzaki miało wystąpić całe miasto i przy ogólnem zamieszaniu zabić arcybiskupa. Święty Józafat, zaleciwszy swoim domownikom jaknajwiększą cierpliwość w znoszeniu tych wszystkich szykan, sam od pierwszego dnia swego pobytu w Witebsku oddał się usilnej apostołskiej pracy w świątyni i poza domem. Miewał ustawicznie kazania o różnicach, jakie dzielą schizmatyków od katolików, celebrował uroczyste nabożeństwa, przywodził do zgody powaśnione rodziny. Trzeba wiedzieć, że sami nawet schizmatycy, chociaż nienawidzili Józafata za jego przywiązanie do wiary katolickiej, nie mogli się jednak oprzeć urokowi jego świętości i sprawiedliwości i zapraszali go sami, aby sądził ich spory graniczne i właśnie rodzinne.

Na takiej pracy zeszył Józafatowi dwa tygodnie, w ciągu których zdołał przyprowadzić

do zgody i poprawy kilkanaście rodzin. Najtwardszym okazał się radny miasta Nahum Wołk, który za nic w świecie nie chciał się pogodzić ze swym nieprzyjacielem. Arcybiskup zapraszał go do swego pałacu, ugaszczal go sówicie, namawiał do zgody, ale wszystko napróżno. Nahum nie tylko nie myślał poprawić swego żywota, ale nosił się z postanowieniem przyśpieszenia śmierci arcybiskupa. »Miej się na baczności, rzekł arcybiskup do zatwardziałego grzesznika przy ostatnim swem widzeniu się z nim, — jeśli pokutować nie będziesz, niezadługo zginiesz gwałtowną śmiercią«. Nahum żartował w duchu z przepowiedni Józafata będąc pewnym, że za dni kilka sam prorok zabity będzie. Lecz i prorocтво świętego spełniło się. W kilka tygodni później Wołk za swój udział w zbrodni morderstwa świętego musiał oddać i swoją głowę pod topór katowski.

28 października Kościół unicki obchodził świętego Dymitra męczennika. Tego dnia dobry pasterz chciał udzielić uroczyscie ostatniej przestrogi swoim zbłąkanym owcom i wzewać je do posłuszeństwa. Wszedłszy tedy na ambonę, przeczytał z przypadającej na ten dzień ewangelji te słowa Zbawiciela, wyrzeczone do apostołów: *„Idzie godzina, że wszelki, który was zabija, mniemać będzie, że czyni posługę Bogu“* (Jan XVI. 2). Poczem, stosując te słowa do siebie, tak się odezwał do swych słuchaczy: Wy, mieszkańcy Witebska, szukacie mojej śmierci, wy czynicie zasadzki na

mnie na rzekach i mostach, na drogach i ulicach miasta. Oto jestem! sam przybywam do was. Wiedźcie wszakże, że jestem waszym pasterm i że za największe swe szczęście poczytam śmierć dla was poniesioną. Oby spodobalo się Bogu udzielić mi tej łaski, abym oddał swe życie za świętą Unję, za pierwszeństwo świętego Piotra i jego następcy, papieża. Tak, jestem gotów za prawdę paść pod waszemi ciosami«. — Gorąco pożądując męczeńskiego wieńca, używał jednak święty wszelkiej roztropności, aby chwili spełnienia zbrodni nie przyspieszyć i dlatego na wszystkie zniewagi, odbierane od schizmatyków, odpowiadał stale niewzruszoną cierpliwością i świadčeniem przerwanych dobrodziejstw.

Schizmatycy pierwsi poczęli się już na dobre niecierpliwić, że ich zaczepki nie odnoszą pożądanego skutku. 10 listopada zebrali się ponownie do magistratu na naradę i uchwalili, że dłużej czekać niepodobna i że w jakibądź sposób trzeba jednak zgładzić arcybiskupa. Termin wykonania tego wyroku oznaczono nieodwołalnie na 12 listopada. Tymczasem pewien pop, złego prowadzenia się, wólczega bez parafji, imieniem Eljasz, otrzymał polecenie, aby przy każdej sposobności, kiedy się Józafat gdziekolwiek pokaże, znieważał go i lżył najgorszymi słowami. Byli pewni, że domownicy arcybiskupa nie zniosą spokojnie tych zniewag, wyrządzanych swemu panu i zechcą ukarać Eljasza. Jeśliżby zaś do tego doszło, wtedy schizmatycy



mieli uderzyć na alarm we wszystkie dzwony w mieście, na odgłos których zgromadzone tłumy nie tylko że odbiją Eljasza, ale jeszcze będą miały sposobność zamordować samego arcybiskupa, jako naruszydciela publicznego spokoju.

Po tej naradzie popi rozbiegli się po mieście, aby pouczyć tłumy, jak się mają zachować na dany znak. Radni miasta, którzy sami ten piekielny projekt uchwalili, pochowali się po kątach; inni, jak Wołk i Niesza, wyjechali zupełnie z miasta, niby za interesami, aby w razie, kiedy zabójstwo arcybiskupa dojdzie do skutku, mogli się przed sądem królewskim wytłómaczyć, że cały ten rozruch stał się bez ich wiedzy i że oni, jako nieobecni podówczas w mieście, nie mogli mu przeszkodzić.

Plan powzięty rozpoczęto wykonywać 11 listopada. Arcybiskupa tego dnia nie było w domu, gdyż udał się w okolicę dla załagodzenia granicznego sporu między cerkwią a jakimś szlachcicem. Służba arcybiskupiego pałacu musiała cały dzień słuchać wywisk i naigrawań kręcącego się ustawicznie pod oknami popa Eljasza. Uragął on unitom, ich kapłanom i samemu arcybiskupowi. »Co może mi zrobić wasz władyka!« odpowiadał służbie, która go wzywała, aby zaprzestał uragać. Służba, pomnąc na rozkaz Józafata, cierpiała aż do wieczora wszystkie te naśmiewania się Eljasza. Wieczorem arcybiskup w towarzystwie Emanuela powracał do domu w chwili, kiedy wielki tłum odszczepień-

ców wychodził ze swej cerkwi po nieszpórach. Na widok tego, komu śmierć gotowali, zawrzeli gniewem. Do przechodzących śpiewaków arcybiskupich wołali: „Nie długo już będziecie utaj bawili“.

Skoro Józafat wrócił do pałacu, archidiacon Doroteusz opowiedział mu o wszystkich przykrościach, jakie domownicy znieść musieli tego dnia od Eljasza, i nastawał na to, aby arcybiskup wydał rozkaz zatrzymania Eljasza, skoro się jeszcze raz pokaże przed pałacem. Emanuel Kantakuzen radził jeszcze cierpieć, lecz zdanie Doroteusza przeważyło i święty arcybiskup, korzystając ze swego prawa karania nieposłusznych duchownych, wydał polecenie Kantakuzenowi, aby uwięził Eljasza nazajutrz, jeśli rozpocznie nowe napaści.

Tegoż wieczora przybył do pałacu życzliwy arcybiskupowi rajca miński Iwanowicz. Opowiedział arcybiskupowi szczegółowo o ukartowanym planie zbrodni jutrzejszej i błagał świętego, aby, ratując swe życie, jeszcze tej nocy opuścił miasto. Józafat odrzekł, że konie swoje wyprawił na folwark i wyjeżdżać nie myśli. »Życie moje w ręku Boga; przyjmę ochotnie wszystko, co na mnie niebo ześle«. Iwanowicz począł nalegać, aby arcybiskup kazał domownikom przynajmniej uzbroić się, iżby w razie napaści mogli siłą odeprzeć napastników. Lecz jak niegdyś Chrystus Pan w Ogrojcu, tak teraz wierny jego uczeń i naśladowca nie chciał miecza używać w swojej obronie. Naleganiom

Iwanowicza tylko 'na tyle ustąpił, że napisał list do dowodzącego oddziałem wojskowym w Witebsku, donosząc mu o gotującym się na dzień następny gwałcie. Z dopuszczenia jednak Boga, który chciał już przyjąć ofiarę życia Józafata, list ten pozostał bez żadnego skutku. Dowodzący wojskowym oddziałem nic nie uczynił, aby zbrodni przeszkodzić. Iwanowicz w tajemnicy przed arcybiskupem zaopatrzył domowników jego w proch i kule, aby mieli czem się bronić, i sam pozostał na noc w pałacu arcybiskupim, by im pomagać w razie potrzeby.

Przy ostatniej wieczerzy, jaką wśród swoich braci zakonnych spożył, święty arcybiskup nie mógł ukryć nadmiernej swej radości, że już zbliża się wreszcie chwila, kiedy będzie mógł życie swe oddać za sprawę Bożą. Cały czas przy wieczerzy rozmawiał o szczęściu, jakie go czeka. Domowników znowu zapewnił, że nikomu z nich nie grozi niebezpieczeństwo utraty życia. Towarzyszom stołu serca się krajały, kiedy słuchali słów świętego swego arcybiskupa. Doroteusz nawpół żartem, nawpół z płaczem odezwał się do Józafata: »Ojczy, wciąż śmierć masz przed oczami; dozwól nam spokojnie przynajmniej kolacji dokończyć«. — »Co złego widzicie w tem, odrzekł dobrotliwie święty, że ja pragnę umrzeć za Chrystusa i za świętą katolicką wiarę?«

Nadszedł czas spoczynku. Domownicy poszli spać, święty udał się do swojego pokoju, nie na spoczynek jednak, lecz aby się przygotować

na śmierć. Podczas tej ostatniej nocy, jak niegdyś Zbawiciel w grocie getsemańskiej, Józafat modlił się, we łzach rozplýwał, krew swą ofiarował za zbawienie swych niewdzięcznych synów. Oszczędził mu jednak Pan Bóg bólesci konania. Dla męczennika śmierć przestaje być straszną; śmierć jego to triumfalna brama, wiodąca do oglądania Boga. To też i ostatnie chwile czuwania Józafata były dlań źródłem niewypowiedzianej pociechy.

Jak święty przepędził tę ostatnią noc swego życia, o tem wiemy dzięki szczególnej jego miłości ku ubogim. Pomnąc na słowa Zbawiciela: *„Pókiście uczynili jednemu z tej braciej mojej najmniejszej, mnieście uczynili!”*<sup>1)</sup>, wierny jego uczeń miał we zwyczaju przyjmować do swych pokojów ubogich, nie mających dachu nad głową, i często im łóżko nawet swoje odstępował, sam zaś udawał się na modlitwę, lub spoczywał na podłodze. I tej nocy znajdował się na pokojach arcybiskupich taki ubogi, imieniem Tyfon, i jemu to właśnie udało się podpatrzeć, co święty pasterz czynił tej nocy aż do rana. Widział on przez szczelinę, jak święty pasterz, rzuciwszy się krzyżem na posadzkę, modlił się długo i gorąco. Akty ofiarowania się na śmierć, pragnienia, aby jej chwila co rychlej nadeszła, prośby o nawrócenie odszczepieńców co chwila wyrwały się z jego ust. Potem brał do rąk dyscyplinę i do krwi

<sup>1)</sup> Mat. XXV, 40.



biczował swe ciało, jakby mało mu było tego, że jego krew rękami zbrodniarzy będzie wyczożoną, chciał i swemi rękami przynajmniej część jej ofiarować Bogu. Jednocześnie, według zeznań wielu świadków, widziano nad arcybiskupim pałacem zawisłą ciężką i groźną chmurę jakby przed burzą, a na jej tle zarysował się purpurowej barwy krzyż. Bóg dawał znak, że przyjmuje ofiarę wiernego sługi.

Noc jednak przeszła jeszcze spokojnie. Nad ranem arcybiskup według zwyczaju udał się do świątyni katedralnej na jutrznię. Na drodze oczekiwał już na niego pop Eljasz i, zoczywszy arcybiskupa, począł ciskać nań obelgi. Nie zaprzestał ich nawet wtedy, kiedy św. Józafat był już w murach świątyni. Obelżywe głosy napastnika usłyszano w pałacu i Kantakuzen, wypełniając dany sobie wczorajszego dnia rozkaz arcybiskupa, wysłał służbę, aby zatrzymała napastującego popa. Zamknięto go w kuchni do chwili powrotu arcybiskupa z kościoła.

O aresztowaniu Eljasza odszczepieńcy dowiedzieli się w tejże chwili. Kilku z nich rozbiegło się po mieście z alarmującą wieścią. Uderzono w dzwony na ratuszu i w wielu cerkwiach. Na ulice i place wysypały się tłumy ludu, między którym poczęli się uwijać agitatorzy, zachęcający do gwałtu. Parę tysięcy uzbrojonego ludu, nie wyjmując kobiet i dzieci, wyruszyło ku biskupiemu pałacowi. Służba arcybiskupia musiała się zatarasować w pałacu, lecz tłum zabierał się do wysadzenia bramy.

Posypały się nawet strzały z pośród tłumu. W tej chwili ukazał się Józafat, powracający z jutrzni do swego mieszkania. Do uszu jego dochodziły okrzyki: »Śmierć mu! zabić go!« Pelen rezygnacji, święty przeszedł pewnym i odważnym krokiem między tłumem, nie pokazując po sobie żadnego wzruszenia. Ten widok nieustraszoneści arcybiskupa zmieszał nieprzyjaciół. Opadły im jeszcze na ten raz ramiona i nie ośmielili rzucić się na swą ofiarę. Owszem rozstąpili się, aby zrobić arcybiskupowi przejście do pałacu.

Dowiedziawszy się o uwięzieniu Eljasza, święty arcybiskup rozkazał go wypuścić natychmiast na wolność. Sługom polecił, aby w razie nowej napaści nie używali palnej broni, chyba tylko w tym celu, aby pustemi nabojami wystrzelić parę razy dla postrachu. Tłum po wypuszczeniu Eljasza począł się uspakajać i rozchodzić. Lecz w tej chwili pokazali się trzej popi i na nowo poczęli podburzać lud do walki z arcybiskupem i unitami. Około godziny 8 zrana rozjuszona tłuszcza otoczyła powtórnie pałac, usiłując wdrzeć się do jego wnętrza. Zamkniętą bramę siekierami i drągami wysadzono wreszcie z zawias; służba arcybiskupia cofnęła się w głąb pałacu. Z pośród tłumu posypał się grad kamieni, tłukących okna pałacu. Na ślepe strzały służby arcybiskupiej, tłum odpowiedział kulami. Runęły wreszcie i drzwi, prowadzące do wewnętrznych pokoi, i tłum zabójców wtargnął do wnętrza. Służba po wię-

mieli uderzyć na alarm we wszystkie dzwony w mieście, na odgłos których zgromadzone tłumy nie tylko że odbiją Eljasza, ale jeszcze będą miały sposobność zamordować samego arcybiskupa, jako naruszydciela publicznego spokoju.

Po tej naradzie popi rozbiegli się po mieście, aby pouczyć tłumy, jak się mają zachować na dany znak. Radni miasta, którzy sami ten piekielny projekt uchwalili, pochowali się po kątach; inni, jak Wołk i Niesza, wyjechali zupełnie z miasta, niby za interesami, aby w razie, kiedy zabójstwo arcybiskupa dojdzie do skutku, mogli się przed sądem królewskim wytłómaczyć, że cały ten rozruch stał się bez ich wiedzy i że oni, jako nieobecni podówczas w mieście, nie mogli mu przeszkodzić.

Plan powzięty rozpoczęto wykonywać 11 listopada. Arcybiskupa tego dnia nie było w domu, gdyż udał się w okolicę dla załagodzenia granicznego sporu między cerkwią a jakimś szlachcicem. Służba arcybiskupiego pałacu musiała cały dzień słuchać wywisk i naigrawań kręcącego się ustawicznie pod oknami popa Eljasza. Uragął on unitom, ich kapłanom i samemu arcybiskupowi. »Co może mi zrobić wasz władyka!« odpowiadał służbie, która go wzywała, aby zaprzestał uragać. Służba, pomnąc na rozkaz Józafata, cierpiała aż do wieczora wszystkie te naśmiewania się Eljasza. Wieczorem arcybiskup w towarzystwie Emanuela powracał do domu w chwili, kiedy wielki tłum odszczepień-

ców wychodził ze swej cerkwi po nieszpórach. Na widok tego, komu śmierć gotowali, zawrżeli gniewem. Do przechodzących śpiewaków arcybiskupich wołali: „Nie długo już będziecie utaj bawili“.

Skoro Józafat wrócił do pałacu, archidiakon Doroteusz opowiedział mu o wszystkich przykrościach, jakie domownicy znieść musieli tego dnia od Eljasza, i nastawał na to, aby arcybiskup wydał rozkaz zatrzymania Eljasza, skoro się jeszcze raz pokaże przed pałacem. Emanuel Kantakuzen radził jeszcze cierpieć, lecz zdanie Doroteusza przeważyło i święty arcybiskup, korzystając ze swego prawa karania nieposłusznych duchownych, wydał polecenie Kantakuzenowi, aby uwięził Eljasza nazajutrz, jeśli rozpocznie nowe napaści.

Tegoż wieczora przybył do pałacu życzliwy arcybiskupowi rajca miński Iwanowicz. Opowiedział arcybiskupowi szczegółowo o ukartowanym planie zbrodni jutrzejszej i błagał świętego, aby, ratując swe życie, jeszcze tej nocy opuścił miasto. Józafat odrzekł, że konie swoje wyprawił na folwark i wyjeżdżać nie myśli. »Życie moje w ręku Boga; przyjmę ochotnie wszystko, co na mnie niebo ześle«. Iwanowicz począł nalegać, aby arcybiskup kazał domownikom przynajmniej uzbroić się, iżby w razie napaści mogli siłą odeprzeć napastników. Lecz jak niegdyś Chrystus Pan w Ogrojcu, tak teraz wierny jego uczeń i naśladowca nie chciał miecza używać w swojej obronie. Naleganiom



Iwanowicza tylko 'na tyle ustąpił, że napisał list do dowodzącego oddziałem wojskowym w Witebsku, donosząc mu o gotującym się na dzień następny gwałcie. Z dopuszczenia jednak Boga, który chciał już przyjąć ofiarę życia Józafata, list ten pozostał bez żadnego skutku. Dowodzący wojskowym oddziałem nic nie uczynił, aby zbrodni przeszkodzić. Iwanowicz w tajemnicy przed arcybiskupem zaopatrzył domowników jego w proch i kule, aby mieli czem się bronić, i sam pozostał na noc w pałacu arcybiskupim, by im pomagać w razie potrzeby.

Przy ostatniej wieczerzy, jaką wśród swoich braci zakonnych spożył, święty arcybiskup nie mógł ukryć nadmiernej swej radości, że już zbliżyła się wreszcie chwila, kiedy będzie mógł życie swe oddać za sprawę Bożą. Cały czas przy wieczerzy rozmawiał o szczęściu, jakie go czeka. Domowników znowu zapewnił, że nikomu z nich nie grozi niebezpieczeństwo utraty życia. Towarzyszom stołu serca się krajały, kiedy słuchali słów świętego swego arcybiskupa. Doroteusz nawpół żartem, nawpół z płaczem odezwał się do Józafata: »Ojcze, wciąż śmierć masz przed oczami; dozwól nam spokojnie przynajmniej kolacji dokończyć«. — »Co złego widzicie w tem, odrzekł dobroliwie święty, że ja pragnę umrzeć za Chrystusa i za świętą katolicką wiarę?«

Nadszedł czas spoczynku. Domownicy poszli spać, święty udał się do swojego pokoju, nie na spoczynek jednak, lecz aby się przygotować

na śmierć. Podczas tej ostatniej nocy, jak niegdyś Zbawiciel w grocie getsemańskiej, Józafat modlił się, we łzach rozplýwał, krew swą ofiarował za zbawienie swych niewdzięcznych synów. Oszczędził mu jednak Pan Bóg boleści konania. Dla męczennika śmierć przestaje być straszną; śmierć jego to triumfalna brama, wiodąca do oglądania Boga. To też i ostatnie chwile czuwania Józafata były dlań źródłem niewypowiedzianej pociechy.

Jak święty przepędził tę ostatnią noc swego życia, o tem wiemy dzięki szczególnej jego miłości ku ubogim. Pomnąc na słowa Zbawiciela: *„Pókiście uczynili jednemu z tej braciej mojej najmniejszej, mnieście uczynili!”*<sup>1)</sup>, wierny jego uczeń miał we zwyczaju przyjmować do swych pokojów ubogich, nie mających dachu nad głową, i często im łóżko nawet swoje odstępował, sam zaś udawał się na modlitwę, lub spoczywał na podłodze. I tej nocy znajdował się na pokojach arcybiskupich taki ubogi, imieniem Tyfon, i jemu to właśnie udało się podpatrzeć, co święty pasterz czynił tej nocy aż do rana. Widział on przez szczelinę, jak święty pasterz, rzuciwszy się krzyżem na posadzkę, modlił się długo i gorąco. Akty ofiarowania się na śmierć, pragnienia, aby jej chwila co rychlej nadeszła, próśby o nawrócenie odszczępieńców co chwila wyrwały się z jego ust. Potem brał do rąk dyscyplinę i do krwi

<sup>1)</sup> Mat. XXV, 40.

biczował swe ciało, jakby mało mu było tego, że jego krew rękami zbrodniarzy będzie wytoczoną, chciał i swemi rękami przynajmniej część jej ofiarować Bogu. Jednocześnie, według zeznań wielu świadków, widziano nad arcybiskupim pałacem zawisłą ciężką i groźną chmurę jakby przed burzą, a na jej tle zarysował się purpurowej barwy krzyż. Bóg dawał znak, że przyjmuje ofiarę wiernego sługi.

Noc jednak przeszła jeszcze spokojnie. Nad ranem arcybiskup według zwyczaju udał się do świątyni katedralnej na jutrznię. Na drodze oczekiwał już na niego pop Eljasz i, zoczywszy arcybiskupa, począł ciskać nań obelgi. Nie zaprzestał ich nawet wtedy, kiedy św. Józafat był już w murach świątyni. Obelżywe głosy napastnika usłyszano w pałacu i Kantakuzen, wypełniając dany sobie wczorajszego dnia rozkaz arcybiskupa, wysłał służbę, aby zatrzymała napastującego popa. Zamknięto go w kuchni do chwili powrotu arcybiskupa z kościoła.

O aresztowaniu Eljasza odszczepienicy dowiedzieli się w teże chwili. Kilku z nich rozbiegło się po mieście z alarmującą wieścią. Uderzono w dzwony na ratuszu i w wielu cerkwiach. Na ulice i place wysypały się tłumy ludu, między którym poczęli się uwijać agitatorzy, zachęcający do gwałtu. Parę tysięcy uzbrojonego ludu, nie wyjmując kobiet i dzieci, wyruszyło ku biskupiemu pałacowi. Służba arcybiskupia musiała się zatarasować w pałacu, lecz tłum zabierał się do wysadzenia bramy.

Posypały się nawet strzały z pośród tłumy. W tej chwili ukazał się Józafat, powracający z jutrzni do swego mieszkania. Do uszu jego dochodziły okrzyki: »Śmierć mu! zabić go!« Pelen rezygnacji, święty przeszedł pewnym i odważnym krokiem między tłumem, nie pokazując po sobie żadnego wzruszenia. Ten widok nieustraszoneści arcybiskupa zmieszał nieprzyjaciół. Opadły im jeszcze na ten raz ramiona i nie ośmielili rzucić się na swą ofiarę. Owszem rozstąpili się, aby zrobić arcybiskupowi przejście do pałacu.

Dowiedziawszy się o uwięzieniu Eljasza, święty arcybiskup rozkazał go wypuścić natychmiast na wolność. Sługom polecił, aby w razie nowej napaści nie używali palnej broni, chyba tylko w tym celu, aby pustemi nabojami wystrzelić parę razy dla postrachu. Tłum po wypuszczeniu Eljasza począł się uspakajać i rozchodzić. Lecz w tej chwili pokazali się trzej popi i na nowo poczęli podburzać lud do walki z arcybiskupem i unitami. Około godziny 8 zrana rozjuszona tłuszcza otoczyła powtórnie pałac, usiłując wedrzeć się do jego wnętrza. Zamkniętą bramę siekierami i drągami wysadzono wreszcie z zawias; służba arcybiskupia cofnęła się w głąb pałacu. Z pośród tłumy posypał się grad kamieni, tłukących okna pałacu. Na ślepe strzały służby arcybiskupiej, tłum odpowiedział kulami. Runęły wreszcie i drzwi, prowadzące do wewnętrznych pokoi, i tłum zabójców wtargnął do wnętrza. Służba po wię-



kszej części pochowała się po kątach, ratując swoje życie. Wejście do pokoju arcybiskupiego zastanili swem własnym ciałem trzej najwierniejsi swemu pasterzowi: archidiakon Doroteusz, Emanuel Kantakuzen i służący Grzegorz Uszacki. Rzucono się najpierw zajadle na pierwszych dwóch, jako na najwierniejszych pomocników Józafata w szerszeniu Unji. Kantakuzen pada zemdlony pod uderzeniami złoczyńców. Doroteusz okryty 18 ranami w głowie, krwią zboczony pada obok swego towarzysza. Już tylko Uszacki broni wejścia do arcybiskupiego pokoju. Jeden z zabójców poznaje go, jako staroego sługę kilku z rzędu biskupów, i woła nań: »I ty tutaj? Czyś nie wiedział, że przedź, czy później musi się tak skończyć?« poczem uderzeniem w głowę powala go na ziemię.

Święty arcybiskup od samego powrotu z jutrznia znajdował się w swym pokoju, zatopiony w modlitwie. Kiedy usłyszał już przy swym pokoju krzyki tłumu i jęki swoich wiernych sług, katowanych przez zbrodniarzy, otwiera sam drzwi i wychodzi naprzeciw zabójcom. Całe życie wierny w naśladowaniu Chrystusa Pana, okazał mu się podobnym w tej ostatecznej chwili. Jak Zbawiciel w Ogródzie Oliwnym, tak Józafat odzywa się słodko do rozbestwionej tłuszczy: »Bóg z wami, moje dzieci! Za co bijecie moją służbę? Co ona wam winna? Jeśli macie cokolwiek przeciwko mnie: oto jestem, lecz dajcie pokój moim domownikom, nie zabijajcie ich«. I wyciągnął swą rękę, aby zbójców po-

blogosławić. Wszyscy stanęli, jak wryci. Nikt z nich nie miał odwagi podnieść swej ręki na świętego. Wtem wpada z sąsiedniej komnaty dwóch najzaciętszych złoczyńców z okrzykiem: »Zabić łacinnika, zabić papistę!« Święty ledwie zdążył złożyć ręce do modlitwy i wzniesić oczy w górę, gdy jeden z zabójców uderzył go kijem po głowie, a drugi siekierą rozrąbał mu czło.

Jak drapieżne zwierzęta, które na widok krwi zwykle wpadają w większą wściekłość, podobnie i tłum odszczepieńców, nawet ci z pomiędzy nich, którzy dotąd nie śmieli targnąć się na Józafata, na widok zboczonego krwią i leżącego u ich nóg biskupa, rzucili się nań zajadle, bijąc go, kopiąc nogami, rąbiąc. Całe ciało, głowa nawet została okryta ranami. Sądząc nareszcie, że ofiara ich złości już nie żyje, rzucili się znowu na służbę biskupią, by i na niej wyrzucić swoją zemstę. Lecz westchnienie, jakie wydobyło się z piersi Józafata, przekonało ich, że zbrodnia jeszcze nie dokonana. »O mój Boże!« zawołał Józafat, wznosząc prawicę ku niebu. Złoczyńcy rzucili się znowu na świętego, wywlekli go na dziedziniec i jeden z zabójców wystrzałem z rusznicy przeszył głowę świętego. Dusza męczennika stanęła przed tronem Bożym, by modlić się o łaskę nawrócenia dla zabójców i o opiekę nad Unją świętą.

Nie zadowolnili się zabójcy tem, że pozbawili życia swego pasterza. Opanowało ich takie szaleństwo, że pragnęliby zniszczyć do szczeru

wszystko, cokolwiek było blizkiem jego osobie. Wróciwszy przeto do komnat pałacowych, poczęli uganiać się jeszcze za służbą arcybiskupa, bijąc i katując wszystkich, kogo mogli dosięgnąć. Wywarli swą nienawiść i na nieżywych przedmiotach: porozbijali okna, potłukli obrazy, zrabowali naczynia stołowe i kuchenne, meble połamali i powyrzucali oknami, poniszczyli książki i wszystkie papiery, pomiędzy którymi znajdowało się niemało ważnych dokumentów. Zabrali się wreszcie do spiżarni i piwnicy. Zapasy żywności i napoje nagromadzone na zimę wydobyli na dziedziniec i rozpoczęli ucztę.

Gdyby szatani mogli wyprawiać wesele, toby nie wymyślili rzeczy wstrętniejszych nad te, jakie się działy na tej uczcie zbrodniarzy. Cały tłum zasiadł do jedzenia i picia. Beczutki z piwem otwierano jedną po drugiej, a skoro którą wypróżniono, spuszczano ją wśród ogólnej radości z góry do Dźwiny. Pijany zbrodnią i winem tłum jeszcze na martwym ciełe świętego pasterza dopuszczał się najbezwstydniejszych rzeczy. Siadano na nim przy jedzeniu, szarpano za włosy, wrywano je, obrzucano błotem. To znowu stawiano martwe zwłoki na nogi wśród bezwstydnych krzyków: »Władko! Dziś niedziela, mów kazanie, patrz, ile ludzi przyszło cię słuchać!« Nie było komu stanąć w obronie świętych zwłok: studzy albo tarzali się we własnej krwi, albo gdzieś głęboko ukryci drżeli o swoje własne życie. Tylko wierny pies, którego Józafat pieścił za życia, teraz odplącał mu

wdzięcznością, szczerkając i rzucając się na zabójców. Żeby jeszcze bardziej znieważyc szcztąki swojej ofiary, złoczyńcy zabili i owego psa i, porąbawszy go w kawałki, porzucali je na ciełe świętego, aby krew zwierzęca z krwią męczennika się pomieszała.

Wreszcie poczęto obdzierać martwe zwłoki z ubrania. Kiedy zdarto zwierzchnią suknię, ukazała się zdumionym oczom zbrodniarzy włosenica, którą święty nosił na gołym ciełe. Zadziwieni tem odkryciem, poczęli powątpiewać, czy też to ciało biskupa. »On musiał mieć lepszą koszulę«, mówili do siebie; chyba to nie on, tylko któryś z jego sług. I znowu rozbiegli się po pokojach arcybiskupich, szukając Józafata. Zagląдали w najskrytsze kąty, odrywali nawet podłogi, aby się przekonać, czy się nie ukrył gdzie głęboko. Wszystko napróżno. Włoką więc nawpół żywych służących i nowem biciem starają wymóc na nich zeznanie, że trup nie jest ciałem arcybiskupa. Służba jednak pomimo katowania pod przysięgą zeznaje, że to nie kto inny, tylko arcybiskup. Wreszcie któryś z zabójców, kiedy się lepiej przypatrzył twarzy nieboszczyka, zapewnił swych towarzyszków, że się wcale nie pomylili i że w istocie zabili władkę. Powstała znowu ogólna radość.

Tymczasem i nieba zsyłało pierwsze świadectwa świętości męczennika. Podczas owej piekielnej uczty i znieważania ciała, czarna gęsta mgła spuściła się na dwór arcybiskupi, tak że



choć naokoło świeciło słońce, tam mrok zapanał. Jeden tylko promień słońca przedierał się przez szczelinę w onej mgłę i oświecał zwłoki męczennika. Rozbestwieni jednak zabójcy nie zważali na to dziwne zjawisko. Jedna z kobiet bezwstydnich, która odważyła się wyrwać świętemu garść włosów z brody, w tejże chwili oślepta, lecz i ten cud nie opamiętał winowajców. Kobieta jednak owa nawróciła się niebawem i całe życie oplakiwała swą zbrodnię, wskazując na swe ciemne oczy, jako na dowód sprawiedliwości Bożej.

Poczęto radzić, co począć z ciałem zamordowanego władcy. Postanowili wywieźć je na rzekę Dźwinę i w najgłębszym miejscu zatopić. Miejsce to lud zwał świętą krynicą, jakby przeczuwał, że kiedyś będzie uświęcone relikwiami męczennika. Zanim wykonano postanowienie, urządzono sobie z ciałem świętego inną jeszcze okrutną igraszkę. Przywiązawszy do nóg świętego powróż, pociągnięto święte zwłoki wśród bezwstydnich pieśni i wrzasku po ulicach, znacząc krwawymi śladami tę piekielną procesję. Na rogu pewnej ulicy głowa świętego, uderzywszy o kamień fundamentu domu, pozostawiła na nim krwawy ślad, który w żaden sposób ani zmyć, ani zeskrobać się nie dał. Po dwustu jeszcze latach mieszkańcy Witebska pokazywali pielgrzymom to cudowne znamię.

Przywieziono święte relikwie do rzeki. Spuszczono je z wysokiej góry po ostrych kamieniach, wołając wesoło: »Władcyko! trzymaj się

dobrze!« Dziwnem zrządzeniem Bożem, ostre kamienie wcale nie poraniły świętych zwłok, jakby chciały pokazać, że mniej są twarde od zatwardziałych serc grzeszników, mniej okrutne, niż ręce zabójców. Nakoniec wywieziono ciało łódką na umówione miejsce. Do nóg przywiązano wielki kamień, a do szyi włosienicę, napełnioną również kamieniami. Z takim ciężarem wrzucono ciało świętego w odmęt rzeki. Znowu stał się cud. Ciało pomimo takiego ciężaru, utrzymywało się na powierzchni wody. Przerazeni zabójcy poczęli uciekać: ciało płynęło za nimi. Widać, że Pan Bóg chciał im udzielić przestrogi, aby poznali teraz swą zbrodnię, lecz nie nadeszła jeszcze godzina ich nawrócenia. Szatan dodał im odwagi, że nawróciwszy łódką, powtórnie ciało świętego pograżyli w głębokim dole. Tym razem nie napróżno.

Po krwawej barbarzyńskiej rozprawie w arcybiskupim pałacu motłoch udał się do katedralnej cerkwi, niszcząc i rabując wszystko, co można było z niej unieść. Schizmatycy w całym mieście triumfowali ze swego zwycięstwa.

W czasie męczeństwa Józafata i wyprawiania orgji przy jego ciele ani miejscy, ani królewscy urzędnicy nic nie uczynili, aby powstrzymać rozszalały tłum odszczepieńców. Dopiero w kilka godzin po straszliwej zbrodni poruszyli się władze na zamku królewskim. Wysłano komisarzy i żołnierzy na miejsce wypadków dla zbadania sprawy. Cały dom biskupi i katedrę znalezione w jak największym zniszczeniu, jak-

gdyby nieprzyjacielskie wojsko tam obozowało. Wstyd wyznać, że katolicy jak gdyby się wszyscy pochowali z bojaźni, iż nikogo nie było dla przygarnięcia na półżywych zakonników i sług arcybiskupa. Znalazły się jednak pomiędzy ludźmi innej wiary miłosierne serca, które przytuliły u siebie rannych. Jednego z nich wziął pod opiekę swoją żyd, drugiego przytulił u siebie lekarz, imieniem Bartłomiej. Cudem się to tylko stać mogło, że pomimo ogromnego wpływu krwi, z powodu kilkudziesięciu ran, tak Kantakuzen, jak i archidiacon Doroteusz, przyszli do siebie i wyzdrowieli. Spełniła się przepowiednia Józafata, że nikt, oprócz niego, nie miał ponieść śmierci w tem zamieszaniu.

Urzędnicy i żołnierze po obejrzeniu pałacu udali się do katedry. Tam znaleziono jeszcze nietkniętą wielką skrzynię, której rabujący młotach nie mógł ani otworzyć, ani unieść ze sobą. Rozkazano żołnierzom zabrać ją na zamek, aby uchronić od rabunku rzeczy kościelne, które się w niej znajdowały. Kiedy ją niesiono przez miejsce, gdzie stała kałuża skrzeptej krwi męczennika, wypadła ona z rąk niosących, jakoby kto ją z nich gwałtem wytrącił. Sama się otworzyła, a sprzęty i ubiory mszalne, wysypawszy się ze skrzyni, tak się cudownie ułożyły, jak się je układa dla kapłana, mającego się w nie ubierać do mszy świętej, i zanurzyły się w krwi męczeńskiej. Jednocześnie i kielich mszalny, upadłszy bokiem w skrzeplą krew, zaczerpnął jej odrobinę. Obecni przy tem zda-

rzeniu urzędnicy i żołnierze zdumieni się i zrozumieli, że stało się to na znak, iż ofiara krwi świętego biskupa została mile przyjętą przez Boga, jak miłą mu była ofiara mszalna, składana za życia przez tegoż świętego. Zamoczone w świętej krwi ubiory kościelne ze czcią złożono napowrót do skrzyni i jako drogie relikwie umieszczono w zamkowej kaplicy pod strażą załogi wojskowej, To był ostatni cud tego straszliwego i pamiętnego na zawsze dnia.

Po zatopieniu ciała świętego Józafata gęste ciemności zapanowały na dni kilka nad Witebskiem i okolicą, a przestępcy, otrzeźwieni z szalu i pijaństwa, w trwodze oczekiwali dalszych następstw spełnionej przez siebie zbrodni.



przeniesiono je do kościoła świętego Michała wewnątrz zamku. Orszak pogrzebowy przechodził około domu, w którym leczył się z odebranych ran wierny towarzysz świętego, Emanuel Kantakuzen. Dowiedziawszy się o nadciągającym orszaku, dowiółkł się on, choć z trudem do okna, aby ujrzeć jeszcze raz swego mistrza.

Drugi nieodstępny towarzysz arcybiskupa za życia, archidiakon Doroteusz, pomimo że sam cały był okryty niezabliźnionemi jeszcze ranami, kazał się jednak zaprowadzić do kościoła świętego Michała, aby jak za życia, tak i teraz posłużyć przy ubieraniu Józafata w arcybiskupie szaty. Ujrawszy oblicze świętego, jaśniejące nadzwyczajną pięknnością, nie mógł powstrzymać się od okrzyku radości: „Wszak on piękny, jak anioł!” Żadnego śladu zepsucia ciała nie było widać, oblicze za życia śniade, teraz jaśniało śnieżną białością, usta rumieniły się, lekko rozwarte, jakby gotowe przemówić, oczy przymknięte jak w słodkim śnie. Głęboka rana na głowie i mnóstwo pomniejszych ran na twarzy i innych członkach, nietylko nie miały nie w sobie wstrętnego, odrażającego, lecz owszem nakształt róż zdobiły święte ciało męczeńskie. Z rany głównej, zadanej siekierą, sączyła się ustawicznie świeża krew.

Lud patrząc na to nadzwyczajne zjawisko, coraz bardziej przychodził do przekonania o świętości arcybiskupa. Katolicy obu obrządków triumfowali, jakby po wielkiem zwycięstwie;

ci zaś odszczepieńcy, co przyszli z ciekawości do kościoła, odchodzili zawstydzeni i skruszeni, z płaczem i biciem się w piersi błagając Boga o odpuszczenie grzechów. Wspomniany wyżej Chodyga opowiadał później, jakie wrażenie wywarł na nim widok świętych zwłok arcybiskupa. „W chwili, kiedy patrzyłem na nie, wyrzekłem się w duchu swego odszczepieństwa. Po powrocie do Połocka wypowiadałem się i przyjąłem św. komunję w katedrze św. Zofii i teraz gotów jestem oddać swe życie za Kościół katolicki. Nawróciła mnie niewinna krew Józafata”. Było to pierwsze znaczniejsze nawrócenie, sprawione przez przyczynę królującego już w niebie męczennika. Za niem poszły i inne nawrócenia mieszkańców Witebska, cisnących się przez piętnaście dni koło katafalka, na którym spoczywały zwłoki świętego.

Wieść o śmierci świętego Józafata dobiegła prędko i do jego biskupiej stolicy, Połocka. Już w sam dzień męczeństwa spostrzeżono tam na niebie ognistą kolumnę, wydłużoną w kierunku Witebska, nikt jednak nie zrozumiał owego zjawiska. Na drugi dzień w domu burmistrza Achremowicza dwuletni jego synek, przebudziwszy się rano, począł wołać na ojca: „Tato, Bozia umarł! Tato, Bozia umarł!” Zdułmieli się rodzice i domownicy, gdyż dziecko zaledwie pierwsze słowa wymawiać počęło. Pytają chłopczyka, jaki Bozia umarł? — „Ten, co białą cerkiew budował”, odpowiada dziecko. Na drugi dzień dopiero przyszła wiadomość

## ROZDZIAŁ XVII.

**Pogrzeb i cuda pośmiertne św. Józafata.**

W parę dni po dokonaniu zbrodni magistrat miasta Witebska, czy to przestraszony trwającymi ciągle ciemnościami, czy też chcąc może pokryć poprzednią swą winę przynajmniej spóźnioną i udaną gorliwością, usilnie począł się krzątać, aby odnaleźć zatopione zwłoki męczennika i uczcić je należytem pogrzebem. Rybakom wyznaczono 100 złotych polskich nagrody, jeśli odnajdą ciało arcybiskupa. Z powodu wielkiej głębokości rzeki w tem miejscu, gdzie ciało Józafata było pograżone, długo się trudzili szukając napróżno świętych zwłok. Dopiero szóstego dnia po dokonanej zbrodni, to jest w piątek, pokazał się w pewnym miejscu rzeki wychodzący z wody słup światła, który naprowadził rybaków na domysł, że tam się poszukiwany skarb znajdował. Poczęli więc szukać tam żelaznymi hakami i rzeczywiście wydobyli na powierzchnię wody święte szczątki męczennika i przyciągnęli je wodą do brzegu rzeki o ćwierć mili poza miastem.

Skoro się rozeszła po mieście wiadomość

o znalezieniu ciała, tłumy ludu zbiegły się nad rzekę, by je oglądać, a może, aby błagać Boga za przyczyną męczennika o odpuszczenie dokonanej zbrodni. Między ciekawymi znajdował się świeżo przybyły z Połocka Jan Chodyga, zawzięty nieprzyjaciel arcybiskupa. Ten, pomimo swej nieprzyjaźni do świętego pasterza i do Unji, skoro się dowiedział o dokonaniem zabójstwa, potępił śmiało złoczyńców. Teraz stojąc nad rzeką, wpatrywał się w święte zwłoki, które chociaż tydzień spoczywały pod wodą, nie uległy jednak najmniejszemu nawet zepsuciu. Patrząc na nie, począł wątpić o swojej dotychczasowej prawości, a skłaniać się ku uznaniu Józafata za prawdziwego męczennika.

Wnet słudzy arcybiskupa przynieśli bieliznę i szaty i poczęto ubierać święte zwłoki. Chodyga czynnie w tem dopomagał, trzymając silnie rozwinięte prześcieradło, by zakryć nagie ciało przed wzrokiem tłoczącego się ludu. Po wydobyciu świętych zwłok na brzeg, poczęły się rozchodzić czarne, od kilku dni nisko zwieszające się chmury i słońce poraz pierwszy od chwili popełnionej zbrodni oświeciło miasto Witebsk i okolicę. Ubrane ciało złożono na powrót do łodzi, na drugą łódkę włożono włosenicę i kamienie, z którymi święty był zatopiony, i podwieszono te drogie relikwie pod górę, na której stał zamek witebski. Lud tłumnie szedł brzegiem rzeki w kierunku zamku.

Pod zamkiem oczekiwał na ciało katolicki kapłan. Złożono zwłoki na noszach i uroczyście



do Połocka o męczeństwie arcybiskupa; rodzice owego chłopczyka domyślili się, że o tej śmierci zwiastowała im cudownie ich dziecina.

Wszystkie dzwony cerkwi połockich roznościły smutno wiadomość do uszu mieszkańców biskupiej stolicy. Dzwoniono po kilka razy na dzień, aż do chwili sprowadzenia zwłok świętych z Witebska. Pewnego dnia notariusz Dziahiłowicz, wpatrując się w kopuły cerkiewne podczas dzwonięcia, ujrzał nad katedrą unoszącą się postać świętego Józafata, ubranego w szaty arcybiskupie, jakoby na dowód i na znak tej opieki, jaką z nieba roztaczał nad swoją owczarnią.

W Połocku uchwalono sprowadzić czcigodne szczątki arcypasterza i uczcić je uroczystym pogrzebem w przygotowanym przez samego Józafata grobie. W tym celu udali się do Witebska przedstawiciele duchowieństwa katedralnego, spowiednik i przyjaciel męczennika, O. Gennadjusz Chmielnicki, cały magistrat i kilku innych pobożnych obywateli. Po przybyciu do Witebska delegaci połoccy znaleźli w kościele św. Michała ciało zmarłego w takim stanie, że raczej się zdawało, że Józafat śpi i za chwilę, przebudziwszy się, mówić pocznie. Niebawem poczyniono przygotowania do przewiezienia świętych relikwii rzeką Dźwiną.

Kiedy się zabierano do wyniesienia świętych zwłok z kościoła, cały Witebsk zgromadził się u trumny męczennika. Płacz i szlochania wyrywały się z piersi pokutujących za swą nie-

wdzięczność mieszkańców. Nie przeszkadzali jednak witebszczanie zabrać sobie ten święty skarb, gdyż czuli się niegodnymi zatrzymać u siebie szczątki tego, któremu sami tak okrutną śmierć zadali. Wyprosilili tylko u delegatów połockich tę łaskę, że mogli na własnych barkach wynieść święte zwłoki do przygotowanej na rzece łodzi. Kto tylko mógł, cisnął się do trumny, aby przynajmniej przez chwilę móc się jej dotknąć. Do orszaku żałobnego przyłączyli się nawet żydzi, zdumieni cudem zachowania ciała przed zepsuciem, i kalwiniści ze swoim pastorem na czele. Wszyscy, bez różnicy wyznania, wielbili świętość Józafata i wzywali pomsty niebios na jego zabójców.

Podczas tego pochodu, zdarzył się drobny ale dziwny fakt, któremu naoczni świadkowie cudowne przypisali znaczenie. Do wieka trumny przytwierdzono mocno kielich, jako symbol kapłańskiego urzędu Józafata. Otóż kiedy przeciągano ulicą około kalwińskiego zboru, kielich odchylił się w stronę przeciwną od zboru, po czem znów wrócił do dawnego położenia. Obecni zrozumieli, że św. Józafat i po śmierci brzydzi się herezją kalwinów, którzy mszę św. odrzucili i nie wierzą w obecność Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie.

Kiedy barką z ciałem świętego odbijała od brzegu, rozległ się znowu lament i tłumy ludu długo jeszcze biegły brzegiem rzeki za łodzią, nie mogąc rozstać się ze swoim świętym, a tak niewdzięcznie przyjętym pasterzem. Rzeka, po-

mimo silnych mrozów (było to w końcu listopada), nie stanęła i kra zdaleka omijała barkę, wiozącą święte ciało. Ledwie jednak przybyto do Połocka, lód pokrył rzekę, iż żegluga stała się niemożliwą. Zdawało się, jakoby na czas pewien zawieszonem zostało działanie praw natury, aby nawet martwa przyroda dała świadectwo świętości Józafata.

Mieszkańcy Połocka wybiegli na brzeg rzeki, aby powitać święte relikwie. Przed kilku tygodniami żegnano arcybiskupa, życząc mu szczęśliwego powrotu, teraz odbierano tylko martwe jego szczątki. Na czele katolików obydwóch obrządków oczekiwało duchowieństwo łacińskie i unickie w kościelnych strojach. Nie brakło i schizmatyków, heretyków, a nawet żydów. Tym nawet, którzy nie umieli ocenić świętego biskupa za życia, otwierały się teraz oczy po jego śmierci i poznawali, jaki skarb utracili. Powitano też powracające zwłoki głośnym płaczem, zagłaszającym kościelne pogrzebowe śpiewy. Kiedy na żądanie ludu otwarto trumnę i oczom wszystkich ukazało się nadziemską pięknością jaśniejące oblicze świętego, wcale nieskażone, pomimo że od chwili męczeństwa ubiegło dwa tygodnie, na ten widok lud wszystek upadł na twarz, zanosząc się od płaczu. Zwłoki męczennika zostały uroczyście przeniesione do katedralnej cerkwi św. Zofji, gdzie wystawiono je w otwartej trumnie na bogato przybranym katafalku na widok publiczny i dla uczczenia przez wiernych.

Niebawem przy trumnie świętego poczęły się dokonywać cudowne uzdrowienia. Pierwszy doznał na sobie cudu niejaki Piotr Dankowski, trudniący się poradą prawną, wielki przyjaciel i czciciel Józafata za życia. Od niejakiego czasu do tego stopnia stracił wzrok, że nie mógł rozpoznawać najbliższych sobie osób. Podczas pochodu ze zwłokami Józafata do katedry chciał wziąć udział w owej procesji i kazał się prowadzić z nią do świątyni. Naokoło siebie słyszał ustawiczne westchnienia i okrzyki ludu. „To święty, mówiono o Józafacie, nigdy on nikomu najmniejszej urazy nie wyrządził. O, przekłęci, co mu śmierć zadali!” Wzruszony do głębi duszy, Dankowski przy pomocy swoich przewodników docisnął się w świątyni do filara, do którego przymocowano włosienicę z kamieniami, z którymi ciało Józafata było zatopione w Dźwinie. Począł więc całować te drogie pamiątki, poczem upadłszy na kolana, błagał gorąco Boga za przyczyną Józafata o uzdrowienie. Obecni w tłumie schizmatycy natrzęsali się z niego. „Głupi, co czynisz? mówili: poco całujesz te kamienie, co one ci pomogą?” Nie słuchając tych szyderstw, ucałował poraz drugi i trzeci włosienicę z kamieniami, potarł nią swe oczy i w tejże chwili, ku wielkiemu zdumieniu wszystkich, wzrok mu został przywrócony. Kiedy atoli w domu przekonał się, że uleczenie było niezupełne, gdyż jeszcze czytać nie mógł, wrócił do katedry, powtórzył swe modlitwy i wzrok kompletnie odzyskał. Do



samej śmierci nigdy już na oczy nie chorował, ani nie czuł żadnego osłabienia wzroku.

Za tym cudem poczęły dziać się inne uzdrowienia. Za przykładem Dankowskiego pewna ciemna niewiasta potarła swe oczy włosiennicą świętego i w tejże chwili przejrzała. Do zwłok męczennika gromadziły się coraz liczniejsze tłumy pobożnych wielbicieli świętego, szukających pociechy lub pomocy w swoich potrzebach. Na żądanie ludu trumna pozostała otwartą przez całe dziesięć dni i lud nie mógł się natrzeć na cudownie zachowane w całej świeżości i piękności oblicze świętego.

Ponieważ chciano uczcić jaknajwspanialszym pogrzebem te święte szczątki, dlatego długo czyniono rozmaite przygotowania. Przytem, z powodu rozlicznych przeszkód, nie prędko mógł przybyć do Połocka serdeczny przyjaciel męczennika, metropolita Rutski. Z tego powodu pogrzeb odbył się dopiero w 14 miesięcy po męczeńskiej śmierci, mianowicie w styczniu 1625 r. Przez cały zaś ten czas zwłoki męczennika stały na katafalku wśród katedralnego chóru i od czasu do czasu otwierano trumnę dla uczczenia świętego i większej pociechy wiernych, którzy wciąż oglądać mogli cudownie zachowane od zepsucia ciało i krew sączącą się wciąż z otwartej rany na głowie. Naokoło katafalka płonęły wciąż świece i lampy, zapalane rękami pobożnych pielgrzymów, całami kompanjami przybywających z dalekich nawet stron.

Nadszedł wreszcie czas uczczenia czcigodnych

zwłok męczennika uroczysim pogrzebem w przygotowanym przez niego samego grobie. Wyznaczono na to dzień 18 stycznia. Przez cały poprzedzający tydzień trzy razy bito po godzinie w dzwony wszystkich połockich świątyń. Na trzy dni przed pogrzebem przeniesiono zwłoki z katedry do cerkwi Spasa, aby w katedrze było wygodniej poczynić wszystkie przygotowania. W przeddzień pogrzebu zjechali do Połocka: metropolita Rutski, władyka piński Grzegorz Michałowicz i władyka smoleński Leon Kreuza. Przywitały ich przed bramami miasta władze połockie, z nowym arcybiskupem Antonim Sielawą na czele. Ten następca św. Józafata na tronie arcybiskupim rządził już od kilku miesięcy użyźnioną krwią męczennika diecezją. Przybyli arcypasterze udali się zaraz do zwłok Józafata i przy nich odprawili uroczyste nieszpory.

Na drugi dzień z samego rana głos dzwónów i strzały armatnie z zamku zwiastowały mieszkańcom Połocka rozpoczęcie żałobnej uroczystości. Około godziny ósmej uformował się pochód, przy współudziale niewidzianych nigdy tak licznych tłumów ludu. Obydwa katolickie obrządki nie zaniechały niczego, co mogło podnieść wspaniałość i uroczystość obrzędu. Pochód otwierali łacińscy kapłani w czerwonych ornatach, w liczbie dziewięciu na czele swych parafjan z Połocka. Jeden z nich przybrany w kapę niósł krzyż pogrzebowy. Następnie szli kapłani Towarzystwa Jezusowego z uczniami

swoich szkół, wykonującymi wspaniałe harmonijne pienia. Dalej postępowali w swych malowniczych kościelnych ubiorach kapłani unicy w liczbie przeszło stu; niektórzy z nich nieśli włosienicę świętego, kamienie przywiązane przy zatopieniu do jego szyi, szaty napojone krwią męczeńską i inne drogie po świętym pamiątki. Trumna z ciałem świętego spoczywała na wspaniałym karawanie obitym drogiemi materjami i ciągnionym przez sześć dobranej maści rumaków. Wóz otaczały pochodnie niesione przez bogato ubranych giermków i stu szlachty doborowej pełniącej straż honorową. Za karawanem kroczyli metropolita i biskupi, otoczeni przez dygnitarzy kraju i niezliczony tłum szlachty, mieszczaństwa i ludu. Rzadko kto z najwyższych magnatów miał w Polsce taki pogrzeb, jaki sprawiono temu biednemu mieszczańskiemu synowi, a potem kupczykowi, którego własna cnota i gorliwość wyniosła aż na tron arcybiskupa, a nieustraszona śmierć męczeńska uprawiała niwę pod dalszy posiew katolickiej wiary w ruskich krajach. Katedra św. Zofji wspaniale była przyozdobiona na ponowne przyjęcie świętych zwłok. Obito ją całą w drogie purpurowe materje; na środku wznosił się okazały katafalk, tonący w zieleni kwiatów i tysiącu żarzących się świec. Skoro ustawiono trumnę na katafalku, rozpoczęło się nabożeństwo, celebrowane przez metropolitę Rutskiego i przeplatane przez pochwalne mowy w języku łacińskim, greckim, polskim i ruskim. Mówili je jużto studenci szkół jezuickich, jużto

biskup nominat smoleński Kreuza, jużto wreszcie sam metropolita. Uroczystości dodawały uroku śpiewy, wykonywane przez młodzież szkolną naprzemian z ludem. Po ukończeniu ceremonij złożono trumnę ze świętymi szczątkami do grobu obok ołtarza. Przy tej rzewnej uroczystości nie brakło żadnego z najbliższych przyjaciół i pomocników świętego. Archidiacon Doroteusz i inni towarzysze świętego, którzy tylko cudem ostali się przy życiu, wylewali łzy z żalu, że nie dano i im jednocześnie złożyć życia w ofierze dla świętej sprawy.

Dzień pogrzebu Józafata był jednocześnie dniem triumfu świętego zjednoczenia w jednej wierze dwóch obrządków. Przy grobie męczennika Unji zbliżyli się i bardziej zacieśnili węzły braterstwa Rusini z łacinnikami; schizmatycy zaś albo się nawracali do świętej jedności, albo zawstydzeni musieli przycichnąć i zaniechać na czas jakiś okazywania swej nienawiści względem Kościoła katolickiego.



## ROZDZIAŁ XVIII.

**Nawrócenie zabójców i nieprzyjaciół świętego.**

Skoro rozeszła się wieść po kraju o wypadkach witebskich, zewsząd poczęły odzywać się głosy, żądające ukarania winowajców. Wielki kanclerz litewski, Lew Sapieha, który jeszcze przed paru miesiącami ośmielał się dawać nauki Józafatowi i zasypywał go zarzutami, teraz po męczeńskiej śmierci świętego przekonał się, jak niebezpieczną nie tylko dla wiary, ale i dla spokoju publicznego była agitacja schizmatycka, prowadzona przez zwolenników i wysłańców Smotryckiego. Dlatego on pierwszy z panów polskich wystosował do króla Zygmunta list, żądając królewskiego sądu i surowej kary na zabójców, aby nie tylko ukarać dokonaną zbrodnię, ale i innych od podobnych gwałtów odstraszyć. Metropolita Rutski, donosząc królowi o dokonaniem zabójstwie, polecał Kościół unicki opiece monarszej.

Król na pierwszą wieść o zabójstwie nie chciał dać temu wiary, aby pod jego berłem dopuszczono się takiej świętokradzkiej zbrodni. Przy-

puszczał, że chyba z za moskiewskiej granicy wpadli do Witebska jacyś rabusie i awanturnicy i dopuścili się niebywałego gwałtu. Niestety, wkrótce się dowiedział, że spełnili tę zbrodnię własni jego poddani, obywatele Witebska. Rozkazał też zaraz, aby wybrano i wysłano na miejsce wypadku królewskich komisarzy dla zbadania sprawy i osądzenia winowajców. Znaleźli się jednak i na dworze królewskim obrońcy morderców, radzący królowi odłożyć sąd na później, nibyto dlatego, aby sprawa lepiej się wyjaśniła, a w rzeczy samej, aby poszła w odwołkę i aby o niej zapomniano. Król jednak po kilku tygodniach zwłoki, naciskany przez opinię publiczną, wysłał wreszcie w grudniu 1623 roku do Witebska swoich komisarzy dla rozpoznania sprawy. Byli nimi: wspomniany wyżej Lew Sapieha, Samuel Sanguszko, Krzysztof Sokoliński, Aleksander Gosiewski i Aleksander Sapieha, którzy zjechawszy do Witebska otwarli urzędową czynność 17 stycznia 1624 roku.

Nie było trudno stwierdzić zabójstwo i wyszukać winowajców. Jako oskarżeni stanęli przed sądem nie tylko ci, którzy własnymi rękami śmierć męczeńską Józafatowi zadali, ale i radni miasta, którzy już ją przedtem uchwalili, lub w inny sposób dopomogli do dokonania zbrodni. Winowajcy prawie wszyscy sami przyznali się, że brali udział w zbrodni; niektórzy tylko, jak radni miasta Wołk i Niesza, tłumaczyli się, że w chwili śmierci Józafata wcale ich w mieście nie było, udowodniono im jednak niezbitemi

dowodami, że oni właśnie byli sprężyną rozruchów i umyślnie w chwili stanowczej z miasta się usunęli, aby zrzucić ze siebie odpowiedzialność na innych.

Przy tych rozprawach zajaśniała niewinność i świętość Józafata. Nie było nic łatwiejszego dla oskarżonych, jak usprawiedliwić swój postępek surowością Józafata, jeżeliby przyczyną rozruchów była rzeczywiście zbyt surowość, albo inne błędy przez arcybiskupa popełnione. Tymczasem nikt z oskarżonych nie mógł nic zarzucić Józafatowi, owszem wszyscy odzywali się z najwyższymi pochwałami dla charakteru i postępowania arcybiskupa. Całą zaś winę za rozruchy składano raczej na Smotryckiego i jego popleczników. Oto własne słowa oskarżonych o zabójstwo Józafata. »Kiedy św. pamięci arcybiskup przybył do Witebska w r. 1618, aby objąć w posiadanie stolicę biskupią, myśmy go przyjęli za swego pasterza. Myśmy widzieli, że on święty, gorliwy, pragnący oświecić nauką swoje owieczki; widzieliśmy, że w ceremonjach kościelnych nic nie zmienia i rządzi Kościołem według postanowień koncyliów i przepisów Ojców świętych. Myśmy się z tego cieszyli i czciliśmy go, jako naszego pasterza, widząc jego łagodność i miłość ojcowską względem nas. Tak było przez trzy lata; dopiero później, widąc dla grzechów naszych przodków, dopuścić Pan Bóg na nas to nieszczęście, że Melecjusz Smotrycki przysłał nam mnicha Sylwestra z listami, zachęcającymi nas do buntu«. Wobec takich zeznań samych

nawet wrogów Józafata, czyż trzeba lepszego świadectwa na to, że nie surowość i okrucieństwo jego były powodem buntu przeciwko niemu, jak zwykle schizmatycy zarzucają, ale wicherzonia Smotryckiego?

23 stycznia, po sześciu dniach rozpraw sądowych, komisarze królewscy ogłosili swój wyrok. Nahum Wołk, Symon Niesza i kilkunastu innych mieszkańców Witebska, jak również przybyli z Połocka Piotr Wasilewicz, uznani za najwinniejszych, skazani zostali na karę śmierci przez ścięcie. Niektórzy z nich zdołali umknąć z Witebska, za co zabrano im majątki na korzyść skarbu. Ponieważ całe miasto brało udział w buncie razem ze swoimi burmistrzami, przeto wyrok komisarski odebrał Witebskowi prawo samorządu, poddając miasto pod rządy wojewody królewskiego. Ratusz, gdzie knowano bunt przeciwko Józafatowi, został doszczętnie zburzony. Wszystkim cerkwiom, w których dzwoniło na alarm w celu poruszenia ludu przeciw arcybiskupowi, odebrano dzwony i stopiwszy je, ulano jeden wielki dzwon, przeznaczony do katedry, i na nim umieszczono odpowiedni napis, mający świadczyć późniejszym pokoleniom o wymierzonej na winnych sprawiedliwości. Na przyszłość żadna cerkiew w Witebsku nie mogła sprawić sobie dzwonów bez pozwolenia unickiego arcybiskupa.

Od wyroku komisarzy królewskich nie było żadnej apelacji i zasądzeni na śmierć musieli dać swe głowy pod topór. Przedtem jednak, za



przyczyną świętego męczennika, stał się z nimi cud miłosierdzia Bożego. Oto zasądzeni na śmierć, z wyjątkiem tylko jednego, tknięci skruczą serdeczną, zapragnęli przed śmiercią pojednać się z Bogiem i z Kościołem katolickim, przeciwko któremu tak zawzięcie walczyli. Księża Bazylijanie i Jezuita pośpieszyli im z pomocą duchową, wyspowiadali wszystkich i przyjęli na łono Kościoła katolickiego. Podczas gdy sprawiedliwość ludzka karała śmiercią popełnioną zbrodnię, królujący w niebie Józafat mścił się na swoich zabójcach tym sposobem, który tylko świętym jest właściwy: wyjednał im u Boga nawrócenie się do prawdziwej wiary.

Owym jednym z pomiędzy zabójców, który pozostał do śmierci w schizmatyckim uporze, był Piotr Wasilewicz, radny miasta Połocka, o którym mówiliśmy już, że przywłaszczył sobie spełnianie czynności kapłańskich, byle tylko schizmatyków nie dopuścić do kapłanów unickich. Śmierć jego była okrutną. Podczas gdy inni jego towarzysze, nawróceni już do prawdziwej wiary, schylali swe głowy pod miecz kata z rezygnacją i poddaniem się woli Bożej, wiedząc, że tym sposobem okupują swoją winę, Wasilewicz przeciwnie począł się szarpać i zasłaniać rękami przed uderzeniem kata. To sprawiło, że kat dopiero za piątym uderzeniem zdołał odciąć mu głowę; przedtem zaś poobcinał mu ręce i uszy. Obecny przy tej egzekucji lud tłumaczył sobie, że taka kara spotkała Wasilewicza za jego świętokradztwa. Wszak temi niepoświęco-

nemi rękami ośmielał się udzielać sakramentów, a uszami odbierał spowiedzi od schizmatyków! Ciała straconych zabójców rzucono do rzeki Dźwiny. Lud bez szemrania patrzył na takie surowe wykonanie kary, uznając zupełnie jej słuszność i sprawiedliwość.

Jeszcze podczas pierwszych prześladowań Kościoła sławny pisarz kościelny, Tertuljan, wołał do pogan, że chrześcijanie śmierci się nie boją i prześladowania nie są w stanie zniszczyć prawdziwej wiary, owszem rozmnażają ją. »Krew męczenników, to nasienie chrześcijan«, były jego słowa. To sprawdziło się również na męczeńskiej śmierci Józafata. Wiemy, że nawrócił on bardzo wielu do prawdziwej wiary przez swoje pasterskie prace, przez słowo Boże, przez dobry przykład, ale kto wie czy nie więcej nawróceń sprawił przez swoją śmierć męczeńską. Najzawziętsi jego wrogowie za życia teraz po jego śmierci nawrócili się do prawdziwego Kościoła. Dostyc powiedzieć, że diecezja połocka, a w szczególności ojcobójcze miasto Witebsk, były odtąd najwierniejszą częścią Kościoła unickiego i w wierności Unji przetrwały po części nawet podczas najszerszych prześladowań za cesarza Mikołaja I. Śmierć Józafata sprawiła i to, że wszyscy szlachetniejsi w Polsce i na Rusi ludzie odwrócili się odtąd od schizmatyków, a stanęli w obronie zagrożonej unji. Zaiście sprawdziło się na św. Józafacie, co Pan Jezus powiedział o męczennikach wogóle. *„Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, jeśli ziar-*

*no pszeniczne padły na ziemię nie obumrze, samo trwa; jeśli zaś obumrze, wiele owocu przyniesie<sup>1)</sup>.*

Pomiędzy owocami, jakie przyniosła śmierć męczeńska Józafata, najbardziej zadziwiającem było nawrócenie samego Melecjusza Smotryckiego, który, jak wiemy, był główną przyczyną śmierci świętego. Wprawdzie osobiście nie brał czynnego udziału w zabójstwie, nawet wyznać trzeba, że i swych zwolenników do tej zbrodni wprost nie wzywał i o tem, że tak prędko spełnioną będzie, nie wiedział. Mimo to, wszystkim było dobrze wiadomo, że nie kto inny, jeno on był ostatecznym sprawcą całego buntu przeciw Józafatowi, a zatem i sprawcą pośrednim męczeńskiej jego śmierci. Zresztą on sam czuł to doskonale i dlatego, skoro doszła go wieść o popełnionej w Witebsku zbrodni, zdrzął i o swoje życie i choć w rzeczywistości nikt jeszcze nie myślał o pociągnięciu go do odpowiedzialności, opuścił swoją siedzibę w Wilnie i uciekł do Kijowa, gdzie czuł się bezpieczniejszym. Ale i tam nie znalazł spokoju. Będąc człowiekiem wysoce wykształconym, nigdy nie miał on głębokiego przekonania o wyższości i prawdziwości religii, której dotąd bronił, i napadając w swych pismach na Kościół katolicki, nie tyle czynił to z przekonania, ile raczej dlatego, że na niego były zwrócone oczy wszystkich jego braci po wierze i jemu same-

<sup>1)</sup> Jan, XII, 24—25.

mu pochlebiali, że stoi na ich czele i przewodniczy w walce z katolikami i Unją. Po męczeńskiej śmierci Józafata, wątpliwości Smotryckiego, odezwały się z nową siłą. Nie mogąc znaleźć w Kijowie spokoju dla swojej duszy, opuścił zupełnie kraj i udał się w daleką podróż do ziem greckich i do Palestyny, żywiąc jeszcze jaką taką nadzieję, że przecież tam, w owych miejscach świętych, przypatrzy się dobrze greckiej wierze i może przekona się głębiej o jej prawdziwości. Stało się wręcz przeciwnie, niż oczekiwał. Na wschodzie zamiast czystego »prawosławia«, którego tam szukał, widział szerzące się błędy Lutra i Kalwina. Wszak sam nawet patriarcha carogrodzki, niegdyś nauczyciel Smotryckiego, Cyryl Lukariś, niemal jawnie głosił heretycką naukę. Lud prosty zastał Smotrycki na Wschodzie w największej ciemności, cerkwie opuszczone, nigdzie ani śladu jakiegos życia religijnego. Tym przeto sposobem, zamiast się utwierdzić w swoim mniemanem »prawosławiu«, Smotrycki przejrzał jasno, że prawdziwa wiara i prawdziwe życie religijne znajdują się raczej w Kościele katolickim. Z tem też powrócił do kraju. Długo jednak nie miał odwagi otwarcie przyznać się do swoich błędów: myślał, że dostatecznie swą winę naprawi, jeśli na przyszłość zaprzestanie napadać na Kościół.

Jednak łaska Boża nie dawała mu spokoju. Opowiadał potem, że słyszał jakoby ustawiczny głos Chrystusa: Melecjuszu, Melecjuszu, Mele-



cjuszu, czemu mnie prześladujesz? Patrz, ileś złego sprawił swojemi pismami". Do Wilna wracać już nie chciał; arcybiskupiej godności, na którą nieprawnie był wyświęcony, spełniać już nie pragnął. Poprosił tylko księcia Zasławskiego z Ostroga, aby go mianował archimandrytą klasztoru w Dermaniu, co też otrzymał, ale pod warunkiem, że przyłączy się otwarcie do Kościoła katolickiego. Tak też i uczynił.

Wyznanie wiary katolickiej Smotrycki uczynił r. 1627 w Dubnie wobec metropolity Rutskiego, przed nim się wprzód wypowiadał, i rozgrzeszenie ze wszystkich swych grzechów i kar kościelnych otrzymał. Zaraz też napisał pokorny list do papieża, prosząc słowami ewangelicznego syna marnotrawnego o przebaczenie i przyjęcie do jedności kościelnej. Wszystkie swoje dawniejsze pisma, wymierzone przeciwko katolikom i Unji, teraz sam potępił jako zbiór kłamstw i potwarzy.

Nawrócenie Smotryckiego miało zostać jakiś czas w tajemnicy, aby mu łatwiej było pracować nad pojednaniem z Kościołem dawnych swoich braci po wierze, schizmatyków, wśród których miał tyle miaru i powagi. Spodziewał się on nawrócić samych nawet biskupów schizmatycznych. W tym celu napisał książkę, p. t. Apologia podróży na Wschód, w której odwoływał swe dawne błędy, a wskazywał, że prawosławni, jeśli nie chcą wpaść w luterskie lub kalwińskie herezje, powinni się zwrócić ku Kościołowi katolickiemu, którego nauka

jest zresztą zgodna i ze starymi pismami Ojców Kościoła i z liturgją grecką. W tymże duchu napisał jeszcze kilka innych dziełek. Niebawem wyruszył i sam do Kijowa na zwołany przez schizmatycznego metropolitę synod, z zamiarem bronięcia osobiście swojej książki i pociągnięcia schizmatycznych biskupów do jedności kościelnej. Niestety! nadzieje go zawiodły. Schizmatycy po przeczytaniu jego Apologii, poznawszy, że on już został unitą, pod groźbą śmierci zażądali, aby się wyrzekł swoich przekonań katolickich. Smotrycki miał wprawdzie odwagę zostać katolikiem, ale brakło mu ducha, aby za prawdę ponieść śmierć męczeńską, jak poniósł Józafat. Dlatego, nie widząc sposobu uratowania swego życia, wyrzekł się znowu publicznie w cerkwi wiary katolickiej i spalił swoją Apologję.

Jak niegdyś święty Piotr z bojaźni zaparł się Chrystusa w pałacu Kaifasza, tak postąpił teraz Smotrycki. Lecz i na niego, jak na Piotra wejrzał Chrystus, i on, jak Piotr, wydobywszy się z tego strasznego miejsca, począł gorzko płakać nad swoim upadkiem. Skoro się wydostał na wolność, ogłosił drukiem cały przebieg gwałtu popełnionego nad nim w Kijowie, potępił znowu swoją słabość i upadek i przeproszał wszystkich za dane zgorszenie. Odstępstwo kijowskie przekonało go, że nie jemu być apostołem, nawracającym braci, ale że zadaniem jego jest pokuta za własne winy. Odtąd też, chociaż pisał wiele jeszcze w obronie

wiary katolickiej i Unji, przedewszystkiem jednak zasłynął ze swojej surowości życia, ze swych postów i umartwień ciała, któremi chciał wynagrodzić Bogu i Kościołowi za swą dawną pychę i ostatnią małoduszność. Ojciec święty darował mu jego powtórny upadek i nadał mu tytuł arcybiskupi, choć bez zarządu diecezją. Smotrycki dożył w pokucie w swoim klasztorze dermańskim i umarł roku 1633. Były silne poszlaki, że umarł od trucizny, zadanej mu przez schizmatyków. Przed śmiercią popalił wszystkie swoje książki i pisma, przeciwne świętej wierze katolickiej. Po śmierci Smotryckiego stała się rzecz dziwna, która wielu schizmatyków nawróciła do wiary świętej. Umierając, prosił on braci zakonnych, aby po śmierci dali mu do rąk list Ojca świętego, Urbana VIII, w którym papież rozwiązywał go od wszelkich kar kościelnych i nadawał mu arcybiskupią godność. Zakonnicy rozkaz ten przypomnieli sobie dopiero wtedy, kiedy członki nieboszczyka zupełnie już stężały. Palce u rąk były również sztywno wyprostowane, skoro jednak do ręki prawej nieboszczyka włożono list papieski, w tejże chwili palce jego jak żywego człowieka zacisnęły podany pergamin. Zdziwieni tem kapłani robią próbę, usiłują włożyć do rąk trupa list od schizmatyckiego patriarchy; lecz na próżno, bo ręka nie przyjmuje go, owszem, tak zaciska się, że nie podobna jej otworzyć, aby ów list do niej włożyć. Usiłują następnie wydrzeć mu z ręki list papieski: daremna praca



MELECJUSZ SMOTRYCKI  
z listem papieża Urbana VIII w ręku.



bo ciągnąc za mocny pergamin, poruszają w trumnie ciało nieboszczyka, a ręka trzymanego dokumentu wypuścić nie chce. Smotrycki i po śmierci świadczył, że pokój duszy i zbawienie znalazł jedynie w Kościele katolickim. Wiadomość o tym cudzie rozniosła się wnet po mieście i ściągnęła mnóstwo ciekawych, pragnących się o nim przekonać naocznie. Nikt nie mógł wydrzeć listu Ojca świętego z ręki nieboszczyka. Cud ten jeszcze większej nabrał siły, kiedy na pogrzeb Smotryckiego przybył sam metropolita Rutski. Ten w obecności tłumów ludu rozkazał zmarłemu oddać list papieski — i oto na rozkaz prawowitego pasterza ruskiej Cerkwi ręka nieboszczyka otworzyła się i wypuściła dokument. Wszyscy świadkowie owego zdarzenia powtarzali za metropolitą: „Palec Boży jest tu!“ Po chwili metropolita podał zmarłemu z powrotem odebrany list i ręka nieboszczyka, chwyciwszy go, znowu się zacisnęła mocno. Przez kilka następnych lat otwierano od czasu do czasu trumnę Smotryckiego. Ciało zawsze pozostawało niezepsute. Prawa ręka ciągle jeszcze trzymała papieskie breve. Pamięć tego cudu uwieczniono i w obrazach, malując Smotryckiego z listem Ojca św. Urbana VIII.

O Smotryckim rozpisałem się dłużej w żywocie świętego Józafata dla dwóch przyczyn. Raz dlatego, że tych dwóch ludzi Opatrzność związała jakimś dziwnym węzłem. Długie lata, co Józafat budował, to Melecjusz burzył, aż doprowadził do tego, że czerń schizmatycka pod-

niosła swe ręce na świętego. Melecjusz był tem względem Józafata, czem Szaweł względem św. Szczepana i pierwszych chrześcijan, ale jak krew Szczepana nawróciła Szawła i przemieniła go w wielkiego apostoła Pawła, tak i krew Józafata przemieniła nieprzyjaciela Unji Melecjusza w gorliwego jej obrońcę. Nadto inna jeszcze pobudka kierowała mną, abym nadmieniał obszerniej o Smotryckim. Mam nadzieję, że moja książka trafi i tam, gdzie się jeszcze obecnie rozgrywa walka między Kościołem katolickim a schizmą. Ogromne przestrzenie dawnego Kościoła unickiego wydały wprawdzie wielu męczenników i wyznawców Unji świętej, czego dowodem krew przelana w Pratulinie i Drehlowie i stepy orenburskie i chersońskie. Dla pocięchy żyjących jeszcze wyznawców wiary pisalem żywot św. Józafata. Ale też same kraje niestety wydały mnóstwo odstępców, którzy dla bojaźni prześladowania, lub w nadziei ziemskich korzyści porzucili wiarę św. i dotąd albo trwają w schizmatyckim uporze, albo się chwiejają, nie wiedząc co począć. Dla tych upadłych i chwiejących się niechaj posłuży za przykład Melecjusz Smotrycki. I on prześladował Kościół święty, i on się chwał długo między prawdą a fałszem, raz się nawracał, to znowu upadał i zdradzał prawdziwą wiarę. Wreszcie jednak powstał ostatecznie i pokutą zmazał winy swoje. Idźcie w jego ślady i wy, bracia, którzyście mieli nieszczęście opuścić Kościół, a schizmie się oddać; wróćcie w szczerą pokucie do Ko-

ścioła, a ta matka miłosierna daruje wam dawny wasz upadek, jak darowała Smotryckiemu jego zdradę, i wy znajdziecie w Kościele ten spokój i radość duchową, jakiej napróżno od schizmy oczekujecie.

## ROZDZIAŁ XIX.

### **Nowe cuda świętego Józafata i sprawa jego białyfikacji.**

Najlepszym dowodem świętości jakiegoś sługi Bożego bywają cuda, jakie Pan Bóg za przyczyną jego sprawuje. Święty Józafat zaraz od chwili swojej męczeńskiej śmierci zasłynął jako wielki cudotwórca. Niektóre cuda, za pośrednictwem jego działane, zanotowaliśmy już wyżej, jak owo cudowne uzdrowienie Dankowskiego od ślepoty. Mówiliśmy również o dziwnych nawróceniach do wiary świętej, których trudno nie przypisać wstawiennictwu chwalebnego męczennika.

Ale nie na tem kończyły się cuda Józafata. Unicki biskup chełmski, Jakób Susza, który napisał w XVII wieku piękny żywot Józafata, wylicza i opisuje aż 100 cudów, zdziałanych przez świętego w przeciągu 40 lat. Wszystkich tych cudów w niniejszej książeczce wyliczać nie będę, ale przywiodę z nich niektóre, aby czytelnicy jeszcze bardziej utwierdzili się w przekonaniu, że świętą była sprawa, za którą Józafat krew swą przelał i którą następnie cuda-



mi potwierdzał, i abyśmy powzięli wielką ufność w przemożną przyczynę świętego męczennika i do niego w naszych potrzebach duchowych i doczesnych uciekać się chcieli.

Pierwsze co do ilości miejsce między cudami Józafata zajmują uzdrowienia. Nie było prawie choroby, niemocy, w którejby Józafat nie przyszedł z pomocą, skoro się do niego uciekano. Najwięcej zaś łask doznali od niego ci, co i za życia wielkimi mu byli przyjaciółmi i czcili go jako świętego. O. Gennadiusz Chmielnicki, przyjaciel i spowiednik Józafata, wkrótce po błogosławionej jego śmierci uległ ciężkiej niemocy, bo tknięty paraliżem przez trzy lata nie mógł ruszyć się z łóżka. Pragnąc pracować jeszcze na chwałę Bożą, po trzech latach swej niemocy oddał się w opiekę Józafata. Na skutek swej ufnej modlitwy nie długo czekał, bo już po kilku dniach paraliż ustąpił i chory mógł pieszo udać się ze swego klasztoru do katedry w Połocku, aby przy grobie świętego odprawić dziękczynną mszę świętą za swoje uzdrowienie. Doznawszy cudownej pomocy świętego, O. Gennadiusz zachęcał potem i innych cierpiących, aby się do Józafata modlili. Za jego usilną radą poszła pewna służąca, imieniem Małgorzata, która cierpiała taki ból głowy, że już myślała odebrać sobie życie. Skoro za radą O. Gennadiusza udała się do grobu Józafata, niosąc na swej głowie koronę ze świec, do tegoż grobu ofiarowanych, ból głowy opuścił ją na zawsze.

Mieszczanka połocka, Maryna, przez 14 lat

leżała w szpitalu, pozbawiona władzy w nogach. Przyczołgała się razu pewnego do katedry i prosiła, aby ją dopuszczono do grobu Józafata. Skoro się pomodliła gorąco do św. męczennika, wnet odzyskała używanie swych członków i po dwóch tygodniach zupełnie była zdrową na długie lata. Takich cudownych uleczeń z zastarzałych chorób biskup Susza spisał bardzo wiele.

W r. 1636 ciężko zachorował Doroteusz Lelikowicz, ów archidjakon Józafata, o którym już często wspominaliśmy. Opuszczony nawet przez lekarzy, którzy stracili nadzieję jego wyzdrowienia, zwrócił się z modlitwą do swego przyjaciela i ojca, Józafata, uczcił częścią jego relikwji, jaką u siebie posiadał, i tegoż dnia odzyskał zupełne zdrowie.

Wielu łask za przyczyną św. Józafata doznał dom Michała Tyszkiewicza, który, jak wiemy, wprasał się za towarzysza podczas ostatniej podróży Józafata do Witebska. Mianowicie wyszła z ciężkiej niemocy żona jego Krystyna, skoro opiece Józafata się oddała; podobnie i służąca jego Zofja, która przez całe 24 godziny leżała w konaniu, nagle wyzdrowiała, kiedy ją pan jej Józafatowi ofiarował i na szyi relikwję świętego zawiesił. Sam Michał Tyszkiewicz, zachorowawszy na silny reumatyzm w nogach, że tylko na kulach i przy pomocy sług mógł dowiec się do kościoła, skoro pomodlił się przy grobie Józafata, nagle został uzdrowiony i bez niczyjej pomocy wrócił do

domu. Podobnych łask doznało wiele pańskich rodzin, jak np. Zasławskich, Czartoryskich, Sapiehów. Podobnie otrzymywali zdrowie za przyczyną Józafata zakonnicy i zakonnice, jak np. pewien prowincjał OO. Dominikanów, uleczony z paraliżu, i siostra bazylianka, Agata Rusowska, z ciężkiej niemocy w nogach.

Roku 1626, w samą rocznicę męczeństwa Józafata wybuchł w nocy pożar w jezuickim kolegium w Połocku. Drewniany kościół, a nawet całe miasto było zagrożone. Lud wylekniiony wtargnął do kościoła, wołając: »Święty Józafacie, módl się za nami«. Rektor kolegium, O. Kosiński, który był również spowiednikiem i przyjacielem Józafata, uczynił publiczną obietnicę, że zawiesi srebrne wotum u grobu męczennika, jeśli pożar przestanie się srożyć. I rzecz dziwna się stała. Płomienie zgasły nagle, jak gdyby je przytłumiła jakaś potężna, nadziemska ręka. O. Kosiński począł odtąd gorliwie szerzyć cześć świętego Józafata i wielu nadzwyczajnych łask, za jego wezwaniem zdziałanych, był jeszcze świadkiem.

Podobnej opieki doznało miasto Zamość podczas pożaru r. 1627. Metropolita Rutski, jadąc w sprawach kościelnych do tego miasta, ujrzał zdaleka, że Zamość stoi w płomieniach. Udawszy się czempredzej do kościoła, kazał zapalać świece na ołtarzu, rozłożył na nim zamoczoną we krwi świętego Józafata chustę, którą zawsze ze sobą woził, i upadłszy na kolana wraz z duchowieństwem i ludem, wśród któ-

tego znajdował się i pan tego miasta Zamojski, począł błagać Boga za przyczyną jego wiernej służby Józafata o uśmierzenie groźnego żywiołu. Na modlitwę Pan Bóg odpowiedział natychmiastową pomocą. Pogodne dotąd niebo nagle zanosło się chmurami i rzęsiły deszcz ugasił płomienie. Metropolita zeznał później pod przysięgą, że ile razy znajdował się w jakiej potrzebie, a wezwał pomocy Józafata, zawsze bywał wysłuchany.

Niekiedy święty Józafat, przychodząc z pomocą wzywającym go, sam się im ukazywał. W Łomży mieszkała starościna Felicja Kossakowska, z domu Wołowiczówna, nawrócona niegdyś przez Józafata z herezji do wiary świętej. Dłuższy czas podagra przykuwała ją do łóżka. Za radą swego brata, biskupa wileńskiego, uciekła się z prośbą do ojca swej duszy Józafata, pokrywając swe nogi materją we krwi męczennika zamoczoną. Wtem zasnęła. We śnie ujrzała biskupa, w greckie cerkiewne szaty ubranego, i z głowy jego zranionej spływającą krew. Pyta go, ktoby on był? — »Jestem Józafat, któregoś wezwała«, odpowiedział biskup. Chora ponawia swą prośbę, aby przez swoje zasługi wyjednał jej zdrowie. — »Moje zasługi, odpowie święty, nie wiele mają wartości, chyba ta krew, którą przelał za starożytną wiarę i święty Kościół, będzie coś znaczyła«. Następnie umoczywszy palec w swej ranie, dotknął nim zboleiałych członków, mówiąc: »niechaj cię uzdrowi ta krew, za wiarę świętą wylana«.



Kiedy widzenie znikło i Felicja się przebudziła, przekonała się, że cierpienia zupełnie ją opuścily.

Nie możemy pominąć bez wzmianki pewnego zdarzenia, w którym wyprasząc zdrowie ciała, święty Józafat sprawił i uzdrowienie duszy. Łukasz Masalski, starosta persztuński, zapadł był na dokuczliwe bóle głowy, połączone z częściową utratą wzroku. Po czterech tygodniach boleści począł już myśleć o śmierci. Pobożna jego małżonka wspomniawszy, że tyle osób doznało cudownej pomocy św. Józafata, poleciła i swego męża wstawiennictwu świętego przed Bogiem. Po chwili, zdaje się że we śnie, ujrziała ona biskupa wschodniego obrządku, o którym domyśliła się, że jest Józafatem, gdyż rysy twarzy były podobne do rysów na obrazie świętego męczennika. »Wstań, powiedział do niej święty, idź do swego małżonka i powiedz mu, aby się poprawił z jednego nałogu, w którym pozostaje, a będzie zdrow«. I tu wyjawił ów nałóg Łukasza, o którym jego żona wcale nie wiedziała. Pobiegłszy prędko do toża chorego małżonka, opowiedziała mu o widzeniu i powtórzyła rozkaz świętego. Chory, zawstydzony cudownem odkryciem przed żoną swego występku, przyrzekł poprawę, począł się modlić do św. Józafata i po kilku dniach przyszedł zupełnie do zdrowia.

Wspomnę jęszcze o jednym cudownem nawróceniu. Ławnik wileński, Stefan Rzepnicki, gorliwy katolik, miał żonę schizmatyczkę. Wy-

bierając się do grobu świętego Józafata, którego znał od wielu lat, prosił i swoją małżonkę, aby mu w tej podróży towarzyszyła. Ona zgodziła się na to, ale dała sobie słowo, że do unickiej cerkwi nie zajrzy, lub jeśli tam wstąpi, w takim razie nie spojrzy nawet na grobowiec Józafata. Uczyniła, jak postanowiła. Wszedłszy z mężem do katedry św. Zofji, podczas gdy on począł się modlić przy relikwjach męczennika, ona skryła się za kolumnę i zamknęła oczy, aby nie popatrzeć w stronę grobowca. Silniejszą jednak okazała się łaska Boża, niż upór schizmatycki tej niewiasty. Oświecona nagle światłem Bożem, poznała całą swą przewrotność i wybuchnęła głośnym płaczem. Obecni w kościele rzucili się ku niej na ratunek, sądząc, że nagle zasiała: ona natomiast wyznała głośno swą winę i błagała, aby ją dopuszczono do sakramentów świętych. Koniec był ten, że, wypowiedawszy się przed unickim kapłanem, złożyła wyznanie wiary katolickiej i świątynię opuszczała już jako gorliwa i przekonana katoliczka, oświadczając, że nawrócenie swoje winna przyczynie świętego Józafata.

Te i tym podobne cuda sprawiły, że sława świętego męczennika rozchodziła się coraz szerzej po polskiej i ruskiej ziemi i coraz więcej przybywało czcicieli Józafata. Przy jego grobie zawieszano tablice z napisami o doznanych łaskach, palono przed nim świece i lampy, modlono się do niego. Ale ta cześć, jaką mu okazywano, była tylko cześcią prywatną, opierającą

się na prywatnem przeświadczeniu czcicieli o świętości biskupa. Do tego jednak, iżby cały Kościół publicznie mógł czcić kogoś za świętego i modlić się do niego, potrzeba, aby świętość takiego sługi Bożego była stwierdzona przez specjalną komisję i zatwierdzona i ogłoszona przez namiestnika Chrystusowego, papieża. Wkrótce też po śmierci męczeńskiej Józafata były rozpoczęte starania u Stolicy świętej o uroczyste ogłoszenie go świętym. Na czele starających się o kanonizację był sam król Zygmunt III, który wraz ze swą małżonką, królową Konstancją i królewiczem Władysławem zaniósł prośbę do Ojca świętego o publiczne uczczenie męczennika. Pisał o toż samo i cały polski senat i wszystkie stany Rzeczypospolitej. Biskupi polscy na synodach piotrkowskich kilkakrotnie uchwalali starać się o kanonizację Józafata i wysyłali do Rzymu odpowiednie suppliki. Wiele magnackich rodzin polskich i litewskoruskich nie zadawałniało się ogólną prośbą od Rzeczypospolitej, ale wprost od siebie błagały papieża o przychylną decyzję w tej sprawie. Niema chyba potrzeby dodawać, że przedewszystkiem biskupi ruscy i całe duchowieństwo unickie gorąco pragnęło ujrzeć swego męczennika na ołtarzach. Zwłaszcza metropolita Rucki czynił co mógł, aby przyspieszyć sprawę najwyższego uczczenia swego świętego współpracownika na niwie kościelnej.

Papież Urban VIII, chociaż sam niedawno wydał prawo, aby żadnej sprawy kanonizacyjnej

nie rozpoczynano przed upływem 50 lat od śmierci tego, o czyją kanonizację chodzi, jednak z wielkiej swej przychylności dla Kościoła unickiego i pragnąc, aby ten Kościół zyskał w osobie Józafata potężnego niebieskiego patrona i wzór do naśladowania, zwolnił od zachowania w tym razie wzmiankowanego prawa i zaraz r. 1625, a więc w dwa lata po śmierci Józafata, wyznaczył komisję, która miała zbadać na miejscu życie, cuda i przyczynę śmierci arcybiskupa połockiego. W zastępstwie metropolity przewodniczył owej komisji nowy arcybiskup połocki, Antoni Sielawa, a pomiędzy członkami jej znajdował się łańciski biskup sufragan z Wilna, Jerzy Tyszkiewicz.

Komisja ta z powodu rozlicznych przeszkód rozpoczęła swoją działalność dopiero roku 1628 w cerkwi św. Zofji w Połocku. Wzywano każdego, kto tylko mógł dać jakie wiadomości o życiu, śmierci i cudach Józafata; zaraz też na ogólne wezwanie zaczęły napływać tłumy ludu, świadczącego o świętości męczennika i cudach za jego przyczyną zdziałanych. Przesłuchano przed przysięgą 116 świadków, a nikt z nich nie mógł znaleźć najmniejszego zarzutu przeciwko Józafatowi; przeciwnie, jednogłośnie oddawano jego świętości jaknajwiększe pochwały. Między świadkami było mnóstwo takich, którzy sami osobiście wiele łask od świętego doznali. Nawet innowiercy, schizmatycy i żydzi, składali same tylko chlubne świadectwa.

Po ukończeniu badań świadków komisja przy-



stąpiła do zbadania ciała świętego męczennika. Otworzywszy grób, znaleziono ciało wcale nie-zepsute, giętkie, miękkie, jakby żywe. Tylko szaty, w które było przybrane, zbutwiały. Wiadomość o cudownem zachowaniu relikwii ściągnęła do katedry tłumy ludu pragnącego oglądać jeszcze raz swego arcybiskupa-męczennika. Dla zadośćuczynienia temu pobożnemu życzeniu, ciało świętego, ubrane w nowe szaty, usadzono na tronie, skąd wszyscy mogli je oglądać. Wszystek lud padł na kolana i w całej świątyni powstał ogólny płacz od radosnego wzruszenia. Wtedy biskup Tyszkiewicz, wzięwszy za prawą rękę Józafata, zakreślił nią w powietrzu znak krzyża świętego, błogosławiąc ludowi wiernemu, który się nie posiadał od radości i szczęścia, że znowu z tej ojcowskiej ręki przyjmuje błogosławieństwo. Stał się przytem cud niesłychany. Z oczu Józafata, zgasłych przed pięciu laty, popłynęły łzy, a na całym obliczu wystąpił pot rześisty. Rzekłbyś, jakoby sam święty pasterz wzruszył się na widok szczęścia swoich dawnych owieczek. Cudowny pot i łzy obtarto czystem płótnem, które następnie wierni rozszarpali na drobne cząsteczki, gdyż każdy pragnął posiadać tak drogocenną relikwię. Wreszcie ułożono święte zwłoki do nowej trumny, obitej drogiemi materjami, opieczętowano ją pieczęciami komisarzy papieskich i z powrotem złożono do grobowca.

Z Połocka komisarze papiescy udali się do Witebska. Wielu naocznych świadków męczeni-

stwa Józafata złożyło tam swoje zeznania, przy-czem nikt nie podniósł najmniejszego zarzutu przeciwko życiu i cnocie męczennika. Wszyscy natomiast świadczyli, że śmierć poniósł jedynie dla swego przywiązania do świętej wiary katolickiej. Wielkie wrażenie sprawiła niewiasta, która w chwili, kiedy znieważała ciało świętego męczennika, dotknięta została ślepotą, lecz zato oświecona na duszy wyrzekła się schizmy. Teraz przed komisją ze łzami wyznawała swój grzech i dziękowała Bogu, że karząc ją na ciełe wzbogacił ją na duszy, powołując do prawdziwej wiary. Podczas tego pobytu komisji papieskiej w Witebsku bardzo wielu schizmatyków nawróciło się do Unji.

Po ukończeniu swych prac komisja przesłała wszystkie dokumenty do Rzymu. Sprawy takie, jak ogłoszenie kogoś za świętego, wymagają wiele czasu i formalności, stąd też i sprawa kanonizacji Józafata ciągnęła się powoli. Jeden trybunał papieski, zwany Rotą Rzymską, przychylił się do próśb z Polski zanoszonych i wyraził swe zdanie, że Józafata można ogłosić błogosławionym. Dla przyspieszenia tej sprawy wyjechał umyślnie do Rzymu biskup piński, Rafał Korsak. Jednak z powodu opuszczenia przez komisję papieską niektórych przepisanych prawem kościelnem formalności cały proces kanonizacyjny został zawieszony przez najwyższy w Rzymie urząd do tych spraw, t. j. przez św. Kongregację Obrzędów r. 1635. Tym sposobem sprawa poszła w chwilową odwołkę.

Z Polski jednak, a zwłaszcza od metropolity i biskupów unickich napływały do Ojca świętego coraz to nowe prośby w sprawie ogłoszenia Józafata świętym. Przychylając się do nich, papież polecił rozpocząć nowe badania o życiu i cudach witebskiego męczennika. Jednak metropolicie Rutskiemu nie pozwolił Bóg doczekać chwili wyniesienia Józafata na ołtarze. Po długim pracowitym żywocie poszedł on po nagrodę do Pana r. 1636. Umarł w Dermaniu, pochowany zaś w Wilnie. Po 18 latach Moskale, wpadłszy do tego miasta, wywieźli jego zwłoki niewiadomo dokąd.

Powtórna komisja rozpoczęła swe czynności r. 1637, badając pilnie, co mianowicie wywołało bunt w Witebsku i spowodowało śmierć Józafata. Wrogowie bowiem Unji rozpuszczali wieści, że Józafat przez swe okrucieństwa sam wywołał rozruchy, których też padł ofiarą. Komisja papieska po raz wtóry sprawdziła zupełnie co innego. Wszyscy świadkowie, pytani pod przysięgą, głośno podnosili wielką łagodność Józafata, a śmierć jego uważali jako skutek głębokiego jego przywiązania do Kościoła katolickiego. Przy tych badaniach stwierdzono też wiele nowych cudów. Między niemi wymieniono cudowną opiekę, jaką święty otoczył miasto Połock podczas najścia wojsk moskiewskich r. 1633. Kiedy miasto znalazło się w wielkiem niebezpieczeństwie i nie mogło znikąd spodziewać się pomocy, arcybiskup Sielawa wraz z ludem oddał się w opiekę świętemu Józafatowi.

Moskalom wtedy ukazały się wojska jakoby idące na pomoc miastu pod dowództwem biskupa. Było to tylko cudowne zjawisko, gdyż żadna pomoc ziemska w rzeczywistości nie przybyła. Moskale jednak, przerażeni widzeniem, odstąpili od oblężenia Połocka. Stwierdzono też cudowne uzdrowienie archidjakona Doroteusza, córki Emanuela Kantakuzena i wielu innych osób, a nadto wyratowanie od niechybnej śmierci Jana Chodygi, który wioząc zboże w rzeką Dźwina, napaźnięty przez swych wrogów, raniony i rzucony na głębie, uszedł śmierci, skoro wezwał pomocy św. Józafata.

Komisja apostolska odbyła wreszcie powtórna rewizję relikwji Józafata. Z protokołu komisarzy dowiadujemy się o wielkiej czci, jaką grób świętego pobożny lud otaczał. Ponad kamieniem, zamykającym grobowiec, komisarze znaleźli wielki obraz Józafata w arcybiskupich szatach, a naokoło niego 12 mniejszych rycin, wyobrażających różne chwile z męczeństwa świętego. Mnóstwo wotów, tabliczek, napisów świadczyło o wdzięczności tych, którzy od świętego doznali jakiegokolwiek łaski. Wielka srebrna lampa dzień i noc płonęła przed grobowcem. Po otwarciu grobowca przekonano się znowu, że chociaż szaty od wilgoci zupełnie zbutwiały i rozpadały się w strzępy, to jednak ciało nie uległo zepsuciu. Włosy tylko z głowy i z brody wypadły, lecz ciało było całe pokryte skórą i tylko nieco zasuszone. Na głowie widniała śmiertelna rana. Brakowało paru palców u rąk



i nóg, odjętych jeszcze wcześniej na relikwie. W lewej ręce świętego znaleziono wiele kartek papieru z imionami rozmaitych osób, które przy pierwszym odkryciu grobu w ten sposób chciały polecić się modlitwom Józafata. Po dokładnym zbadaniu relikwii spisano odpowiedni akt, zmieniono szaty, przełożono ciało do cyprowskiej trumny i znowu zamknięto i opieczętowano grób.

Z aktami komisji udał się do Rzymu sam Korsak, następca Rutskiego na metropolji. Chciał on osobiście dopilnować rychłego przeprowadzenia sprawy, lecz zaskoczony śmiercią nie doczekał się chwili wyniesienia Józafata na ołtarze. Oczekiwana chwila nadeszła dopiero 16 maja 1643 r., kiedy Ojciec święty Urban VIII wydał dekret, mocą którego Józafat arcybiskup i męczennik miał być odtąd uważany za błogosławionego i corocznie 12 listopada, to jest w dzień męczeństwa, cały zakon bazylijski i wszystkie kościoły unickie na Rusi miały obchodzić jego pamiątkę, odmawiać pacierze kapłańskie i odprawiać mszę świętą o błogosławionym męczenniku.

12 listopada 1643 r., a więc równo w 20 lat po męczeńskiej śmierci Józafata, w Rzymie urządzono po raz pierwszy uroczyste nabożeństwo ku uczczeniu błogosławionego. Wybrano na ten cel kościół jezuicki ze względu na wielką przyjaźń i miłość, jaką błogosławiony Józafat żywił dla tego zakonu. Obraz Józafata po raz pierwszy ukazał się na ołtarzu i lud rzymski gorącym sercem uczcił nowego błogosławionego,

którego wydały dalekie i nieznane ruskie kraje. Jednocześnie obchodzono uroczyste święto błogosławionego Józafata i po całej Litwie i Rusi. Najwspanialszem było nabożeństwo dnia tego w katedralnej cerkwi św. Zofji przy grobie błog. męczennika, odprawione przy udziale duchowieństwa obydwóch obrządków na znak jedności wiary.

\* Uczczenie takie, jakie oddał Józafatowi papież Urban VIII, wpisując go do rzędu błogosławionych, zowie się beatyfikacją. Wyższy stopień uczczenia sług Bożych, nazwany kanonizacją, następuje zwykle dopiero później, jeśli nieomylny najwyższy pasterz Kościoła ogłasza uroczyste kogoś za świętego i jego cześć przepisuje całemu Kościołowi. Na takie wyższe uczczenie Józafata miała Polska czekać jeszcze przeszło 200 lat, mianowicie do czasu, kiedy kościół unicki znalazł się w największem niebezpieczeństwie, grożącym mu zupełnym zniszczeniem.

Tymczasem zaraz po beatyfikacji cześć Józafata, nabożeństwo i ufnosć do niego szerzyły się coraz bardziej po całej Polsce, Litwie i Rusi i wnikały coraz głębiej do serc katolickich. Łaski, doznawane za przyczyną świętego, nie ustawały, lecz, niestety, zaprzestano je sumiennie spisywać. Mimo to znamy cały szereg cudownych uzdrowień za przyczyną naszego świętego otrzymanych, objawień się jego różnym osobom i innych nadzwyczajnych łask. Nie będę ich wyliczał, aby zbytnio tej ksiąteczki nie rozszerzać. Wspomnę tylko o jednym cudownym

widzeniu, które dało powód do sprawienia nowej srebrnej trumny dla relikwii świętego.

Wice-kanclerz litewski, Kazimierz Sapieha, syn Lwa, wielkiego przyjaciela Józafata, bawił r. 1645 w Gdańsku, gdzie oczekiwał na przybycie nowej królowej Ludwiki. Pewnego razu, rozmyślając w łóżku o cudach Józafata, namyślał się jakimby sposobem mógł przyczynić się do większej czci świętego przyjaciela swojej rodziny. Przyszło mu na myśl, aby sporządzić sarkofag z brązu dla umieszczenia relikwii świętego Józafata. Gdy o tem myśli, rozchyła się firanka otaczająca jego łożo i staje przed nim biskup, ubrany według obrządku wschodniego, i mówi doń: „Czyż nie stać cię na trumnę ze srebra? Na tej ulicy (wymienił nazwę ulicy) znajdziesz odpowiedniego rzeźbiarza”. Powiedział te słowa i znikł. Sapieha nie mogąc sobie zdać sprawy z tego, co widział i słyszał, wstaje pośpiesznie i pyta swych sług, co to za biskup przychodził do jego domu? Zdziwieni zapytaniem słudzy opowiedzieli, że żadnego biskupa nie było w pałacu. Po tej odpowiedzi łatwo się domyślił Sapieha, że sam św. Józafat objawił mu się, domagając się dla swych relikwii wspanialszego pomieszczenia. Ale jakże bardziej jeszcze się zdziwił, kiedy odszukał pod wskazanym sobie adresem rzeźbiarza. Ten bowiem zaraz mu odpowiedział, że u niego również był biskup wschodniego obrządku, zamówił trumnę i dał nawet jej wymiary i plan.

Pięć lat trwała robota trumny. Wykonaną zo-

stała z czystego srebra, po bokach jej umieszczono 8 płaskorzeźb, wyobrażających różne sceny z męczeństwa św. Józafata, a na wierzchu wypukłą postać samego męczennika w leżącej postawie, ubranego w pontyfikalne szaty. Sześciu ze srebra ulanych aniołów w klęczącej postawie podtrzymywało trumnę. Samo srebro, nie licząc roboty, kosztowało Sapiechę około 36 tysięcy talarów. W roku 1650 przywieziono ów bogaty dar do Połocka i zajęto się umieszczeniem relikwii w nowej trumnie. Dawną cyprysovą trumnę z relikwiami świętego włożono do nowej srebrnej, której nie zamurowywano już więcej w ścianie cerkiewnej, lecz wystawiono ją na bogatym marmurowym ołtarzu. Wtedy to nowym cudem stwierdził Józafat święty, jak miłym mu był ten dar bogaty. Oto po 27 latach, jakie były upłynęły od jego męczeństwa przy wkładaniu świętego ciała do nowej trumny zauważono krew, która znowu popłynęła z otwartej na głowie rany.

Arcybiskup Sielawa, sprawdziwszy, że pobożni czciciele Józafata oddzielili bez wiedzy władzy kościelnej wiele cząstek ciała świętego na relikwie, wyjednał dekret nuncjusza papieskiego, aby nikt więcej nie ważył się otwierać ani poruszać trumny.

Tenże arcybiskup dla większej czci i uszanowania grobu Józafata zapisał 14 tysięcy złotych polskich na utrzymanie przy katedralnej cerkwi sześciu kapłanów, mających obowiązek odprawiać pacierze i msze ku czci świętego męczennika.



## ROZDZIAŁ XX.

**Dalsze losy Unji i ucieczka z relikwjami  
św. Józafata.**

Niedługo po beatyfikacji Józafata poczęły spadać na Polskę, a przytem i na Kościół unicki wielkie próby i klęski. W roku 1648 zbuntowali się przeciwko Polsce kozacy na Ukrainie, pod dowództwem Bohdana Chmielnickiego, znacząc swe wojenne wyprawy okrucieństwami, popełnianiami na unitach i łacinnikach, mordowaniem katolickich kapłanów, wydzieraniem unitom cerkwi parafjalnych, a nawet katedr biskupich. Niebezpieczeństwo dla Unji wzrosło jeszcze bardziej, kiedy car moskiewski Aleksy wysłał swe wojska na Litwę i Białą Ruś; wtedy bowiem nieprzyjacielskie oddziały pousuwały przemocą wielu kapłanów unickich, a nawet biskupów z ich katedr. Wreszcie wojska szwedzkie załapały cały kraj polski, prześladując wszędzie wiarę katolicką. Walka z tymi wrogami trwała długo, bo lat kilkanaście i zadała Rzeczypospolitej polskiej nie dające zagoić się rany. Między innymi stratami, cała wschodnia część Ukrainy i miasto Kijów przeszły pod panowanie moskiew-

skie i resztki Unji zniszczono w owym kraju. To samo stało się ze wschodnią częścią Białej Rusi i ze Smoleńskiem.

Podczas tej wojennej zawieruchy arcybiskupem w Połocku był Gabrjel Kołęda. Stusnie obawiając się, aby drogocenny skarb relikwji bł. Józafata nie wpadł w ręce schizmatyków Moskali, uwiózł z Połocka trumnę ze świętem ciałem męczennika. Lecz nigdzie nie można było znaleźć bezpiecznego miejsca dla świętych relikwji, gdyż cały kraj, jak długi i szeroki, pładrowały nieprzyjacielskie oddziały odszczepieńców i heretyków. Żeby uchronić ciało męczennika od zbeszczeszczenia, musiał z niem ustawicznie zmieniać miejsce pobytu i ukrywać się po lasach i głuchych i niedostępnych miejscowościach. Oprócz ciała św. Józafata miał Kołęda jeszcze inny skarb, relikwje świętego Kazimierza, które również trzeba było wywieźć z Wilna przed Moskalami. Sześć lat zeszło na takim ustawicznym tułactwie po kraju, wśród największych niebezpieczeństw. Jakiś czas ukrywał się Kołęda na Żmudzi, to znowu przybył z relikwjami aż do Zamościa, gdzie ukrył się w zamku obronnym, to musiał uchodzić pod Warszawę, gdzie było wojsko polskie. Razu pewnego wpadł w ręce szwedzkiego wojska i tylko wstawieniu się Józafata i swemu sprytowi zawdzięczał ocalenie. Wreszcie przybył do klasztoru w Supraślu, gdzie też na lat kilka spoczęły święte relikwje pod czujnym okiem Kołędy, który w tym czasie został unickim metropolitą.

Po zawarciu pokoju andruszowskiego z Moskwą r. 1667, postanowiono przewieźć ciało świętego Józafata z powrotem do Połocka, opuszczonego już przez nieprzyjacielskie wojska. Droga z Supraśla do Połocka przerywała całą Litwę i wielki szmat Białej Rusi. Pochód z relikwiami świętego był jednym ciągiem triumfem nie tylko błog. męczennika ale i całego unickiego Kościoła. Moskiewska gospodarka w tym kraju wyrządziła wiele szkody Kościołowi; majątki kościelne były zniszczone, wiele cerkwi unickich popalono, około 70 cerkwi oddano schizmatykom, mnóstwo duchowieństwa wierność swą Unji przypłaciło śmiercią, albo wygnaniem. Mimo to cała masa ludności ruskiej, przyprowadzona do wiary katolickiej przez Józafata, przetrwała prześladowanie, pozostając wierną świętemu Kościołowi. Na wieść o powracającym ciele swego świętego pasterza tłumy wiernego ludu gromadziły się na drodze, którą pochód przeciągał, i wszędzie sprawiały jak najradośniejsze przyjęcie świętym szczątkom.

Najwspanialej przyjęto je w Wilnie. Najprzód przed miastem, za bramą trocką, urządzono wspaniałe namiot, gdzie na przepysznym katafalku złożono święte relikwie i przez jedną dobę odprawiano tam nabożeństwa przy ogromnym zebraniu ludu. Znajdujące się tamże pułki polską oddawały honory wojskowe. Na drugi dzień, w niedzielę 25 września, zamierzono wprowadzić uroczyście relikwie do kościoła świętej Trójcy, gdzie bł. Józafat spędził swoją młodość

i gdzie tyle dla chwały Bożej pracował. Trumnę z relikwiami złożono na przystrojonym bogato wozie, do którego wprzężono sześć tęgich rumaków. Konie jednak nie chciały ruszyć z miejsca. Wprzężono inne konie, ale i te stanęły, jak wryte. Krzyknął wreszcie ktoś z obecnych: »Poco tu konie? tego powinny dokazać ludzkie ręce!« Wyłożono więc konie i przeszło stu ludzi wprowadziło karawan do miasta. W procesji tej brali udział wszyscy biskupi rusczy, pięciu biskupów łacińskich, duchowni obojczych obrządków, władze, wojsko i nieprzejrzana masa ludu. Wśród muzyki i śpiewów pobożnych, przy odgłosie dzwonów i armatnich strzałów przeciągała procesja ulicami Wilna aż do cerkwi św. Trójcy. Po przybyciu do niej czterej biskupi wzięli trumnę ze świętymi zwłokami i na własnych ramionach wnieśli ją do wnętrza świątyni.

15 dni spoczywały tam święte relikwie i przez cały ten czas tłumy ludu napływały, aby uczcić świętego i polecić się jego opiece. Nabożeństwa uroczyste, połączone z kazaniami, nie ustawały. Owocem tych uroczystości było nawrócenie wielu schizmatyków do wiary świętej. Trafilo się też kilka cudownych uzdrowień, a nawet zanotowano jedno przywrócenie życia zmarłemu chłopczynie. Zatwardziali schizmatycy, nie mogąc znieść triumfu Unji, poczęli rozpowiadać kłamliwie, że w srebrnej trumnie niema ciała Józafata, tylko kamienie; ciało zaś dawno w proch się obróciło. Żeby zawstydzić oszczerców, a wzmocnić pobożność wiernych katolików,



metropolita rozkazał otworzyć wobec ludu trumnę. Lud ujrzał ciało Józafata całe i niezniszczone, ubrane w szaty pontyfikalne. Przełożony klasztoru św. Trójcy, korzystając ze sposobności, wypowiedział gorące kazanie na zawstyżenie odszczępionych i niewiernych, z których też znowu tego samego dnia wielu przystąpiło do świętego zjednoczenia.

Z Wilna ruszono w dalszą podróż i w samą 44 rocznicę męczeństwa Józafata, zwłoki jego wprowadzono znowu z jaknajwiększą uroczystością do katedry św. Zofii w Połocku. Ludność po długiej rozłące witała z zapalem święte relikwie i znowu rozpoczęły się do nich dawne z dalekich stron pielgrzymki pobożnych czcicieli Józafata, nagradzanych wielkimi łaskami za przyczyną świętego.

Nastaly lepsze czasy i dla całego Kościoła unickiego. Pod koniec XVII i w początku XVIII stulecia nawróciły się do Unji ostatnie w Polsce schizmatyczne djecezje: lwowska, przemyska i łucka wraz ze swoimi biskupami. Garstka pozostałych schizmatyków coraz bardziej topniała, a święta Unja pod opieką błog. Józafata wzrastała, wzmacniała się i rokowała piękne na przyszłość nadzieje.

Niestety, nowa nadciągała burza z tej samej strony, co i przedtem. Polska w latach 1701 do 1711 uwikłała się w powtórny wojnę ze Szwedami, a moskiewski car Piotr, nibyto pomagając Polakom, wprowadził swe wojska na Litwę i Białą Ruś i zaraz też począł prześladować

Unję, chcąc wszystkich zjednoczonych poprzetrabiać na schizmatyków. W Połocku własną ręką zabił pięciu zakonników, bazylianów, potem rozkazał uwięzić i wywieźć do Rosji unickiego biskupa z Łucka Zabokrzyckiego i do samej śmierci trzymał go w więzieniu. W takich niespokojnych czasach musiano pomyśleć i o ukryciu relikwii świętego Józafata, aby się nie dostały w ręce wroga, któryby je napewno znieważył. Opieki nad relikwiami podjął się wtedy kanclerz litewski, Karol Radziwiłł, obiecując zwrócić je do Połocka, skoro pokój nastanie.

Stało się jednak inaczej. Relikwie, w obawie przed profanacją ze strony nieprzyjaciół, zostały przewiezione aż do Białej na Podlasiu i umieszczone w kaplicy zamkowej książąt Radziwiłłów. Po ukończeniu wojny rodzina księcia nie chciała się rozstać z tak drogim skarbem i nigdy go do Połocka nie oddała. Bazylijanie, do których z prawa należała straż relikwii, upominali się o nie niejednokrotnie i nawet wytoczyli proces Radziwiłłom przed Stolicą Apostolską. Sprawa jednak skończyła się polubownie: obie strony zawarły między sobą ugodę, według której ciało świętego Józafata miało pozostać w Białej, ale zato dla straży nad niemi Radziwiłłowie ufundowali klasztor Bazylianów.

Roku 1764 wojska rosyjskie załapały znowu Polskę, a w szczególności Podlasie. W Białej wojsko nieprzyjacielskie domagało się wydania sobie ciała św. Józafata, zapewne w tym celu, aby je zniszczyć z nienawiści ku unitom. Lecz

już przedtem relikwie zostały zamurowane w ścianie zamku białskiego i o miejscu ich ukrycia oprócz murarza wiedział tylko przełożony Bazyljanów białskich. W 3 lata później wydobyto święte szczątki z ukrycia i przeniesiono do kościoła Bazyljanów w Białej, gdzie zostały wystawione na ołtarzu ku czci publicznej.

Sama Opatrzność Boża tak zrzędziła, żeby ciało św. Józafata nie wróciło więcej do Połocka. Roku 1772 trzy sąsiednie państwa Rosja, Austria i Prusy dokonały pierwszego podziału Polski i wtedy Połock wraz z Białą Rusią przeszedł pod panowanie Moskwy. Gdyby się tam znajdowały jeszcze relikwie świętego męczennika Unji, napewno im nie przepuszczono. W Białej zaś były jeszcze na długo zabezpieczone przed zawziętością nieprzyjaciół Unji. Żeby jednak nie pozbawić i Białej Rusi szczęścia posiadania relikwii świętego Józafata, oddzielono od nich mniejsze części, przeznaczone dla kościołów w Witebsku i Połocku; część znaczną oddano również do kościoła OO. Jezuitów w Warszawie; resztę zaś kości, pokrytych niezsutem ciałem i ubranych w szaty arcybiskupie, opieczętowano, aby zabezpieczyć je przed samowolnym rozbiciem przez pobożnych czcicieli świętego.

Jak przedtem Połock, tak odtąd Biała stała się ogniskiem religijnego życia nie tylko dla zjednoczonych ze Stolicą świętą Rusinów, ale i dla Polaków, zamieszkujących Podlasie. Do kościoła bazylijskiego corocznie na uroczystość św. Józafata nadciągały tłumy pielgrzymów;

do świętego męczennika udawano się we wszystkich potrzebach i nowe cuda były nagrodą pobożności ludu. Pierwszem, o jakim wiemy, cudownem uzdrowieniem, dokonaniem za przyczyną św. Józafata w Białej, było przywrócenie wzroku Konradowi Koszulce ze wsi Bukowice. Innym cudem było wskrzeszenie zmarłego dziecięcia, skoro strapieni rodzice przybiegli z niem do ołtarza św. Józafata. Swemu również patronowi zawdzięczała Biała ocalenie od zniszczenia podczas pożaru. Najwspanialszym jednak owocem pobytu relikwii św. Józafata w Białej było utwierdzenie gruntowne Unji w sercach wiernych na Podlasiu, tak że wiary tej, jak powiemy jeszcze niżej, nie potrafiły wyrwać ludowi najsroższe nawet prześladowania.



## ROZDZIAŁ XXI.

## Kanonizacja świętego Józafata.

Po wpisaniu Józafata w poczet *blagostawionych* przez papieża Urbana VIII pozostawał jeszcze do skutecznienia najważniejszy akt dla uczczenia na ziemi męczennika Unji, to jest uroczysta kanonizacja, czyli ogłoszenie Józafata *świętym* i rozszerzenie jego czci po całym świecie apostolską powagą papieża. Pomiędzy beatyfikacją, a kanonizacją świętego upływa zwykle pewien przeciąg czasu, podczas którego bywają czynione nowe dochodzenia w celu lepszego jeszcze stwierdzenia świętości danego sługi Bożego. Wreszcie sama uroczystość kanonizacyjna, odprawiana w Rzymie z wielką wystawnością, wymaga sporo różnych przygotowań. Wprawdzie święta Kongregacja Obrzędów w Rzymie, do której tego rodzaju sprawy należą, orzekła była już dawniej, iż świętość życia Józafata dostatecznie została stwierdzona śmiercią męczeńską za wiarę i licznymi sprawdzonemi dokładnie cudami i dlatego nic nie stało na przeszkodzie do uroczystej kanonizacji; wprawdzie biskupi ruscy, a zwłaszcza metropolici Sielawa i Kołęda

czynili po wielokroć starania o kanonizację, jednak niespokojne w Polsce czasy i spadające na Unję nieszczęścia nie pozwoliły poczynić wszystkiego, co było potrzebnem do przeprowadzenia tak ważnej sprawy, i kanonizacja na długo poszła w odwłokę.

Papieże rzymscy jednak, przychyłając się do próśb unickiego duchowieństwa, czynili nie mało, aby podtrzymać i podnieść nabożeństwo do świętego Józafata. Tak, na przykład, papież Innocenty XI pozwolił przenieść święto błog. Józafata z 12 listopada na dzień 26 września, gdyż ten czas zdawał się wygodniejszym do urządzania pobożnych pielgrzymek do grobu męczennika. Benedykt XIV wpisał imię Józafata do księgi, zwanej *Martyrologium*, co było rzeczą nadzwyczaj ważną dla czci świętego, gdyż księga ta jest czytana w całym katolickim Kościele. Klemens XIV wreszcie udzielił na wieczne czasy odpustu zupełnego wszystkim wiernym, którzy w uroczystość błog. Józafata odwiedzą jaki kościół bazylijski i przyjmą sakramenta święte.

Cały prawie wiek XIX możnaby nazwać wiekiem ciągłego męczeństwa Unji. Od czasów rzymskich prześladowań wiary świętej w pierwszych wiekach, nie zadano podobno tak ciężkich ran Kościołowi, jakie zadano mu w ostatnim stuleciu przez całkowite prawie zniszczenie w państwie rosyjskiem zjednoczenia Kościołów, tego wielkiego dzieła, dokonanego przez Pocięja, Rutskiego i świętego Józafata. Skoro tylko pra-

wie cała Ruś i Litwa dostała się pod panowanie Rosji, schizmatycy zaprzysięgli zgubę Unji i postanowili za jakąkolwiek cenę wprowadzić w całym kraju swoje rzekome »prawosławie«.

Zaraz też po pierwszym rozbiórce Polski, jeszcze za panowania Katarzyny II, zniesiono Unję prawie doszczętnie na Ukrainie, Podolu, Wołyniu, a po części i na Białej Rusi. Rządy cesarzy Pawła i Aleksandra I były dla unitów pomyślniejsze, lecz z chwilą wstąpienia na tron Mikołaja I zapowiedziano im zupełną zagładę. Z pomocą zdrajcy Józefa Siemaszki, który będąc biskupem unickim, sam zaproponował rządowi swe usługi w zaprowadzeniu schizmy, dokonano r. 1839 zupełnej kasaty Kościoła unickiego na Litwie i Białej Rusi. Na katedrach biskupich, zajmowanych niegdyś przez Ruckiego, św. Józafata i innych katolickich pasterzy, zasiedli schizmatycy archiereje; duchowieństwo unickie musiało wyrzec się wiary katolickiej, lub iść w głąb Rosji na wygnanie albo do więzienia. Lud unicki, pozbawiony swych pasterzy, przywykł powoli do nowego porządku i zapomniał o tej wierze, którą mu głosił święty Józafat. Ta zaś część ludu, która pozostała Kościołowi wierna, musiała się kryć ze swymi przekonaniami religijnymi, pozbawiona sakramentów świętych i innych pociech duchownych, gdyż i łacińskim kapłanom surowo zabroniono przychodzić z pomocą opuszczonym unitom.

Przed pogromem ocalała na czas pewien jedna tylko diecezja chełmska, dlatego, że znajdując

się w obrębie Królestwa Polskiego, nie podlegała władzy Siemaszki. Ale i chełmskim unitom nie dawano spokoju. Za biskupa Szumborskiego (1830—1851) rząd począł narzucać moskiewskie mszały i zaprowadzać rozmaite zmiany w nabożeństwie, za następnego zaś biskupa Teraszkiwicza (do r. 1863) poczęto kształcić unickich kleryków w duchu schizmatycznym. Biskup Kaliński (1863—1866) opierał się dążnościom rządu do sprawosławienia diecezji, lecz za to musiał iść na wygnanie, gdzie i żywota dokonał. Po wywiezieniu Kalińskiego rząd nie taił się już ze swymi zamiarami względem Unji i pousuwawszy dobrych kapłanów, wezwał na ich miejsce z Galicji takich księży, co gotowi byli za pieniądze zdradzić wiarę świętą i przyjąć schizmę. Poczęto robotę od przeinaczania nabożeństwa w cerkwiach unickich, wyrzucania z nich organów, wprowadzania kazań po rosyjsku, a miało się to wszystko skończyć zupełnym oderwaniem unitów od Kościoła.

W tych czasach smutnych, dla Unji i dla całego Kościoła w Polsce, Ojciec święty, Pius IX papież, pragnąc zjednać cierpiącemu Kościołowi opiekę i błogosławieństwo Boskie, a ludowi wskazać do naśladowania wzór wytrwania w wierze katolickiej, wyraził zamiar uroczystego wpisania błogosł. Józafata męczennika w poczet świętych. Bawiący w Rzymie prowincjał Bazylianów polskich, O. Dąbrowski, wspólnie z greckim bazylianinem Contieri i ruskim biskupem Józefem Sembratowiczem, mieli dopilnować prze-



prowadzenia tej sprawy. Św. Kongregacja obrzędów, zapytana o zdanie przez Ojca świętego, odpowiedziała, że do uroczystej kanonizacji bł. Józafata można bezpiecznie przystąpić, albowiem już za Urbana VIII było orzeczonem, że nic nie stało na przeszkodzie pomyślnemu załatwieniu tej sprawy.

Wiadomość o zamierzonej kanonizacji Józafata zaniepokoiła niemało Rosjan. Nienawidząc oddawna męczennika Unji, użyli wszystkich sposobów, jakimi rozporządzali, aby temu dziełu przeszkodzić. W gazetach moskiewskich pojawiły się napaści na Józafata, zwłaszcza poczęto oczerniać go, jakoby on siłą i okrucieństwami rozszerzał Unję. Sam cesarz rosyjski przez swego w Rzymie posła starał się wmówić w Ojca świętego, że Józafat nie zasługuje na to, aby go świętym ogłaszać. Ale te wszystkie intrygi były właśnie najlepszym dowodem, że odszczerpięstwo boi się św. Józafata, a zatem, że jego kanonizacja przyniesie wielką korzyść Kościołowi. Na zarzuty schizmatyków odpowiedzieli w piśmie i gazetach rozmaici uczeni katolicy, zbijając ich wywody na podstawie historycznych dokumentów.

W Polsce wiadomość o zamiarach Ojca świętego przyjęto z najżywszą radością. Zaraz też zawiązały się komitety, które poczęły zbierać składki na koszt uroczystości kanonizacyjnej, a jednocześnie przedstawiciele najpierwszych w naszym kraju rodzin, jak Leon ks. Sapieha, Władysław ks. Czartoryski, generał Chłapowski,

generał Zamoyski i wielu innych podali papieżowi w imieniu narodu polskiego prośbę o przyspieszenie kanonizacji Józafata, wykazując zarazem, jakie owoce dla Kościoła w Polsce przyniesie najwyższe uczczenie męczennika za jedność kościelną.

W r. 1866 został wydany dekret Ojca św. o wpisaniu Józafata w poczet świętych, samą jednak uroczystość kanonizacyjną odłożono na 29 czerwca 1867 r., w którym to dniu świat katolicki miał obchodzić 18-wiekową pamiątkę męczeńskiej śmierci świętych apostołów Piotra i Pawła. Na tę uroczystość papież wezwał do Rzymu biskupów całego świata: zjechało się ze wszystkich części świata przeszło pięciuset pasterzy, należących do rozmaitych obrządków. 12 czerwca Ojciec święty przedstawił zgromadzonemu biskupom swój zamiar kanonizowania kilkudziesięciu świętych, pomiędzy którymi na pierwszym miejscu widniało imię Józafata, i wszyscy biskupi wyrazili swe zdanie, iż owi słudzy Boga godni są takiej czci.

Sama uroczystość kanonizacyjna odbyła się, według zapowiedzi, w dzień św. Piotra i Pawła. Z samego rana dnia tego armaty zamku św. Anioła w Rzymie i dzwony wszystkich kościołów wiecznego miasta zapowiedziały rozpoczęcie uroczystości.

O właściwej godzinie Ojciec św., Pius IX, w otoczeniu wszystkich biskupów i duchowieństwa, udał się procesjonalnie ze swego pałacu do bazyliki św. Piotra na Watykanie. W pro-

cesji niesiono obrazy błogosławionych, którzy dnia tego mieli być policzeni w poczet świętych. Obraz Józafata przedstawiał świętego w chwili, jak się objawił pewnemu jeńcowi u Tatarów i wyzwolił go z niewoli. Świątynię świętego Piotra przybrano na tak wielką uroczystość w złoto i drogie materje. Kiedy Ojciec święty zasiadł na tronie, zbliżył się do niego kardynał, prokurator kanonizacji, z prośbą o policzenie w poczet świętych 25 błogosławionych, wymieniając imię Józafata na pierwszym miejscu. Według przyjętego ceremoniału dwa razy zwracał się kardynał z tą samą prośbą i dwa razy otrzymał odpowiedź Ojca św., że przed tak ważną sprawą potrzeba wezwać światła Ducha Św. Po odśpiewaniu przez chór hymnu *Veni Creator* i litanji do wszystkich świętych, tenże kardynał przystąpił do Ojca świętego po raz trzeci z prośbą o łaskę kanonizacji, i wtedy dopiero papież w potrójnej koronie na głowie, w charakterze nieomylnego nauczyciela Kościoła, odczytał ze swego tronu wyrok kanonizacyjny. »Na chwałę świętej i nierozdzielnej Trójcy, dla podwyższenia św. wiary katolickiej i pomnożenia chrześcijańskiej religji, powagą Pana naszego Jezusa Chrystusa, świętych apostołów Piotra i Pawła i naszą własną ogłaszamy za świętych i w poczet świętych wpisujemy błogosławionego Józafata Kuncewicza, biskupa i męczennika, Piotra d'Arbués etc. (następują imiona innych kanonizowanych). W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen«.

Skoro papież wymówił te słowa, w tej chwili zagrzmiąły armaty na zamku św. Anioła i dzwony kościelne ogłosiły Rzymowi, że dawno oczekiwany akt kanonizacyjny już się spełnił. W samej świątyni jeden z kardynałów zaintonował po raz pierwszy wezwanie do nowo ogłoszonych świętych: „Święci Józafacie, Piotrze i t. d. módlcie się za nami“, na co cały kościół odpowiedział: „Abyśmy się stali godnymi obietnic Chrystusowych“, a Ojciec święty odśpiewał nowo ułożoną modlitwę. Potem nastąpiła uroczysta suma, podczas której, przy *Ofertorium*, kardynałowie złożyli Ojcu św. zwykłe w takich razach dary, mianowicie pięć ozdobnych świec woskowych, dwie baryłki z winem i wodą i trzy klatki z gołąbkami, synogarlicami i innym ptactwem, mającym przedstawiać cnoty świeżo kanonizowanych świętych. Wieczorem całe miasto było bogato iluminowane; przyczem grecki kościół św. Atanazego i polski księży Zmartwychwstańców wyróżniały się szczególnie wspaniałością przystrojenia i iluminacji.

Jest zwyczaj, że uroczystość każdego nowo kanonizowanego świętego obchodzi się najpierw w Rzymie. Dla uczczenia świętego Józafata przeznaczono dzień 13 lipca 1867, a na miejsce obchodu wybrano grecki kościół św. Atanazego. Nabożeństwo trwało trzy dni przy udziale biskupów różnych katolickich obrządków. Pierwszego dnia sumę celebrował ruski arcybiskup ze Lwowa w otoczeniu innych biskupów i kapłanów wschodniego obrządku, na drugi dzień było



nabożeństwo łacińskie z kazaniem polskiem, wreszcie na trzeci dzień odprawił nabożeństwo patriarcha grecko-melchicki, a kazanie wygłosił jeden z prałatów włoskich. W końcu kardynał narodowości niemieckiej odprawił konkluzyjne nieszpory i udzielił uroczystego błogosławieństwa Najśw. Sakramentem.

Dla nas Polaków najważniejszym był dzień drugi, którego ozdobą i najdonioślejszym wypadkiem było kazanie, wygłoszone przez generała księży Zmartwychwstańców, O. Hieronima Kajsiewicza. Prześliczne było to kazanie. Mówca opowiedział w niem i historję Unji, i żywot świętego Józafata, męczeństwo jego, i cnoty, i cuda; potrafił o nieszczęścia, jakie na Unję i na Kościół polski spadły pod rządem rosyjskim; zaznaczył i ducha niezgody, jaki się wkradł w stosunki między Polakami a Rusinami-uniatami, wreszcie wezwał cały naród polski i ruski do gorliwej pracy nad rozszerzeniem i umacnianiem świętej wiary katolickiej we wzajemnej zgodzie i miłości. Kazanie swoje taką zakończył modlitwą: „O dobry Boże! Do Ciebie podniosimy serca i głosy nasze! nie dopuść, by różga czuwająca od północy spadła na nas za wspólne grzechy nasze i pogodziła nas we wspólnej zagubie. Nie dopuść! by ten garniec płonący gniewu Twój strawił do reszty dziedzictwo Twoje, owoc pracy, łez i krwi Syna Twego i tego Jego sługi Józafata! On tak kochał Ruś swoją i Polskę w Tobie złączone: choć nie doskonałe, nie bez chwały jednak i pożytku Tobie służące. I Ty

dzisiaj nas otul miłością swoją, a dając nam go za opiekuna, wysłuchaj próśb jego! Spraw, aby nareszcie zapanowała zgoda, miłość wśród braci różnego obrządku, ale krwi jednej i jednej wiary, niechaj znikną wśród nas synowie niezgody, niechaj wspólny wróg a wieczny właściciel braci, bezsilny i sromny, nie zdoła nigdy nam szkodzić. Niech już o dobry, miły Jezu, *staniemy się jedno i jako potrójny węzeł*, święcie i na zawsze związani, niech służył Tobie wiernie i doskonale i królestwo Twoje w duszach naszych i naokoło szerzym i niech na domiar triumfu Twój w nas i przez nas sami wrogowie i Twój i nasi idą za tym, wielkim Świętym Twoim i prowadzeni przez niego upadną do stóp Twoich błogosławionych, a odpłacając za długą nieszczęsną przeszłość swoją, oddadzą ci całą swoją przyszłość na ziemi i spólną z nami cześć i chwałę na wieki! Co daj Boże! Amen“.

Na zakończenie obchodu urządzono zebranie dostojnych gości w kolegium greckiem, gdzie kształcący się klerycy sławili świętego Józafata mowami i śpiewami w rozmaitych językach, używanych w katolickim Kościele.

Podobne trzydniowe uroczystości na cześć św. Józafata obchodzono i gdzieindziej, a zwłaszcza we Lwowie, gdzie celebrował nuncjusz papieski w otoczeniu biskupów i kapłanów trzech katolickich obrządków: łacińskiego, ruskiego i ormiańskiego. Tylko ta część nieszczęsnej Rusi, nad którą panowała Moskwa, nie mogła brać

czynnego udziału w tych uroczystościach. Ani na kanonizację do Rzymu, ani na obchód lwowski nie mógł przybyć nikt z duchowieństwa tak łacińskiego, jak unickiego, z podległych Rosji krajów, gdyż rząd surowymi prawami po-przecinał wszelkie kościelne z zagranicą stosunki. Nawet w samym kraju nie mogło duchowieństwo unickie uczcić św. Józafata, gdyż schizmatycka nienawiść tak dalece się posunęła, że samo nawet jego imię kazała wyrzucić z kalendarzy, a wkrótce zamierzała targnąć się nawet na święte jego kości, jedyną po Bogu pociechę i ucieczkę podlaskich unitów.

## ROZDZIAŁ XXII.

### Ukrycie i znalezienie relikwii św. Józafata.

W prześladowaniach, jakie za wiarę świętą od kilku lat cierpieli, unicy podlascy szukali pociechy u grobu świętego Józafata w Białej. Tam się mogli wyplakać, przed Bogiem poskarżyć i w nabożeństwie do świętego, który swe życie za Unję poświęcił, mogli zaczerpnąć nowych sił do dalszej walki ze schizmatyckimi zapędami rządu i galicyjskich zaprzańców. Na Białą więc zwróciło się czujne oko schizmatyków. Wnet po powstaniu polskiem r. 1864 zamknięto w Białej klasztor OO. Bazylianów i tym sposobem pozbawiono ludność okoliczną najgorliwszych kapłanów. Kościół oddano duchowieństwu świeckiemu, które stale zdążało do odszczepieństwa.

Roku 1867 proboszczem unickim w Białej został Mikołaj Liwczak, ksiądz galicyjski, który razem z wielu innymi podobnymi sobie zaprzańcami przybył na Podlasie, aby rządowi rosyjskiemu pomagać w powolnem zaprowadzaniu schizmy. Łatwo się domyśleć, że taki



niegodny kapłan, zewnętrznie przyznający się jeszcze do Unji, ale w duszy zdecydowany odstępcą, »pierekińczyk«, nie mógł znieść widoku relikwii świętego męczennika Unji w oddanej sobie cerkwi. I rzeczywiście nienawiść swą do Józafata począł okazywać w ten sposób, że od samego początku w Białej, jak sam przyznał się w jednym liście <sup>1)</sup>, ani razu nie odprawiał nabożeństwa przed ołtarzem, na którym była trumna z relikwiami. Nawet w uroczystości św. Józafata opuszczał mszę na jego cześć przepisaną.

Lecz mało mu było tej zniewagi, jaką wyrażał świętemu przez zaniechanie publicznego na jego cześć nabożeństwa. Począł on nad tem myśleć, w jaki sposób zupełnie usunąć święte relikwie z oczu pobożnego ludu unickiego. Wiedząc jednak, jaką czią lud ten otacza swego niebieskiego opiekuna, długi czas nie śmiał tego uczynić. Sam jednak opowiada o zniewadze, jaką wkrótce po swym przyjeździe do Białej wyrządził świętym zwłokom. Poszedłszy raz pewnego, w sekrecie przed ludem do kościoła, zamknął się w nim, wszedł nogami na ołtarz św. Józafata i obejrzawszy trumnę, mającą kilka oszklonych okienek i opieczętowaną pieczęciami konsystorza chełmskiego, oderwał pieczęcie, odjął jedno okienko i dokładnie

<sup>1)</sup> List ten, pisany r. 1892 z Łomży do pewnego dygnitarza rosyjskiego, posiadam w wiernej kopji i z niego wzięłem szczegóły o losach relikwii św. Józafata.

obejrzał i zrewidował relikwie. Schizmatycy rozsiewali znowu wiadomość, że w trumnie niema ciała, tylko woskowa albo drewniana figura, włożona dla oszukiwania ludu unickiego. Otóż Liwczak, jak sam pisze, osobiście przekonał się, że w trumnie spoczywało rzeczywiste ciało Józafata nie zepsute wcale, tylko zeschłe. Brakowało tylko paru członków, które, jak wiemy, były dawniej już odjęte dla innych kościołów. Przekonawszy się co zawiera trumna, Liwczak przyprowadzał później potajemnie do kościoła i niektórych moskali, np. naczelnika powiatu Dewela, i pokazywał im święte relikwie. A kiedy przybył do Białej na rewizję szkół minister Tołstoj, Liwczak wprowadził go również do kościoła razem z innymi Rosjanami, aby zaspokoić ich próżną ciekawość. Jeden z tych nieproszonych gości nie chciał wierzyć, jakoby trumna zawierała prawdziwe ludzkie ciało, więc Liwczak dla przekonania go własnoręcznie oddał pas skóry z ciała św. Józafata, który następnie dał ministrowi na pamiątkę.

Wszystkie te oględziny, łamanie pieczęci, naruszanie ciała, były wielką zniewagą wyrządzoną świętym zwłokom, a nadto przestąpieniem surowego prawa kościelnego, które zabraniało dotykać się relikwii bez wiedzy wyższej władzy duchownej, lecz Liwczak, w duchu już schizmatyk, nic sobie nie robił z tego zakazu.

Przez parę następnych lat ten zdrajca wiary świętej naradzał się z gubernatorem Gromeką, okrutnym prześladowcą Unji, nad sposobem

usunięcia relikwii, ale dopiero r. 1873 zabrali się obaj do świętokradzkiego dzieła, bo się nadarzyła sposobność oszukania czujności pobożnego unickiego ludu. Rozpoczęto roboty około naprawy kościoła; Liwczak począł tłumaczyć ludowi, a zwłaszcza bractwu kościelnemu, że na czas robót nie można przecież relikwii zostawiać na ołtarzu, lecz trzeba je uprzętnąć do zakrystji. Z Chełma przyszło również podobne rozporządzenie, podpisane przez odstępę Popiela, którego rząd mianował rzadcą diecezji unickiej. Lud jednak domyślał się, co wrogowie zamierzają uczynić z relikwjami, i dlatego okazywał Liwczakowi swoją nieufność i rozgoryczenie. W obawie rozruchu na dzień usunięcia z ołtarza relikwii zjechali się do Białej urzędnicy, żandarmi, zawezwano nawet wojsko, mające w razie potrzeby zdusić wszelki opór ludności. Było to 26 maja 1873 r. Żeby zachować wobec ludu pewne pozory uszanowania relikwii, sprowadzono tegoż dnia do białskiego kościoła kilku unickich kapłanów, niby to dla uroczystego przeniesienia świętych szczątków, w rzeczy zaś samej, aby uspić tym sposobem obrażone uczucia wiernych. Sprowadzonym kapłanom, po odprawieniu przez nich pewnych modlitw, polecono, aby na własnych barkach wynieśli z kościoła święte zwłoki, ale żaden z nich nie chciał do tego ręki swej przyłożyć. Obecny w kościele lud, widząc na co się zanoszą, wybuchnął głośnym płaczem z żalu, że mu zabierają ojca i opiekuna. Wobec takiego

obrotu rzeczy nawet żandarmom opadły ręce i żaden z nich nie mógł się ośmielić dotknąć trumny z relikwjami. Próżno jedni drugich nawoływali do roboty; nikt nie dawał początku i wszyscy po długiej chwili wahania opuścili świątynię.

Kiedy lud, upewniony jeszcze raz przez Liwczaka, że relikwjom nie grozi żadna zniewaga, rozszedł się do domów swoich, schizmatycy tegoż samego dnia po obiedzie udali się powtórnie do kościoła, lecz ludu do wnętrza świątyni już nie wpuszczono. Księża jednak i tym razem nie chcieli dotknąć się relikwii. Tak samo nie śmieli ich ruszyć pracujący przy kościele robotnicy. Wtedy sam Liwczak w gniewie wskoczył śmiało na ołtarz i z taką gwałtownością odsunął trumnę od ściany, że o mało nie upadła na podłogę; tylko policjanci ją podtrzymali i uchronili od rozbicia. Poczem dano strażnikom rozkaz, aby sami wzięli ją na ramiona i spuścili do sklepu pod kościołem.

Według kłamliwych zapewnień Liwczaka i rozporządzenia konsystorza usunięcie relikwii miało być tylko tymczasowe, do ukończenia restauracji świątyni, lecz wszystkim parafjanom dobrze już było wiadomo, że Liwczakowi wierzyć nie można. I rzeczywiście stało się tak, jak wszyscy oczekiwali. Kościół, odnowiony i przyozdobiony zupełnie w rosyjskim guście, niebawem otwarto i poświęcono, o przywróceniu jednak relikwii na dawne miejsce nie było już ani mowy. Spoczywały one w sklepie, do



którego samo nawet wejście zamurowano i zawalono gruzami. Świątynia bialska zupełnie odtań opustoszała. Lud katolicki, który dawniej tysiącami garnął się do ołtarza św. Józafata, omijał teraz zdaleka tę cerkiew i szedł po sakramenta święte do łacińskich kościołów. Liwczak wkrótce sam przestał udawać unitę. Z pomocą władzy świeckiej w styczniu następnego roku zebrał on do cerkwi wójtów i innych delegatów z 45 parafij unickich i odprawivszy schizmatyckie nabożeństwo, ogłosił, że 50 tysięcy unitów tego dnia przyjęło »prawosławie«. Była to istna komedja, bo lud nie tylko tego dnia, ale przez długie jeszcze lata, dręczony karami, więzieniem, wygnaniem, nahajkami, pozostał jednak wierny świętej wierze katolickiej.

Lata 1874 i 1875 krwawo się zapisały w historii Unji na Podlasiu. W Pratulinie i Drehlowie poległo kilkadziesiąt ofiar w obronie świętej wiary, tysiące wyznawców jęczały po więzieniach, setki mężnych obrońców popędzono w stepy chersońskie i orenburskie, chudobę tych nowych męczenników pożarło kozactwo. Cały kraj zniszczono, ale wiary świętej, zaszczonej przez św. Józafata, z serc ludu wyrwać nie zdołano. Duchowieństwo z Galicji zawezwane, z Popielem na czele, formalnie wyrzekło się Unji. Księża wierni św. katolickiej wierze byli gnani do Rosji, musieli uciekać za granicę; pomimo to znaczna większość opuszczonego ludu pozostała przy tej samej wierze, którą głosił i wyznawał św. Józafat.

Wraz ze zniknięciem relikwii pod ziemią znikł urządowo i Kościół unicki w diecezji chełmskiej. Wiara święta ukryła się odtąd głęboko tylko w sercach ludzkich. Na zewnątrz, na papierze, wszystko nosiło piętno odszczerpienia, które się chlubi niezasłużoną nazwą »prawosławia«.

Ale święty Józafat przepowiedział za życia swego, że Unji świętej Pan Bóg do końca błogosławić będzie, bo to dzieło jego, nie zaś ludzkie. Przepowiednia ta spełniła się w samym prześladowaniu, albowiem tylko moc Boża mogła natchnąć mężnych Podlasian do wytrzymania tyłu prześladowań. Długi czas, po ludzku sądząc, nikt się nie mógł spodziewać, że schizma ustąpi przed stałością wiary podlaskich wyznawców, a tymczasem co się stało? 30 kwietnia 1905 roku ogłoszono ukaz tolerancyjny cesarza Mikołaja II, i oto wnet setki tysięcy prześladowanych unitów pośpieszyły wśród łez radości do kościołów katolickich, aby tam złożyć oświadczenie o swoim stałym przywiązaniu do wiary ojców. Wszystkie przechwałki popów o nawróceniu przez nich »upartych« unitów przysły nagle, jak bańki mydlane. Pan Jezus przepowiedział swoim uczniom: *„Na świecie ucisk mieć będziecie, ale nie bójcie się, Jam zwyciężył świat!“*<sup>1)</sup> To spełniło się i w naszych czasach. Pan Jezus, a z nim mężni wyznawcy, unicy, zwyciężyli piekielne wysiłki schizmy.

<sup>1)</sup> Jan, XVII, 33.

Przyszła też kara Boża na Rosję, która tak prześladowała wiarę katolicką, a w szczególności Unitów. Już w rok po rozpoczęciu wojny światowej wojska carskie musiały opuścić ziemię, zroszoną krwią męczenników podlaskich. Wtedy też odbiegli schizmatyccy popi od parafij, na które je gwałtem powprowadzano. Pozostał pustym również kościół bazylijański w Białej, pod którym spoczywały relikwie św. Józafata. Wtedy to, według szczegółów przytoczonego listu odstępcy Liwczaka i wskazówek pewnego starca, który był niegdyś obecny przy uprzątnięciu relikwii, jeden z Bazylianów galiicyjskich wraz z władzami pruskimi zarządził poszukiwania za ukrytym ciałem św. Józafata. Wyłamano posadzkę, odwalono gruzy i odsłoniła się krypta, w której po uprzątnięciu rumowiska znaleziono trumnę z kośćmi. Trumna zniszczała, ale metalowe odznaki i części ubioru arcybiskupiego wskazywały, że są to poszukiwane relikwie. Sporządzono akt i niebawem relikwie wywieziono z Białej w obawie, aby Moskale nie wrócili.

Obecnie relikwie św. Józefata znajdują się w Wiedniu w unickim kościele św. Barbary. W kościele zaś bazylijańskim w Białej zaprowadzono od paru lat katolickie nabożeństwo. W Bogu nadzieja, że prześladowcza Moskwa już nie wróci na Podlasie.

Do zupełnego triumfu wiary prawdziwej nad odszczepieństwem jeszcze daleko. Na samem jeszcze Podlasiu znajduje się nie mało takich,

których ojcowie, niegdyś przez schizmę zbałamuceni, wychowali w prawosławiu. Oglądają się oni dotąd nie wiadomo na co i do wiary dziadów swoich nie wracają. Modlić się trzeba, aby i im za przyczyną świętego Józafata światło wiary prawdziwej zaświeciło.

Z całego dzieła Unji brzeskiej dochowały się trzy diecezje we wschodniej Małopolsce, liczące około 4 milionów wiernych. Pomiedzy nimi, Rusinami, a nami, Polakami, polityka zasiała niezgodę i nienawiść. Św. Józafat wszakże jest jednak drogi nam, jak im. Modlić się i o to trzeba do św. Patrona i pracować nad tem, tak po jednej jak i po drugiej stronie, abyśmy zjednoczeni w wierze, choć różni obrządkiem, doczekali się zjednoczenia w miłości bratniej.

K O N I E C.



## DODATEK.

### Msza święta

na uroczystość świętego Józafata biskupa i męczennika<sup>1)</sup>.

#### Wstęp, czyli Introit.

Radujmy się wszyscy w Panu, obchodząc uroczystość ku czci błogosławionego męczennika Józafata: z którego męczeństwa radują się aniołowie i wspólnie wychwalają Syna Bożego.

Ps. 32. Weselcie się sprawiedliwi w Panu: prawym przystoi chwała.

Chwała Ojcu i Synowi i Duchowi świętemu. Jak była na początku, teraz i zawsze i na wieki wieków. Amen.

*Powtarza się:* Radujmy się, aż do ps. 32.

#### Modlitwa

*Modlmy się.* Wzbudź w Kościele twoim, prosimy cię Panie, Ducha, którym napełniony błogosławiony męczennik i biskup twój Józafat życie swoje poświęcił za owce; abyśmy za jego wstawiennictwem tymże Duchem pobudzeni i wzmocnieni, nie obawiali się oddać życia swojego za braci. Przez Pana naszego

<sup>1)</sup> Inne części mszy świętej, nie podane tutaj, bierze się z ogólnego formularza mszy.

Jezusa Chrystusa, który z Tobą żyje i króluje w jedności tegoż Ducha świętego, Bóg na wieki wieków. Amen.

**Czytanie listu św. Pawła Apostoła do Żydów.**  
(Rozdział V).

Bracia: każdy najwyższy kapłan z ludzi wzięty dla ludzi bywa postanowion w tem, co do Boga należy: aby ofiarował dary i ofiary za grzechy: któryby się mógł uzalić tych, co nie umieją i błędzą: gdyż i on obłożon jest krewkością: a dlatego powinien jest, jako za lud, także i sam za się ofiarować za grzechy. A żaden sobie czci nie bierze, jedno który bywa wezwan od Boga, jako Aaron. Tak i Chrystus nie sam siebie wstawił, że stał się najwyższym kapłanem: ale który do niego mówił: Syn mój jesteś ty, jam ciebie dziś urodził. Jako i na innem miejscu mówi: Tyś jest kapłanem na wieki wedle porządku Melchizedechowego.

**Pieśń stopni.**

Znalazłem Dawida sługę mego, pomazałem go olejkami świętym moim; bo mu ręka moja będzie pomagała i posili go ramię moje.

Ź. Nic nie zyska na nim nieprzyjaciel i syn nieprawości szkodzić mu już nie będzie.

Alleluja, alleluja. Ź. Ten jest kapłan, którego uwieńczył Pan. Alleluja.

**Ewangelja według św. Jana (Rozdz. X).**

W on czas rzekł Jezus faryzeuszom: Jam jest pasterz dobry. Dobry pasterz duszę swą daje za owce swoje. Lecz najemnik i który nie jest pasterzem, którego nie są owce własne, widzi wilka przychodzącego i opuszcza owce i ucieka: a wilk porywa i rozprasza

owce: a najemnik ucieka, iż jest najemnikiem i nie ma pieczy o owcach. Jam jest pasterz dobry i znam moje i znają mię moje. Jako mię zna Ojciec i ja znam Ojca: a duszę moją kładę za owce moje. I drugie owce mam, które nie są z tej owczarni: i one potrzeba abym przywiódł: i słuchać będą głosu mego: i stanie się jedna owczarnia i jeden pasterz.

**Oflarowanie.**

Większej nad tę miłości żaden nie ma, aby kto duszę swą położył za przyjaciół swoje.

**Modlitwa tajemna.**

Wylej, najlaskawszy Boże, na te dary błogosławieństwo swoje i utwierdź nas w wierze, którą święty męczennik i biskup twój Józafat stwierdził krwi przełaniem. Przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, który z Tobą żyje i króluje w jedności Ducha świętego Bóg na wieki wieków. Amen.

**Podczas Komunii.**

Jam jest pasterz dobry: i znam owce moje i znają mię moje.

**Modlitwa po Komunii.**

*Modlmy się:* Niech nam, o Panie, Ducha męstwa udzieli ten stół niebieski: który zawsze życie świętego męczennika twego i biskupa Józafata odżywił ku chlubnemu dla Kościoła zwycięstwu. Przez Pana naszego Jezusa Chrystusa, który z Tobą żyje i króluje w jedności Ducha świętego, Bóg na wieki wieków. Amen.



## Pieśń o św. Józafacie.

Witaj biskupie, nasz Patronie drogi!  
 Prosim, przebłagaj nam gniew Boski srogi  
 Racz się zmiłować sam nad utrapioną  
 Trzodą, opiece twojej poleconą.

Wielki kapłanie Boga najwyższego!  
 Przybądź na pomoc, broń nas ode złego;  
 Bądź, jakoś ty zwykły, błędzącym światłością,  
 Wszelkim zboliałym zdrowiem i stałością.

Przyczyn nam darów zbawienia naszego,  
 Złe oddaliwszy, zdarz wiele dobrego;  
 Bądź chwałą naszą, bądź naszym zbawieniem,  
 Stroskanej ojczyzny bądź wspomóżeniem.

Cześć, chwała Bogu w Trójcy jedynemu,  
 Ojcu, Synowi, Duchowi świętemu,  
 Niech teraz, zawsze i na wieki będzie,  
 A jedność święta niech się krzewi wszędzie.  
 Amen.



136963

## SPIS RZECZY.

	Str.
Słowo wstępne . . . . .	5
Rozdział I. Wiadomości o odszczepieństwie greckim . . . . .	7
Rozdział II. Chrześcijaństwo na Rusi . . . . .	17
Rozdział III. Lata dziecinne i młodociane . . . . .	27
Rozdział IV. Życie zakonne . . . . .	35
Rozdział V. Zamachy schizmatyków na klasztor św. Trójcy i Unje . . . . .	51
Rozdział VI. Kapłańskie prace Józafata . . . . .	67
Rozdział VII. Św. Józafat na przełożeniach . . . . .	76
Rozdział VIII. Św. Józafat zostaje biskupem . . . . .	95
Rozdział IX. Zewnętrzne urządzenie diecezji polockiej . . . . .	104
Rozdział X. Reforma duchowieństwa na Białej Rusi . . . . .	113
Rozdział XI. Św. Józafat wzmacnia jedność kościelną . . . . .	120
Rozdział XII. Wewnętrzne cnoty św. arcybiskupa . . . . .	127
Rozdział XIII. Schizmatycy podnoszą głowę . . . . .	137
Rozdział XIV. Nienawiść schizmatycka wzmagają się . . . . .	151
Rozdział XV. Zamachy schizmatyków na życie Józafata . . . . .	161
Rozdział XVI. Męczęńska śmierć św. Józafata . . . . .	172
Rozdział XVII. Pogrzeb i cuda pośmiertne św. Józafata . . . . .	190
Rozdział XVIII. Nawrócenie zabójców i nieprzyjaciół świętego . . . . .	202
Rozdział XIX. Nowe cuda św. Józafata i sprawa jego beatyfikacji . . . . .	217

	Str.
Rozdział XX. Dalsze losy Unji i ucieczka z relikwiami św. Józafata . . . . .	234
Rozdział XXI. Kanonizacja św. Józafata . . . . .	242
Rozdział XXII. Ukrycie i znalezienie relikwii . . . . .	253
Dodatek: Msza św. na uroczystość św. Józafata . . . . .	263
Pieśń o św. Józafacie . . . . .	266

*Ks. Łogutko Czesław*

---